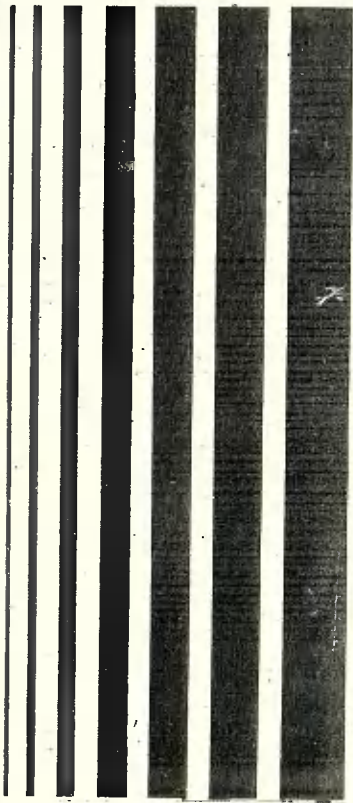


16/17

robot

ZBIORY OSWIECENIA

wolne pismo



most

Numer 16-17

Warszawa 1987

SPIS TREŚCI

x x x	3
Kim chciałby pan być? -rozmowa z Lechem Wałęsą	5
<u>Analizy i propozycje</u>	
Ernest Skalski: Byt i świadomość	11
Marek Rapacki: Wszystko inaczej	22
James H. Billington: Dziedzictwo "Solidarności"	29
Kilka uwag o wywiadzie płk. Kuklińskiego	33
Leszek Ewelski: Arytmetyczne złudzenia	41
Załatwić sobie wojsko - rozmowa z Piotrem Niemczykiem	51
<u>W 70-lecie przewrotu bolszewickiego w Rosji</u>	
TAK: Jak zwyciężyła rewolucja	61
Mikołaj N. Suchanow: To wyglądało niepoważnie	64
Stanisław Pestkowski: Zdobycie telegrafu	73
Lew D. Trocki: Byleby tylko zdobyć władzę...	74
<u>Prawda o stalinizmie</u>	
KAT: Szukając alternatywy	87
Stephen H. Cohen: Upadek ostatniego bolszewika	93
Stephen H. Cohen: Stalinowski „wielki przełom” 1929-1939	113
Nobel '87 - poezje Josifa Brodskiego	118
Andrzej Julicki: Pieriestrojka zamiast reformy?	120
<u>Przerwa na myślenie</u>	
/A.C./: Lęki sztywniejącego mastodonta	125
Jan Omłot: Manewry	129

Polaków rozmowy

Każdy ma swoją odpowiedź - rozmowa z Hanną Krall	133
Podróżnik po lesie rzeczy - z Ryszardem Zapuścińskim rozmawia Bill Buford	139
Wszystko od nowa - rozmowa z Ryszardem Bugajskim	147
Jestem na emigracji, ale nie wyemigrowałem - rozmowa z Karelem Krylem	151
Piosenki i wiersze Karela Kryla	158

Fakty - Sygnały - Opinie

Głasność - Niejasność	165
Stosunki Kościół-państwo w PRL /z łamów prasy radzieckiej/	167
Flamy białe czy czarne?	170
Timothy Garton Ash: Rakowski i wizja partnerstwa	173
Notatnik wolnego człowieka - recenzja	176
Ameryka, Ameryka - felieton	181

Copyright by MOST **wolne pismo**

Przedstawicielem Wolnego Pisma "MOST" na Zachodzie jest
Krzysztof Turowski (Paryż)

Redagują członkowie NSZZ "Solidarność"

O obecnej sytuacji politycznej w Polsce Lenin powiedziałby, że staje się rewolucyjna. Sytuacja taka powstaje - uczył teoretyk i wódz - gdy doży nie chcą funkcjonować po staremu, a góra - nie może. W Polsce doży nie chcą "po staremu" od początku obecnej dekady. Jeśli nawet nie wszyscy przez cały czas życzyliby sobie jakiejś daleko idącej zmiany obecnego porządku, to tych świadomie jej chcących i tak jest o wiele więcej, niż było potrzeba do dokonania - a już na pewno zainicjowania - większości rewolucji na świecie. Od 13 grudnia wszelako, aż do chwili obecnej, góra mogła być górą bez większych przeszkód. Operacja policyjna udała się. Opozycja została sprowadzona do wymiarów niegroźnych, przynajmniej na dzień bieżący. Władza jawiła się jako nieudolna w charakterze zarządcy gospodarką, lecz policyjnie sprawną, silną, konsekwentną i jednolitą, a co najważniejsze - gotowa do zdecydowanego użycia siły. Poprzednie ekipy przychodziły na zmianę tym, które kończyły swoją kadencję strzałami, ta zaś strzelała na Guten Morgen. A do tego wiadomo, że w odwodzie jest bratnia pomoc. Myśl o oporze, o jakimś aktywnym wystąpieniu, jawi się w takich warunkach jako coś bez sensu.

Poprzednie ekipy odchodziły w warunkach kryzysu gospodarczego, który wybuchnął pod koniec ich panowania i je obciążał. Ta - weszła już w trakcie kryzysu, za który odpowiadała "woluntaryzm Gierka i anarchia Solidarności". Legitymacją władzy był "ład i porządek", "pokój i spokój", "normalizacja, pacyfikacja", a z tym sobie ona radziła. Gdyby tzw. niepokoje społeczne nasilały się, a nie słabły, wówczas nieskuteczność ekipy doprowadziłaby do kryzysu władzy i przesilenia w jej wnętrzu - albo w kierunku terroru, albo liberalizacji. Ponieważ jednak tak się nie stało, ekipa będzie musiała prawdopodobnie zejść z tego samego powodu, co poprzednie: kryzys polityczny na tle kryzysu ekonomicznego. Ten drugi zresztą trwa bez przerwy od końca ubiegłej dekady.

Celem komunistycznej władzy jest władza. Wszystko inne traktowane jest instrumentalnie, łącznie z gospodarką. Jest ona ważna, lecz głównie jako instrument władzy. Jeśliby do rządzących dotarło przekonanie, że bieda i stagnacja podtrzymują istniejący porządek /jak w salazarowskiej Portugalii/, a postęp i dobrobyt rodzą niebezpieczne dla dyktatury aspiracje wolnościowe /jak w południowej Korei/, wówczas wybór byłby oczywisty. Ale komunistyczna władza nie bardzo może sobie na taki wybór pozwolić, gdyż jest niewolnikiem własnych haseł, obietnic, iluzji na temat postępu i dobrobytu. Ma poza tym zobowiązania wobec sojuszników, powiązania ze światem zachodnim itp. Wszystko to nie pozwala jej konsekwentnie ignorować gospodarki.

Okres od lata '86 do lata '87 był właściwie apogeum politycznym Jaruzelskiego i jego personelu. Ale statek, którym general tak zręcznie lawiruje tonie coraz głębiej i ma on tego świadomość. To i tylko to skłoniło go, by wystąpić na grzeską i niebezpieczną drogę reform.

Alexis de Tocqueville twierdzi, że bunty i rewolucje częściej wybuchają nie wtedy, gdy jest największa nędza i ucisk, lecz wówczas, gdy się nieco poprawia. Poprawa - ekonomiczna czy polityczna - z reguły uznana będzie za niedostateczną, za co czyni się odpowiedzialną władzę, która - okazuje się - może dość zmienić, ale nie chce tego robić w sposób satysfakcjonujący społeczeństwo. Jej próby reform są odbierane nie jako gest dobrej woli, lecz jako słabość, co nie budzi sympatii, a znacznie zmniejsza strach. Władza może jak chce komentować wyniki referendum, ale nie zapobiegnie odbiorowi dającemu się wyrazić w następujący sposób: referendum to pic, czerwony robi, co zechce; czerwony musi udać, że liczy się z ludźmi; czerwony chciał mieć takie właśnie wyniki, więc je odpowiednio sfałszował; takie wyniki są klęską czerwonego, a on ich nie mógł sfałszować; czerwonemu nie wyszło itd. Nie trudno zauważyć w takim rozumowaniu paru sprzeczności, ale to nie przeszkadza, że można mieć taki właśnie zestaw poglądów na jeden temat i że chyba sporo ludzi go ma. Ważne, że niewiele jest tu elementów świadczących o odbieraniu teź władzy jako takiej, której się udaje, która może robić, co zechce, a już zupełnie nic, co by świadczyło o uznaniu jej pozytywnych intencji.

Władza to wszystko wie, ale ma też zakonotowane, że bezpośrednio przyczyną większości wybuchów społecznych w PRL było zdecydowane pogorszenie się warunków życiowych, dokonane metodą zaskakującej podwyżki cen. Tak źle i tak niedobrze. Nie starcza jej więc odwagi i determinacji, aby zdecydowanie pójść do przodu w sposób zaskakujący opozycję, ani aby dalej trwać nieruchomo, mówiąc cokolwiek i patrząc spokojnie na proces rozkładu gospodarki i życia społecznego, bez gwarancji, że się to nie skończy wybuchem.

Te sprzeczności wyrażają się głównie w stanowiskach poszczególnych grup wewnątrz aparatu, broniących różnych koncepcji, na ogół w zależności od ich partykularnych interesów. Zatem w trudnym i niebezpiecznym z politycznego punktu widzenia manewrze, władzy grozi utrata spójności, która była jej mocnym pogrudniowym atutem.

Tak oto zaczynamy mieć stan, w którym góra "nie może już po staremu". Dopełnia się więc drugi niezbędny warunek sytuacji rewolucyjnej. Ale w sprawach społecznych niewiele rzeczy musi stać się na pewno i sytuacja rewolucyjna niekoniecznie musi doprowadzić do rewolucji. Proces rozchwiania się władzy dopiero się zaczyna i trudno orzec, jak dalej się potoczy.

Nie wiadomo też, jak się znajdzie strona zwana u nas społeczną. Czy obecna opozycja znajdzie właściwe formy działania w zmieniającej się sytuacji, czy uzyska odpowiednio szerokie poparcie w społeczeństwie, pozwalające jej stać się podmiotem aktywnie wpływającym na rzeczywistość.

Jakkolwiek oceniać referendum, można śmiało przyjąć, że wśród tych pięćdziesięciu paru procent, które nie powiedziało rządowi "tak" istnieje ogromna potencjalna klientela opozycji. A spośród tych, którzy powiedzieli "tak", niebawem znacznie dołączać do niej sprzą część oszukanych kolejnym etapem reformy. Szanse więc są, sytuacja rewolucyjna jakby dojrzewa, lecz tu trzeba chyba uzupełnić lenina. Doky, rzecz jasna, najwyraźniej już nie chcą po staremu, ale muszą nadać temu kształt o wiele bardziej wyrazisty, niż w ostatnią niedzielę listopada '87.

Kim chciałby Pan być?

ROZMOWA Z LECHEM WAŁĘSĄ^{x/}

- Pańska biografia kończy się wraz ze śmiercią księdza Jerzego Popiełuszki. Dlaczego uznał Pan, że na tym należy zakończyć?

Lech Wałęsa: Bo to jest dramat. Męczeńska śmierć księdza Popiełuszki należy do tych faktów, które przeszły do historii naszego kraju. W roku 1984, tak jak przed wiekami na Skałce, przelano krew polskiego kapłana, rzekomo w interesie władzy, dla "wyższej racji stanu". Wszystko zamarło. Ludzie stanęli w tym momencie. W którą stronę się "potoczają"? Trudno powiedzieć. Każdy na swój sposób to przeżywał. Co z tego wyrośnie? Na pewno ta śmierć nie pozostanie bez odpowiedzi... Na pewno będzie "zobowiązywać" - jak powiedziałem w przemówieniu nad Jego grobem.

Rok 1985 nazwałem rokiem niespełnionych nadziei i niewykorzystanych możliwości. Proces zabójców księdza Popiełuszki stwarzał możliwość oczyszczenia atmosfery politycznej kraju, ale już wkrótce zadbano o to, żeby zatrzeć nawet cień i stworzyć fakty, mające stanowić jego przeciwwagę. Proces przeciwko nim, wdrożony pod wpływem nie dających się ukryć faktów, a także na skutek milczącej presji wstrząśniętego tą zbrodnią społeczeństwa, odsłonił potworną prawdę o metodach

^{x/} Jest to ostatni rozdział autobiografii Lecha Wałęsy pt. "Droga nadziei", powstałej we współpracy z Janem Murem. Książka ta ukazała się w tym roku w Paryżu w języku francuskim, a następnie miała już wiele wydań w innych krajach. Dotychczas nie doczekała się edycji w języku ojczystym. W Polsce złożona została w Wydawnictwie "Znak" w Krakowie i, jak dotąd, czeka na oficjalne wydanie. Sądzymy, że wcześniej ukaże się w II obiegu. Publikowany przez nas fragment nie jest tłumaczeniem z obcego języka, ale stanowi integralną część polskiego oryginału. /red./

pracy i mentalności ludzi z tych służb. Mieli oni wolną rękę w decydowaniu według woli o życiu i śmierci obywateli naszego kraju, w działaniu poza prawem. Proces miał tę zaletę, że to, o czym ludzie wiedzieli po cichu - uczynił wiedzą powszechną i głośną. Ludzie się zreflektowali... Niestety, następuje cała sekwencja posunięć władz, mająca dobitnie pokazać, że "tu nikt nie odda nawet piędy ziemi", do więzienia idą Bogdan Lis, Władek Frasyński, Adam Michnik, a wcześniej trafił tam Andrzej Gwiazda. Propagandowa wrzawa i najcięższe zarzuty o "zdradę Ojczyzny" przeciwko tym działaczom miały zrównać jednych i drugich, pomniejszyć winę morderców w odczuciu środowiska, z którego wywodzą się zabójcy. Miały dostarczyć satysfakcji tym, którzy przez chwilę poczuli się osłabieni. Jest wielkim nieszczęściem dla rządzących stanowić prawa, które stoją w sprzeczności z moralnym odczuciem narodu. Jest wielkim nieszczęściem dla narodu żyć na co dzień w takim rozdarciu, wybierać między sumieniem a paragrafem.

Popatrzmy zresztą z perspektywy historycznej na tych "szpiegów" i emigrantów: czy ktoś dziś ośmieliłby się nazwać mianem zdrajcy i szpiega Tadeusza Kościuszkę, Józefa Bema, Jarosława Dąbrowskiego? A przecież wszyscy oni byli ścigani pod tym właśnie zarzutem po upadku kolejnych powstań narodowych, które też powodowały - jak dziś - kolejne fale emigracji i działalności emigracyjnej. Wiem, wiem - byliśmy wtedy pod zaborem, trzeba mieć świadomość subtelności historycznych, ale analogie są nieodparte. Trzeba powstrzymać falę czarnej propagandy, bo granica między terrorem psychicznym a fizycznym jest płynna i łatwa do przekroczenia. Jeśli ktoś mówi o nas: zdrajcy - odpowiadamy mu krótko: tu jest Polska. Powinien zrozumieć, co mamy na myśli...

- Czy po tych trzech latach jest już odpowiedź na pytanie, w jakim kierunku pojdzie rozwój sytuacji?

Lech Wałęsa: Jeszcze nie ma, jeszcze za wcześnie. Działo się dużo, ale było dużo elementów powtarzających się: wybory i skala społecznego bojkotu, procesy i amnestie, próba stworzenia Fundacji Rolniczej i pogrzeb, ufundowany tej idei przez władze... Był to jednak i czas hartowania. Ten przysznic - na zmianę gorący i zimny - wyrobił w nas dużą odporność. Polska jest krajem ludzi mocnych, mocnych wewnętrznie, mających własną skalę wartości, ludzi niezestraszonych. Cóż można podnieść przeciwko nam po stanie wojennym? Bombę atomową?! Przecież nigdy by nie doszło do amnestii, gdyby społeczeństwo nie było właśnie takie, jakie jest. To ono powoduje, że i ten system, widząc swoją nieefektywność, też próbuje zmian - w dobrym kierunku. Jednakże w takim tempie, że - jak kiedyś powiedziałem - efekty będą za dwieście, trzysta lat. To nas nie zadowala. Nam się spieszy.

Oczywiście, może nie wszyscy to sobie uświadamiają. W społeczeństwie trzeba wyróżnić tych, którzy aktywnie biorą udział w życiu i tych, którzy w gruncie rzeczy zawsze byli bierni, byli, są i będą, i to nie tylko u nas, ale w każdym społeczeństwie. Oczywiście, oni w gruncie rzeczy sercem są za nami, znają ten system, te warunki, nie są zadowoleni, ale nasze

propozycje, chociaż są ładne i piękne, niemniej jednak nie są skuteczne, dlatego że my nie mamy wczasów, żłobków, my nie dajemy wiz i paszportów. A to wszystko wymusza pewne zachowania społeczne. To nie znaczy, że ta część społeczeństwa jest z władzą, tylko że nie może być "nigdzie".

Z różnych względów koło społecznych oczekiwań, dążeń i konieczności zaczyna się kręcić szybciej. Zaczęło, moim zdaniem, przyspieszać pół roku, rok temu. W gruncie rzeczy odpowie na to wszystko w tych warunkach sytuacja ekonomiczna, która nie jest dobra i nie może być dobra, dlatego że ten system, w takim wydaniu - ekonomicznym przede wszystkim - skończył się. Nie można żądać w XXI wieku, przy oficjalnym światopoglądzie materialistycznym, aby ludzie nie żądali więcej dóbr materialnych. System na XXI wiek jest niewydolny. Tego nie da się utrzymać w tajemnicy. Wideokasety, programy satelitarne, komputery, a w końcu wyjazdy, przyjazdy - to wszystko powoduje, że ludzie mają skalę porównawczą i łatwo dochodzą do wniosku, że coś nie jest tak, że się nie sprawdziło, nie jest dobre, trzeba to zmienić.

- Kto ma to zmienić? Skąd się biorą w Polsce ciągle nowi "ochotnicy"?

Lech Wałęsa: "Czarny rynek" towarów, czy walut jest zawsze niezawodnym sygnałem, że w systemie gospodarczym coś działa nieprawidłowo. Otóż w Polsce, obok wszelkich innych "rynków", funkcjonuje od czterdziestu z górą lat "czarny rynek polityczny". Są idee, koncepcje - widać niezbędne dla ludzi, skoro mimo wszelkich zakazów, sankcji i więzień nadal funkcjonuje. Zachowania społeczne nie są niespodzianką, kierują się wewnętrzną logiką, koniecznością... Przecież dobrze wiadomo, że "czarny rynek" nie poddaje się sankcjom, choćby wprowadzić karę śmierci - jedynym efektem będzie... wzrost cen. No, może się trochę zmniejszy skala zjawiska. Potencjał ludzkich dążeń nie jest związany z jednorazowym "urodzajem" np. na przedsierniowych działaczy, jest stałą cechą naszego społeczeństwa, przeznaczeniem, dopóki nie wyprostujemy naszych ściętek. Na tym, stale obecnym w naszym życiu, "czarnym rynku politycznym" funkcjonują dwa zasadnicze rodzaje ludzi. Jedni z czystych pobudek ideowych, tradycji rodzinnych czy względów moralnych. Tych jest więcej. Natomiast, nie gorzej chyba mogą ciągnąć sprawę ludzie, którzy kierują się innymi pobudkami. Nie ma co się temu dziwić, nie może być inaczej. To też są fajni ludzie, ale powiedzą: ja łeb nadstawiam, a rodzina, a żona, a dzieci? Pójdę siedzieć na pięć lat - co mi to da? Coś muszę z tego mieć... I dlatego jest to problem bardzo skomplikowany w takich warunkach politycznych jak u nas.

- Powiedział Pan: społeczeństwo, działacze... a teraz: jak oceniać władzę, w tym samym układzie?

Lech Wałęsa: Tam też są ludzie mądrzy i trzeba ich tak oceniać. Tam też kombinują, próbują coś zmieniać. Efektem tego jest, że wszyscy po raz pierwszy w historii tego systemu wszem i wobec mówią ostatnio, że potrzebne są reformy. To by-

Ża do tej pory nieosiągalna rzecz. To jest taki pierwszy próg. Jak te reformy powinny wyglądać? Ja tu nie rozwiązuję problemu, nie przesądzam. Nie jestem od rozwiązań konkretnych, dlatego że nie mam ani predyspozycji, ani wykształcenia, ani nie chcę. Natomiast chcę ukierunkować i widzę, jak powinno być. Praktycznie. Teoretycy uważają, że bez uzyskania możliwości politycznych, nie ma możliwości żadnej poprawy. Ja natomiast uważam, że jak nie ma żadnych możliwości politycznych, które są najważniejsze, trzeba szukać innych, przede wszystkim ekonomicznych, jasnych, czytelnych - i poprzez nie szukać rozwiązań politycznych. Na naukowcach ciąży garb czterdziestolecia - i oni wciąż idą starym torem. Teoretycznie przyznają im rację, ale co do praktyki nie ma zgody. Bo w takiej sytuacji, to tylko sięść i powiedzieć: no więc czekamy na możliwości polityczne. Co robimy? Czekamy. Stawianie spraw przez teoretyków tak właśnie wygląda.

- Co na to praktyk, za jakiego Pan się uważa?

Lech Wałęsa: Mnie nie obchodzi, kto jak się nazywa. Mnie obchodzi, co on ma w środku, jak rozwiązuje problemy. I tak: wiedziałem, że nie mogę w pierwszym dniu strajku w Sierpniu uciągnąć sprawy wolnych związków zawodowych - to w ogóle nie stawiakem jej. Natomiast w miarę napędzania, rozkręcania się atmosfery - trzeba dawać większe zadania. W miarę tego, jak coraz bardziej świadomie chcieliśmy być dobrym związkiem zawodowym /tu już wracam do okresu końcowego/ - potrzebowaliśmy spełnienia warunków przede wszystkim ekonomicznych, prawnych i politycznych. I tu znów problem: myśleliśmy, że ta odnowiona partia - bo tak się sama nazwała - będzie zdolna rozwiązać te trzy problemy, a my nie będziemy tego tykać. Okazało się, że wymiana kadrowa generałów, sekretarzy, premierów, ministrów i tego całego aparatu, była zajęciem samym w sobie. Nowy aparat siedział sobie i kombinował, a reformy... Ten aparat nie dorósł do reform. Zaczął bronić się tym, że to my atakujemy, że chcemy przejąć władzę... My też nie byliśmy bez błędów. Robiliśmy to źle, bo trzeba było trochę czulej; wciąż powinniśmy byli powtarzać: my tego nie chcemy, tylko wreszcie rozwiążcie te problemy lub przynajmniej pokażcie, że zaczęliście rozwiązywać - a my nie będziemy wam zarzucać niedołęności. Ale ponieważ nie było rozwiązań, siłą rzeczy, musieliśmy dodatkowo, niejako w zastępstwie, pomóc rozwiązać te trzy problemy. Wtedy politycy zaczęli bić na alarm, że my - stawiając problemy ekonomiczne, prawne i polityczne - chcemy przejąć władzę. Ponieważ nie dorosli do reform w tamtym okresie, stąd doszli do wniosku, że najlepiej będzie nas wykończyć. Ale to się nie da tak wyskoczyć, "kozaczek ci ja", rozwiązać związek jako taki, wprowadzić stan wojenny - i spodziewać się, że reszta sama jakoś się ułoży... Długo tak uważali. Długo w to brnęli, aż dobrnęli do dzisiaj. Część już zrozumiała, ale nie wszyscy, że nie tędy droga. I wzbraniali się przyznać, bo to generałowie, wielcy ludzie. Przyznać się do błędu - to nie takie proste. Niemniej jednak, każdy następnego dnia mówi o tym, z każdym dniem staje się to jaśniejsze, że to my mieliśmy rację. Czas zmian, czas reform wyczułiśmy my. Wystarczy choćby popatrzeć, co robi dzisiaj Gorbaczow...

- Czy idea "Solidarności" może rozplynąć się w tym czasie, który nadchodzi?

Lech Wałęsa: Jeśli władza byłaby tak roztropna i zrealizowała wszystkie nasze ideały... W każdym innym przypadku ten sztandar znowu się rozwinię. To samo dotyczy mnie. Nawet gdybym mając te pięćdziesiąt kilka lat popełnił jakiś błąd - ludzie powiedzą o mnie: stary, zmęczony, wystraszony Wałęsa. Ale idee "Solidarności" są dobre! I zawalczą pod tym sztandarem! Dlatego że "Solidarność" skupiła niespełnione od lat nadzieje, ukazała społeczeństwu piękną wizję i że to gwałtem ludziom odebrano. A więc tym bardziej została...

- Czy możemy się spodziewać, że w swojej książce napisze Pan wszystko?

Lech Wałęsa: Czy to jest możliwe, czy to jest celowe? Wiele wątków nie było tu "granych" i jeszcze długo nie będzie. Dlatego, że z mojej praktycznej filozofii jasno wynika, że mimo wszystko będę grał z tymi partnerami, którzy się nie zmienili od kilkunastu lat i prawdopodobnie jeszcze długo się nie zmieniają. Postawienie sprawy jasno, powiedzenie wszystkiego - kogoś tu eliminuje. Ja nie gram na eliminację.

- Jednym słowem, ma Pan zaufanie do dyplomacji...

Lech Wałęsa: Nie, do konieczności. Wiem, że nie może być inaczej. Od pewnych rzeczy nie ma odwrotu. Przed laty, gdy w Polsce uruchamiano produkcję magnetofonów kasetowych, były projekty rejestrowania obiegu kaset. Władza wszystko chciała rejestrować. Zabrali się teraz za video, ale też nie wychodzi. Nie zdążyli. Próbuje powstrzymać odbiór satelitarnych programów telewizyjnych. Powodzenia. Przyhamują na krótko, ale za pół roku, za parę lat, każdy będzie miał taką maleńką - na palec - antenę. Podobnie nie da się zatrzymać konieczności tych reform, które zgłaszaliśmy. To są wymogi czasu, konieczności epoki, w której żyjemy.

- Pomówmy o politykach. Wielu z nich do Pana przyjeżdża, żeby się spotkać. Po co przyjeżdżają?

Lech Wałęsa: To różnie bywa. Jedni dla zdjęcia, inni dlatego, że sądzą, iż poprawię im klimat. Inni uczciwie. Chcą pomóc Polsce z różnych względów. Każdy, kto przyjeżdża, ma jakiś cel. Prędzej czy później jest on dla mnie jasny. Z tego wynika miara spotkania: czasami wychodzi, czasami nie.

- Polityk jest człowiekiem, który musi mieć wizję przyszłości...

Lech Wałęsa: O - tak. Polityk, który ma trochę czasu na myślenie, to ją ma. Ale polityk, który pilnuje głównie fotela - nie ma na to czasu. Zresztą poziom intelektualny społeczeństw różnie, ironią jest, że politycy często nie nadążają za tym rozwojem. Jest to tragedia naszych czasów; zresztą czasów wcześniejszych też. Nieraz wstyd wyciągać na światło dzienne coś, co wykalkulowali w zaciszu swoich gabinetów. Bywa, że nie uwzględniają potrzeb człowieka, ignorują naturalny kierunek zachowań człowieka, które są takie, jak przy-

roda, jak świat, w którym żyjemy... Bo przecież człowiek tak naprawdę niewiele nowego wymyślił: skonstruował samolot, obserwując ptaki, radar podpatrzył u nietoperza. Przyroda pokazuje nam, co znaczy różnica poziomów. Jeśli jest zbyt wielka - może być groźnie, jeśli poziomy się wyrównają - nie będzie przepływu. Podobnie z zachowaniami społecznymi, z wojnami, z całą tą bijatyką... Nie brak również w naszych czasach "zastępczych wojen" - bo cóż to jest wielki międzynarodowy mecz piłkarski? To prawdziwa walka. Zaczyna się od tego, że gramy hymn "Jeszcze Polska nie zginęła". Zwyciężyć, pokonać... wolałbym, żeby o wartości tego hymnu nie decydowała piłka, interesy i interesiki, ubijane przy okazji widowiska.

- Lubi Pan polski hymn?

Lech Wałęsa: O tak! Hymn polski jest bardzo bogaty w słowa. Bardzo bogaty w sens.

- Czy wybrałby Pan jakiś fragment na przykład, z którym Pan się utożsamia?

Lech Wałęsa: No, oczywiście z całością, oczywiście w epoce, w której żyję. Trzeba hymn rozumieć, jak on się tworzył, jakie miał cele w swojej epoce. I... że tanta epoka w dalszym ciągu jest. I ten hymn jest potrzebny. Jest gniewny, jest dumny, jest bitny, daje nadzieję. Ale powtarzam: w tej epoce, która trwa. Dziś trudno sobie wyobrazić inną epokę, ale ja już czasem bywam w niej myślami. Czy bym w niej potrafił żyć, tego nie wiem.

- Czyli idziemy do... dobra?

Lech Wałęsa: Tak, do ideału, do którego nigdy nie dojdziemy. A dążyć musimy...

- Przy okazji: co Pan nosi na przegubie dłoni?

Lech Wałęsa: Oczywiście nie jest to złoto ani srebro...

- Talizman?

Lech Wałęsa: Ja się tym nie obwieszam. Po prostu: miedź plus nikiel, na tym wryta grupa krwi. Ktoś wpadł na taki pomysł, że Wałęsa musi to nosić, na wszelki wypadek, gdyby go komar ugryzł czy coś... No i noszę.

- Jaka to jest grupa krwi?

Lech Wałęsa: Grupa "B" Rh+. No, ostatnie pytanie. I naprawdę się żegnamy.

- Kim chciałby Pan być?

Lech Wałęsa: Jak to kim? Wałęsą. Jak jestem /śmiejąc się/.

Gdańsk, styczeń 1987

Ernest Skalski

Byt i świadomość

Realny socjalizm znajduje się w stałym konflikcie z "nie nadającym" się doń społeczeństwem, lecz ostre formy przybiera ten konflikt tylko co jakiś czas. Reżim trzyma się siłą, lecz stosuje ją na większą skalę sporadycznie, co wystarcza, aby groźba przemocy była stale realna. Ale do mniej więcej normalnego funkcjonowania systemu konieczny jest również pewien poziom jego pozytywnej akceptacji. Ustalił się więc od 1956 roku niepisany modus vivendi między władzą a społeczeństwem, wyrażany przez powiedzenie: "Dajcie nam żyć, a damy wam rządzić". Gdy się zaś nie dawało żyć, co znaczyło, że władza łamała konwencję, wówczas społeczeństwo, buntując się, usiłowało ratować swe zagrożone interesy życiowe.

• • •

Zbiorowa próba ratowania się podjęta w 1980 roku, w sytuacji jeszcze nie tak złej, jak obecna, nie wyszła. Jakaś część społeczeństwa podjęła dalszą walkę o zmianę warunków społecznego bytowania. Co prawda, pogrudniowa konspiracja okazała się procentowo największa z tych, jakie zna historia Polski, lecz i tak włączyła się w nią niewielka i stopniowo zmniejszająca się grupa. Również nikła, acz jakościowo znacząca, jest ta część, która zdecydowała się na emigrację, by uratować choć siebie. Zamiar ten zgłosiło w 1986 r. 8 proc. populacji. W zbiorowości ludzi młodych, aktywnych, zdolnych i wykształconych wyrwa emigracyjna jest poważna i zrozumiała. Ci ludzie szybko zorientowali się, jak niski był zawsze i jak się ostatnio opuścić pułap możliwości, zwłaszcza dla takich, jak oni. Ponad 37 proc. kończących szkołę średnie i zawodowe w roku 1986 była przekonana o braku perspektyw dla młodzieży. Dla kraju jest to strata praktycznie niepowetowana. Dla władzy - pewna ulga. Tacy ludzie, nawet jeśli nie zasilają szeregów czynnej opozycji - a zasilają w poważnym stopniu - to zagrażają zastanym strukturom, na których się system opiera.

Inni ratują się połowicznie i nie bez pożytku dla kraju. Większy niż kiedykolwiek stał się napór na "saksy" tych, którzy słusznie liczą na wykorzystanie faktu, iż niewielka t a m zarobiona suma t u daje poważny profit. 51 proc.

badanej populacji w 1986 r. wyraziła ochotę wyjazdu zarobkowego za granicę. Jak do każdego biednego kraju, płyną dzięki temu dewizy i wartościowe przedmioty. Inną formą swoistego wypisywania się z PRL jest przenoszenie się do inicjatywy prywatnej przez przedsiębiorczych ludzi. Można ubolewać, że elektronik marnuje zdolności w handlu warzywami, ale istnieje prawdopodobieństwo, że marnował je również w instytucie, zaś przenoszenie się ludzi ze sfery mniejszej do większej efektywności wpływa dobrze na efektywność ogólną.

Władza z zasady nie lubi, jak ktoś ma za dobrze i to na własną rękę, poza jej układem, lecz toleruje to w sposób kontrolowany. Też ma z tego pewne profity, a potrafi tych ludzi, którzy z definicji powinni być wrogami systemu, uzależnić od niego, korumpując siebie i ich. /To zabawne, ale jest tu podobieństwo do rosyjskiego feudalizmu. W XIX wieku, w nieczarnoziemnej strefie Rosji, z biedniejących majątków puszczano chłopów na zarobek do miast i pozwalano na prowadzenie własnego rzemiosła czy handlu - byli nawet pańszczyźniani fabrykanci na wielką skalę - pod warunkiem okupienia się dziedzicowi./

Ogromna większość społeczeństwa zmuszona jest jednak w dalszym ciągu funkcjonować w obrębie gospodarki państwowej, częściowo wspierając się udziałem w drugim obiegu. Ten obieg w dalszym ciągu jest traktowany przez władzę jako wyłom w systemie i w zasadzie zwalczany, lecz jakby z większym brakiem konsekwencji niż kiedykolwiek, zaś drugi etap reformy zapowiada się jako dalsze poluzowanie na tym odcinku. Władza wyczuwa, że to pewien sposób "dania żyć" wielu ludziom, a więc swoisty wentyl bezpieczeństwa społecznego, a zarazem narzędzie, przy pomocy którego można ludzi straszyć i panować nad nimi. Albowiem chociaż cały ten obieg nie może być rozpracowany policyjnie, to złapanie za rękę namierzonego człowieka nie przedstawia żadnych trudności.

Cały ten niepaństwowy sektor, oficjalny czy nie /poza rolnictwem, któremu jak gdyby dano już spokój/, służy jako obiekt prymitywnej socjotechniki. Na dwóch piętach. Na niższym szczerze się ludzi przeciw spekulantom i tym, którzy "żerują na kryzysie", popularyzując działalność bardzo rozbudowanych organów wszelakiej kontroli i ścigania. Wciąga się nawet do społecznych form działalności policyjnej, by dać się wyżyć i pozwolić skorumpować. Jest to ostatnia już chyba płaszczyzna, na której władza spodziewa się zintegrowania ze społeczeństwem przeciwko jakiemś wspólnemu wrogowi.

Na wyższym piętrze próby dzielenia i rządzenia wyglądają inaczej. O ile do roku 1980 obowiązywał schemat jedności moralno-politycznej, o tyle teraz propaganda lansuje obraz społeczeństwa podzielonego według sprzecznych interesów gospodarczych, wobec których partia-państwo musi występować jako arbiter, na tej podstawie, że dostrzeżę całość gospodarki, jej perspektywy, oczywiście na podstawie zrozumienia praw historii i gospodarki, a także na skutek swego... doświadczenia w zarządzaniu tym interesem. A ponieważ w dalszym ciągu nie bardzo jest dopuszczalne samodzielne organizowanie się wokół interesów

grupowych, więc władza występowałaby nie tylko w roli arbitra, lecz zarazem jako adwokat wszystkich naraz stron w sporze.

Faktyczny spór, to ścieranie się odrębnych lobbies w aparacie. W propagandzie natomiast wybijają się np. sprzeczny interes chłopów, którzy chcieliby sprzedawać jak najdrożej i wszystkich innych, którzy chcieliby mieć jak najtańszą żywność. Jest to oczywiście spór wymyślony, gdyż cena jest naturalnym i najłatwiej osiągalnym przedmiotem kompromisu, kiedy obie strony muszą zawrzeć transakcję. W tym przypadku jednak prawie całą wymianę miasto-wieś i tak zmonopolizowało państwo i ustala ją na arbitralnych warunkach. Oczywiście, wielu jest niezadowolonych z cen ustalanych przez prywatną inicjatywę, na które w znacznym stopniu składa się podatek obrotowy, lecz znacznie więcej - z cen, które ustala państwo.

A w ogóle cały ten obraz służy przesłonięciu jednego i podstawowego sporu między wszystko organizującą władzą, a wszystkimi podstawowymi grupami społeczeństwa, poza jej aparatem. Każda z tych grup odczuwa deprywację, wynikłą z istoty systemu i polityki państwa, chodzi zaś o to, by w jak najmniejszym stopniu zdawały sobie one z tego sprawę.



Następny kierunek natarcia propagandowego, to minimalizacja potrzeb - język parzystej dekady. Tak się złożyło, że w latach pięćdziesiątych, za Bieruta i w siedemdziesiątych, za Gierka, obowiązywał rozmach, optymizm, obietnice szybkiego postępu. Kończyło się kryzysem. Otwarte przyznawanie się do trudności i niemożności to z kolei styl lat sześćdziesiątych - Gomułki, co też się skończyło kryzysem i osiemdziesiątych - Jaruzelskiego, trwanie w kryzysie przez cały czas.

W związku z tym twierdzi się, że wychodzenie z tak ciężkiego kryzysu wymaga dłuższego czasu, podobnie jak wdrażanie mechanizmów reformy, że jak na istniejące możliwości, które się przecież uczciwie prezentuje, osiągnięcia są i tak niezłe, a plan, aby był realistyczny, musi być taki, jaki jest. Trzy tego rodzaju argumentacji, w ogóle nie ukazuje się możliwości innego sposobu gospodarowania, znajdującego się poza ograniczeniami systemu.

A w związku z tym, publicystyka oficjalna lansuje pogląd, że konieczne jest uzyskanie akceptacji społecznej dla polityki zamrożenia na jakiś czas stopy życiowej, bo nie ma szans na zwiększenie dóbr konsumpcyjnych.

Towarzyszą temu natrętniejsze niż kiedykolwiek wezwania do wyjątkowej, ofiarnej pracy i ogólnikowe stwierdzenie o konieczności pozytywistycznego podejścia do rzeczywistości, co należy odczytywać głównie jako apel o rezygnację z aspiracji politycznych. Reżim blokował jednak skutecznie wszelkie inicjatywy, również gospodarcze, które można by interpretować jako pozytywistyczne: Fundacja Rolna, paraliżowanie małych autentycznych spółdzielni mieszkaniowych, odmowa zarejestrowania

wania organizacji, chcącej włączyć się w proces rozwiązywania kryzysu mieszkaniowego itp. W tym ostatnim przypadku uzasadniono odmowę twierdzeniem, że państwo się tym zajmuje, a następnie powołano radę do spraw mieszkalnictwa przy rządzie - jeszcze jedno fasadowe ciało. Co naprawdę zmieni się na drugim etapie reformy, to się dopiero zobaczy.

Cały ów postgrudniowy pozytywizm sprowadza się więc znowu do lepszej pracy na państwowej posadzce i rezygnacji z postaw roszczeniowych. Państwo uważa je za naganne i tworzy skomplikowane mechanizmy płacowe, które samo łamie, lecz które mają stworzyć wrażenie, że załogi same wypracowują sobie zapłatę, tak jakby nie odbywało się to według aekonomicznego schematu. Chodzi zaś o zdjęcie z państwa odpowiedzialności za wysokość zarobków. Oczywiście, odczucie społeczne bezbłędnie wyłapuje różnicę między tą fikcją a rzeczywistością. Ze stwierdzeniem, w ankiecie "Polacy '84", "zarobki i dobrobyt takich ludzi, jak..., bardziej zależy od polityki i ogólnych decyzji, niż od naszej własnej pracowitości i zdolności" zgodziło się 64 proc. odpowiadających /35,9 proc. - zdecydowanie tak i 28, 1 proc. - raczej tak/.



Następne pole natarcia propagandowego, to tzw. opiekuńczość państwa. Był to jeden z podstawowych kanonów, wręcz mitów realnego socjalizmu. Na samym początku, kiedy powszechny dobrobyt miał być jeszcze przyszłości, zwracano uwagę, że nowy ustrój zapewnia wszystkim bezpłatne mieszkanie, szkolnictwo, opiekę lekarską, tani lub darmowy dostęp do kultury, takież - do wypoczynku, system rent i emerytur, no i powszechne zatrudnienie. Wszystko to dawno stało się iluzją albo karykaturą, przy czym w okresie kryzysu ów proces desocjalizacji socjalizmu został wydatnie przyspieszony. Mieszkań, po pierwsze - nie ma, a te, które się otrzymuje obecnie, są bardzo drogie, jak na relację zarobków i cen. Lecznictwo znajduje się w stanie rozkładu i jest w dużym stopniu skorumpowane; skuteczne leczenie wymaga bądź wysokiej pozycji społecznej, bądź znacznych środków. Z oświatą jest podobnie, przy czym najwęższym jej gardłem są nieodmiennie przedszkola, w których miejsc jest zawsze kilkakrotnie mniej, niż potrzeba przy systemie wymuszającym pracę kobiet. Wyjazdy urlopowe w latach osiemdziesiątych stały się ze względu na cenę niedostępne dla większości zatrudnionych. Dostęp do kultury jest drogi, dla większości rodzin ogranicza się do posiadania czarno-białego telewizora i odbiornika radiowego. Z rent i emerytur przeważnie nie sposób żyć. Jedyne, co pozostało, to praktyczna pewność znalezienia jakiejś pracy.

Procesowi temu towarzyszy swoiste wypominanie, na zasadzie: "Nie podoba się wam socjalizm, więc macie elementy kapitalizmu! Tak, zresztą, jest w świecie, a w dodatku państwa w dobie kryzysu nie stać na taką nadopiekuńczość". Tak bowiem nazywa się stan, w którym m.in. suma świadczeń socjalnych jest niższa od sumy wkład i potrąceń na nie. Z drugiej strony, stan ten ciągle jest prezentowany jako wielka zdobycz, którą społeczeń-

stwo mogłoby utracić wraz z socjalizmem. Jak zobaczymy za chwilę, do wielu ludzi dociera taka argumentacja. Ci, którzy widzą tylko dobrobyt Zachodu, oparty na wysokich płacach, nie bardzo zdają sobie sprawę z charakteru i sposobu działania różnych wariantów "welfare state". Mało do kogo też dociera, że bezrobocie w bogatych krajach nie jest absolutnym brakiem wszelkiego zajęcia, jak było w Polsce w latach kryzysu 1929-33, lecz brakiem pracy, jaką zainteresowani uważają za należną im. W końcu byle jaką pracę znajdują gospodarze - w Europie, Latynosi w USA i Polacy na saksach - wszędzie. Praca ta, na którą wybrzydzą w Polsce liczni publicyści, nie jest na ogół gorsza, niż to, co oferują nasze wydziały zatrudnienia, a co stanowić ma przedmiot dumy i obywatelskiego obowiązku.



Powtarzana już piąte dziesięciolecie socjalistyczna frazeologia ciągle jednak trafia jeszcze do przekonania większości, jakby na przekór doświadczeniu. Ponad 90 proc. społeczeństwa dostrzega /wszystkie dane na ten temat są z ankiety "Polacy '84"/ kryzys, 40,3 proc. zgadza się, że socjalizm zawsze w Polsce powodował niedostatek, lecz tylko 21,7 proc. uznaje, że przyczyną kryzysu są zasady ustroju socjalistycznego, 71,6 proc. wśród przyczyn kryzysu widzi brak wpływu społeczeństwa na władzę, lecz widać nie wszyscy łączą to z socjalizmem. 43,6 proc. sądzi, że socjalizm ma większe możliwości rozwoju gospodarczego niż kapitalizm /33,4 proc. jest odmiennego zdania/, zaś 50,1 proc. uważa, że w kapitalizmie więcej jest niesprawiedliwości i wyzysku niż w socjalizmie.

Przewaga socjalizmu w umysłach jest widoczna, lecz nie jest przytłaczająca i daleka od oficjalnego kanonu, mówiącego, że społeczeństwo popiera jego zasady, zaś tylko jakaś antysocjalistyczna ekstrema jest przeciw. W dodatku, owe prosocjalistyczne zapatrywania siabną z upływem czasu i mają raczej abstrakcyjny charakter. W ocenie realnej rzeczywistości społeczeństwo jest bardziej krytyczne. Według badań Centrum Badań Opinii Społecznej w 1986 r. 53 proc. ludności obarczyło winą rząd za stan gospodarki, a jeśli dodać do tego winiących inne instancje władzy, partię i ustrój, to liczba ta osiąga 87 proc. ogółu. Można zaryzykować twierdzenie, że w większości jest on rewizjonistyczny w stosunku do systemu, czyli zajmuje to stanowisko, jakie zajmowała cała prawie opozycja jeszcze kilka lat temu.

Znacznie bardziej istotny jest stosunek do konkretnych wartości i do koncepcji. Zupełnie nie znajduje w nim odbicia lansowany przez władzę pogląd, że przemożny egalitaryzm społeczeństwa uniemożliwia proefektywnościową reformę. Silne elementy egalitaryzmu występowały jeszcze w 1980 roku, lecz był to, podyktowany doraźną sytuacją, sprzeciw przeciw przywilejom ludzi władzy i etosowi gierkowskiego dorobkiewiczostwa. Wówczas elitaryzm odbierany był jako przynależny władzy i spreczny z solidarnościowym nastrojem społeczeńst-

wa. Dość szybko uległo to znacznej zmianie. Już w 1984 roku 80,8 proc. było za silnym zróżnicowaniem zarobków w zależności od kwalifikacji, podczas gdy w 1980 roku było za tym tylko 53,4 proc. Ograniczenia najwyższych zarobków domagało się w 1980 roku 89,7 proc., a w 1984 roku - 56,2 proc. Polityki pełnego zatrudnienia żądało 77,8 proc. w 1980 roku i 53,4 proc. w roku 1984. Aż 34,4 proc. dopuszczało w 1984 roku bezrobociu, a 81,9 proc. godziło się na zwalnianie nieefektywnych pracowników. Tyle samo było za wprowadzeniem praw rynku i konkurencji. Natomiast za szerszym zakresem sektora prywatnego w gospodarce wypowiedziało się 59,5 proc. ankietowanych, w tym 62,3 proc. robotników wykwalifikowanych i 55,3 proc. niewykwalifikowanych. Lansowanie przez propagandę twierdzenia, że klasa robotnicza jest przeciw inicjatywie prywatnej jest więc kłamstwem i kreowaniem konfliktu tam, gdzie go nie ma.

W roku 1984 już egalitaryzm był uznawany za właściwość władzy, którą postrzegano raczej jako przeciwnika proefektywnościowych przeobrażeń. Odbierali ją tak zarówno jej zwolennicy, jak i przeciwnicy, tylko z odmienną oceną. Ci, którzy byli za władzą - 21,2 proc. popierających wzrost roli PZPR w gospodarce - jawili się jako przeciwnicy reformy, ci, którzy byli za reformą - byli przeciwnikami władzy /58 proc. przeciwnych wzrostowi roli PZPR w gospodarce/ i uważali, że władza jest reformie przeciwna.

Jednocześnie zaobserwowano, że pomimo kryzysu poziom potrzeb materialnych raczej wzrasta - 96,7 proc. wymieniło dostatanie życie jako wartość ważną dla dobra Polski. Przekreśla to nadzieje na redukcję potrzeb do poziomu redukujących się możliwości systemu, na czym władza chciałaby oprzeć swój plan stabilizacji.

W rozbiciu na poszczególne grupy społeczne, można powiedzieć, że zwolennicy polityki gospodarczej władzy przeważają wśród ludzi starszych, raczej o niższych kwalifikacjach, mieszkających w mniejszych ośrodkach. Młodszy, kwalifikowani, są jej raczej przeciwni. Istotny jest bardzo podział na robotników wykwalifikowanych i niewykwalifikowanych, jeśli chodzi o stosunek do rzeczywistości społecznej. I to do tego stopnia, że podważa to opinię o klasie robotniczej jako o w miarę jednolitej grupie.

Bardzo natomiast jednolity jest stosunek do sposobów "regulacji", stosowanych przez władze wobec wystąpień społecznych. Podejście do form protestu jest zróżnicowane; wobec najważniejszej - strajku - 48 proc. było za i 41,6 proc. było przeciw. Natomiast przeciw użyciu wojska wobec strajkujących było 78,8 proc., przeciw użyciu milicji wobec demonstrantów - 70,1 proc., przeciw surowym wyrokom za demonstracje - 66,9 proc. i przeciw zakazowi protestu - 59. Nie wynika z tego, że władza nie ucieknie się ponownie do tych metod, lecz wiadomo, że nie będzie mogła liczyć na zrozumienie w tym względzie. Stan wojenny wyczerpał się jako narzędzie polityczne, mające uzdrawiać gospodarkę i to w okresie, gdy konflikt z systemem znowu może wejść w ostre stadium.



Badania opinii publicznej wykazują powszechne i stałe rozmiękanie się postrzegania przez nią rzeczywistości z obrazem podawanym przez władzę. Rok 1983 był bez wątpienia najlepszym, jak dotąd, w latach osiemdziesiątych, jeśli chodzi o poprawę wyrażaną przez podstawowe wskaźniki. Tymczasem w ankiecie Instytutu Rynku Wewnętrznego i Konsumpcji - relacjonowanej przez "Trybunę Ludu" - 45 proc. stwierdziło, że w roku tym nastąpiło pogorszenie sytuacji gospodarczej, zaś tylko 18 proc. skonstratowało jej poprawę. Według badań Centralnego Biura Opinii Społecznej, w 1984 roku jako złą oceniono sytuację 33,2 proc., w rok później - 37,9 proc., zaś w 1986 roku już 51,2 proc. Jeśli chodzi o perspektywy, to liczba optymistów w latach 1984-85 spada z jednej czwartej do jednej dziesiątej populacji, zaś pogorszenie przewidywało 37,6 proc. I to wszystko przy "wychodzeniu z kryzysu"!

Potwierdza to nieprzystawalność pojęć języka, jakim operuje propaganda i publicystyka, do potrzeb i oczekiwań ogółu społeczeństwa. W tym dialogu gęsi z prośieniem mamy ze strony władzy "cele i zamierzenia", "progi i bariery", "obiektywne uwarunkowania", "trudności" - wszystko w dużych, płynnych zdaniach, stwarzających poczucie, że coś się robi i coś z tego wyniknie.

W oficjalnym i półurzędowym języku ekonomicznym często jest używany przy tym przymiotnik "realistyczny", zwłaszcza w odniesieniu do odczuwalnych trudności i bardzo skąpych możliwości ich pokonywania. Jeśli jednak w piątym dziesięcioleciu po wojnie kraj, o którym wszyscy wiedzą, że ma nienajgorsze warunki naturalne /gleba, klimat, surowce, połączenia ze światem/, jeden z wyższych w świecie wskaźników zatrudnienia, dość przyzwoicie wykształcone społeczeństwo, zbudowany wielkim wysiłkiem potencjał produkcyjny, jaką taką infrastrukturę itp. - otóż jeśli ten kraj znajduje się w stanie trwałego kryzysu, bez widocznej perspektywy wyjścia, w okresie, gdy kraje bardziej od niego zacofane w Europie i III świecie dokonują znaczącego postępu, to we wszystkich rodzi się pytanie: jakie są tego realne przyczyny? "Realizm", który pomija te podstawowe realia, nie może być traktowany poważnie i stanowić podstawy do poważnej dyskusji ze społeczeństwem, zwłaszcza że to odbiega od tego, co było obiecywane parokrotnie po dokonanych zmianach. Gdyby w pierwszej połowie lat pięćdziesiątych ktoś powiedział, że będzie w trzydzieści lat po zakończeniu Planu Sześcioletniego, byłoby to uznane za "szeptankę" i odpowiednio potraktowane, łącznie z odbiciem nerek. Nie wszyscy to już mogą pamiętać osobiście, lecz pamięć zbiorowa zachowała te obietnice, oparte na "obiektywnych, jedynie słusznych, naukowych" przesłankach. Te obietnice i nadzieje oraz wysiłek i wyrzeczenia, jakie to kosztowało, również należą do realiów. Rozliczenia się nie zastąpią zdawkowe wzmianki o "romantycznym socjalizmie" /!?, jak i twierdzenia o "woluntaryzmie Gierka i anarchii Solidarności".

Na każdym kroku rodzi się wątpliwość, czy strony mówią o tym samym. Na przykład: "równowaga rynkowa", bądź dążenie do

niej, lub też pojawiający się coraz częściej, cokolwiek poetyczny "dobry rynek". Ogół konsumentów chciałby natomiast uzyskać odpowiedź, czy chodzi o taki rynek, na którym wszystko i zawsze jest do kupienia, bez poszukiwań, kolejek, przydziałów, protekcji i spekulacji. Taki rynek istnieje w większości krajów świata, natomiast już tylko najstarsi ludzie pamiętają go w Polsce.

W sytuacji gdy ok. 60 proc. uposażeń znajduje się poniżej przeciętnego - niekiedy znacznie - a przeciętne wystarcza na minimum socjalne dla dwóch osób: według szacunków OPZZ /10-12 tys. miesięcznie, co może pokryć skromne wydatki bieżące bez uwzględnienia tzw. podstawowego zagospodarowania i jego odtwarzania/ interesująca jest już tylko - po czterdziestu latach takiej relacji - odpowiedź na pytanie: czy i kiedy płaca za normalną pracę pozwoli utrzymać niewielką rodzinę na poziomie uznawanym za w miarę godziwy w Europie na przełomie II i III tysiąclecia.

Podobne pytania istnieją odnośnie sytuacji mieszkaniowej, miejsc w przedszkolach, stanu komunikacji, inżynierii miejskiej, funkcjonowania oświaty, służby zdrowia itd. Jeśli w gospodarce planowej nie uzyskuje się na nie odpowiedzi, wówczas żadne porozumienie nie jest możliwe.

Ekonomiści dają wyraz swemu zdziwieniu z tego powodu, że ludzie zabiegają o coraz większe ilości coraz mniej wartych złotych, nie bacząc, że ich stan posiadania w ten sposób bynajmniej nie rośnie. Trzeba być bardzo wglębnym w teorię, by nie dostrzegać tej prostej rzeczy, że kiedy pieniądź traci na wartości, to trzeba go coraz więcej, by pokryć choćby dotychczasowe potrzeby. Walka o te coraz marniejsze złotówki jest więc walką o obronę poziomu życia oraz ochronę własnej pracy przed deprecjacją: "pracuję tyle samo, a mam z tego mniej". Zresztą, nie wiadomo, czy ci, którzy widzą całą rzecz, skłonni są nie przyjąć nagród, honorariów czy podwyżek uposażeń. Inni dziwią się, że "ludzie nie chcą pracować", chociaż się skarżą na biedę. Wolą siedzieć na marnych rentach, symbolicznych już zasiłkach macierzyńskich, a nie korzystają z oferty pracy w nadgodzinach, póletatach itp. Tymczasem w skali gospodarstwa domowego, w przeciwieństwie do Komisji Planowania, dysponuje się wyłącznie własnym czasem, energią i własnymi pieniędzmi, co przy szczupłym zasobie tych wartości i bardzo ograniczonej możliwości manewru, wymusza racjonalność i efektywność w stopniu nierealnym dla gospodarki państwowej. Przy chronicznym braku czasu, zmęczeniu coraz trudniejszymi warunkami życia - w tym pogonią za nabyciem dóbr - i przy odczuwalnym zaniedbaniu domu i rodziny, tylko naprawdę rozpaczliwa sytuacja może zmusić rozsądnego człowieka do poświęcania paru godzin codziennie dla paru tysięcy miesięcznie, skądinąd nawet bardzo potrzebnych. Doktorom nauk ekonomicznych może nie przyjść do głowy, że zajęcie o właściwej porze dobrego miejsca w kolejce po mięso dla dużej rodziny może być bardziej opłacalne, niż zarabianie w tym czasie niewielkich pieniędzy. Z kolei ci, którzy tego nie potrafią zrozumieć, nie są partnerami do rozmowy dla tych, którzy doświadczają tych konieczności na co dzień.

Kolejne zdziwienie budzi społeczna obrona... tak uciążliwej dla wszystkich nierównowagi. "Próby likwidacji tej sytuacji napotykają silny opór społeczeństwa, które zachowuje się tak, jakby chciało takiej właśnie gry ekonomicznej. Nie chce się zgodzić na jakiegokolwiek poświęcenia, by tę przewrotną grę wyeliminować" - pisze prof. Józef Pajestka w "Życiu Gospodarczym" /nr 1/87/. Profesor wyjaśnia przy tym, na czym polega przewrotność tej gry. Państwo, "dając więcej" pieniędzy przy niezwiększonej puli towarów i usług, daje w gruncie rzeczy tyle samo. Będą nabyte dobra, które są, przy czym tylko części uda się je nabyć, zostaną zaś puste pieniądze.

Jest to zła gra, o sumie ujemnej, stwierdza autor, ale nie chce jakos zrozumieć, że jeszcze gorszą rzeczą jest wypadnięcie z tej gry. Punkt widzenia w skali makro pokrywa się z interesem tych, którzy wolą zapłacić drożej, lecz należy być potrzebne im dobro z mniejszą stratą czasu, energii i nerwów. Lecz w stosunku do większości dóbr większości konsumentów nie stać na taki luksus. W wielu przypadkach podniesienie ceny oznacza zmniejszenie konsumpcji, bądź całkowite odcięcie od jakichś dóbr, np. artykułów technicznych czy wczasów. Zaś przy relatywnie niższej cenie można to coś wychodzić, wystać, płacąc przy tym kolejnym kawałkiem życia, lecz w końcu jest prawdziwością, że biednego wszystko drożej kosztuje. Nierównowaga dla większości społeczeństwa jest więc mniejszym złem, niż podwyżka cen, która ją zmniejsza i jest lansowana w interesie społecznym, którego to społeczeństwo uparcie nie chce dostrzegać.

Wygląda to tak, jakby uczeni w piśmie, mogąc już pisać otwarcie prawie wszystko, ciągle oszukiwali siebie w sprawie, w której większość społeczeństwa nie żywi już żadnych złudzeń. Otóż po kilkudziesięciu latach regulacyjnych podwyżek, zmierzających do równowagi rynkowej, mało kto wierzy, że będzie ona kiedykolwiek osiągnięta. Władza wszak nigdy nie podnosi cen do poziomu równowagi. Nawet w 1982 roku, gdy brakowało już bardzo niewiele, a społeczeństwo było sterroryzowane przez stan wojenny. Tłumaczy się ona względami społecznymi, tym, że chroni skąbszych, a ostatnio - że ustępuje na żądania OPZZ. W gruncie rzeczy, władza toleruje jedynie równowagę odcinkową, w pewnych segmentach, lecz ten rynek, na którym każdy zawsze i wszędzie kupuje na co go stać, oznaczałby pozabawienie jej jednego z ważniejszych narzędzi panowania nad gospodarką i społeczeństwem. Podwyżki cen mają jedynie zmniejszyć stopień nierównowagi, nazbyt niekiedy kłopotliwy, lecz i to jako cel zupełnie uboczny. Generalnie zawsze chodzi o zmniejszenie konsumpcji, o ekspansję sektora jałowego lub jego obronę kosztem interesów ogółu. I ogół doskonale to rozumie, traktując reformę na każdym jej etapie głównie jako pretekst do podnoszenia cen. Natomiast ekonomiści i publicyści wierzą, bądź udają, że wierzą, iż chodzi o równowagę, której w tym systemie nie było, nie ma i już chyba nie będzie.

Na tym polu nieodmiennie odbywa się główne natarcie systemu na interesy społeczeństwa, tu też daje ono najtwardszy

opór. Z powodu podwyżek cen wybuchały wszystkie buntury społeczne. Z tego powodu upadały kolejne ekipy rządzące. I dla tej polityki wymaga się obecnie akceptacji społecznej, jako głównego warunku reformy. A w dodatku domagają się tego "realiści".



Z badań opinii publicznej nie wynika bynajmniej, aby władza, poza swym aparatem, pozbawiona była zupełnie oparcia społecznego. Ma je w różnych grupach, nie stanowiących większości, nie mających spójnego zestawu poglądów /nb. przeciwnicy władzy też nie zawsze go mają/. Nie są to grupy usytuowane na węzłowych obszarach, jakimi są wielkie ośrodki przemysłowe, kręgi opiniotwórcze. Nie są to siły, które by mogły władzy zagrozić, ale też trudno liczyć, by wystąpiły one w jej obronie. Wśród nich trudno zauważyć kategorię, do której w pełni pasowałoby określenie Aleksandra Zinowiewa: Homo sovieticus, w skrócie homosos. Chodzi o człowieka o zredukowanych potrzebach, który akceptuje wewnętrznie i w swym postępowaniu reguły gry ustroju, pozwalające mu na minimalizację wysiłku z jego strony i dające elementarne bezpieczeństwo, choćby w postaci braku ryzyka. W opisywaniu tej grupy lubują się liczni publicyści, w tym opozycyjni, jak choćby Piotr Wierzbicki w "Myślach staroświeckiego Polaka", ale opis ten nie bardzo przystaje do rzeczywistości.

Oczywiście, sowietyzacja w postawach i zachowaniach rozpowszechniła się dość szeroko w różnych kręgach społeczeństwa. Są ludzie, którzy jakoś sobie radzą w warunkach realnego socjalizmu, a nie mieliby żadnych szans w społeczeństwie otwartym i przy gospodarce rynkowej. Ale oni sobie z tego nie zdają sprawy i czują się tak samo skrzywdzeni, jak inni. Ponadto - poza patologicznym marginesem - nawet ci, co mają mocno zredukowane potrzeby, nie czują się już bezpiecznie w warunkach przeciągającego się kryzysu, kiedy zagrożona jest coraz bardziej wartość jakichkolwiek zarobków i ograniczane są formy zabezpieczenia socjalnego. Można też z dużą pewnością przypuszczać, że w momencie napięcia staną one przeciw władzy.

Specyfiką polskiej sytuacji społecznej lat osiemdziesiątych wydaje się to, że aczkolwiek są grupy, którym się dobrze powodzi i są grupy, które popierają istniejący porządek, lecz nie ma znaczących grup - również w aparacie władzy - które by pozytywnie oceniały sytuację społeczną i gospodarczą oraz prowadzoną w tym względzie politykę. Nie widać też takiej proklamowanej publicznie koncepcji, takiej linii postępowania, która by mogła jednocześnie zyskać poparcie tak władzy, jak i decydujących kręgów społecznych. Nikt też nie ma siły, aby swoją koncepcję narzucić. Siła władzy wystareza jedynie, aby utrzymać tę sytuację, która jest i która jej samej nie odpowiada.

Jest to typowa sytuacja pata, w którym strony nie mogą wykonać decydującego ruchu. Mówi się o nim wiele od 13 grudnia, widząc tę sytuację w polityce, na linii władza-opozycja. Lecz pat jest o wiele poważniejszy, bo dotyczy już kwestii ustroju, który należałoby zmienić, by wyciągnąć Polskę z cywilizacyjnej

zapaści, w jaką ją wepchnął realny socjalizm.

Niemówność zmiany wynika nie tylko z tego, że klasa właścicieli Polski Ludowej, pokrywająca się z aparatem władzy, nie zamierza tego ustroju zmieniać. Nie ma takich sił - na co zwraca uwagę socjolog Jadwiga Staniszkis - które byłyby bezpośrednio zainteresowane w zmianie ustroju, a nie tylko warunków i sposobu jego funkcjonowania. Nie jest istotne to, że wciąż jeszcze więcej ludzi opowiada się teoretycznie z nie za socjalizmem. Rosnąca mniejszość otwartych jego przeciwników jest już znacznie większa od grup, które w różnych krajach i różnych okresach podejmowały zwycięskie rewolucje. Tyle tylko, że te grupy miały swój bezpośredni interes ekonomiczny, żeby obalić stary porządek. W feudalizmie burżuazja wiedziała, na ile wzmocnią się jej wpływy i powiększą dochody z już prowadzonego biznesu, jeśli zniszczy system ograniczeń dla niej i przywilejów dla feudałów. Chłoptwo liczyło na ziemię i wolność. W realnym socjalizmie, jak dotąd, klasa pracowników najemnych państwa, nawet mając świadomość, że jest krzywdzona przez ustroj, walczy o zwiększenie swego udziału w dystrybucji dóbr, a nie o zniesienie dystrybucji wraz z systemem, który ją rodzi. Załogi nie zamierzają przejmować zakładów, zdając sobie sprawę z ich faktycznej nierentowności, a samorzady traktują jako zastępcze związki zawodowe. Nie są też zainteresowane, aby te zakłady przejmował prywatny kapitał, gdyż też nie obiecują sobie po tym wiele dobrego, znając sytuację swoich zakładów. Potrzebują więc nadal państwa-właściciela tych zakładów. Mogą natomiast walczyć, jak to robili w ciągu całej historii PRL, o ograniczanie sektora jałowego, pracującego wyłącznie na potrzeby własne i państwa.

Sektor prywatny, któremu socjalizm wyraźnie przeszkadza w interesach, znajduje się - zdaniem Staniszkis - raczej w stanie konsumpcyjnej symbiozy z władzą niż konkurencji. Wydaje się jednak, że odnosi się to do poza państwowego sektora. Rolnictwo indywidualne jest już tylko opresjonowane. Skądinąd jednak jest to grupa interesów niezwykle trudno organizująca się, co wykazał okres między Sierpniem a Grudniem. Poza tym, rolnicy mają o co walczyć z władzą jeszcze w ramach istniejącego ustroju, dopóki władza ustala ceny skupu produktów rolnych i wszystkiego, co jest rolnictwu potrzebne i dopóki w jej gestii jest decyzja o tym, co będzie - lub nie - dla rolnictwa robione.

Wydawałoby się zatem, że tu jest jakaś płaszczyzna porozumienia z władzą, głoszącą, że chce ona usprawnienia swej gospodarki, co pozwoliłoby na wygospodarowanie nieco większej ilości dóbr dla społeczeństwa. Ale władza jest już na tyle "realistyczna", że wie, w jak niewielkim stopniu to jest możliwe. Woli więc używać ogólników, a tym nikt już w kraju nie wierzy. Na gruncie systemowych pryncypiów władza mogłaby się jeszcze ze znaczną częścią społeczeństwa dogadać. Ale konkret przekreśla taką możliwość. A gospodarka i życie społeczne, to jednak konkret...

Ernest Skalski

Wszystko inaczej

STOCZNIA Punktem wyjścia do tego myślenia była wiadomość prasowa o prawdopodobieństwie bankructwa Stoczni Gdańskiej im. Lenina. Polska bez niej stałaby się przecież zupełnie innym krajem, niż lat 7, 17, 31, a nawet przedtem. Odkąd sięga pamięć większości aktywnych dziś pokoleń, Stocznia zajmowała wyjątkowe miejsce w polskim pejzażu społecznym, politycznym, gospodarczym.

Od strony gospodarczej - najpierw byliśmy z niej dumni, jako ze świadectwa wzrostu, awansu cywilizacyjnego kraju, jego wychodzenia na szerokie wody przemysłowej nowoczesności. Później - gdzieś od lat siedemdziesiątych - zaczęliśmy sobie zdawać sprawę z rozżewu między propagandowym wizerunkiem Stoczni a jej rzeczywistością, jednak z nadzieją, że może być uzdrowiona przez zmiany w organizacji, zarządzaniu, w stosunkach pracy. Wreszcie, w ostatnich latach, dotarła do nas prawda, że Stocznia staje się dla gospodarki narodowej c o r a z c i ę ż s z y m b a l a s t e m, który należy odrzucić.

Od strony społecznej - była ona jednym z ważniejszych ośrodków formowania się nowoczesnej polskiej klasy robotniczej. Od strony społeczno-politycznej... Wraz ze Stoczną znikłby materialnie jeden z głównych symboli ruchu-solidarnościowego. Ale rzecz nie w tej symboliczności. Chodzi o Stocznnię i jej sytuację, jako skutek i fragment procesów znacznie szerszych. Gdybyśmy jej załogę porównali do społeczeństwa pracującego, a ją samą do całości przemysłu "uspołecznionego", czy nawet całości gospodarki "socjalistycznej", to otrzymalibyśmy obraz o niezwykłej wymowie. Oto bowiem pod znakiem zapytania stoi istnienie Stoczni, jako terenu w s p ó l n e j p r a c y danej społeczności i zaspokajania przez nią wielorakich potrzeb, tradycyjnie zaspokajanych w związku z pracą, ale także samo i s t n i e n i e owej społeczności jako społeczności /załogi/. W razie bankructwa, składający się na nią ludzie musieliby się rozproszyć, szukając możliwości pracy i życia na poziomie i w warunkach, o których w dużej mierze zdecydowałyby ich i n d y w i d u a l n a zaradność.

KONIEC Społeczeństwo polskie, jako całość, znajduje się w "ZAŁOGI"? sytuacji pod wieloma względami analogicznej. Co prawda, bankructwo jeszcze f o r m a l n i e nie nastąpiło i przeważająca część z nas wciąż stanowi "załogę" tzw. uspołecznionego sektora gospodarki. Pod różnymi względami zachowujemy się wszelako tak, jakby sektor ten faktycznie już

zbankrutował - nie jak "załoga", ale jak zbiór jednostek, rodzin, a najwyżej małych grup nieformalnych, które starają się wyżyć na własną rękę.

Funkcjonują one w sposób ekonomicznie racjonalny, lecz racjonalnością, która coraz mniej liczy się z obowiązującymi w tym sektorze regułami gry, mającymi służyć interesom zarówno państwowego pracodawcy, jak i ogółu zatrudnionych. Do zjawisk coraz bardziej powszechnych - i wątpliwe, czy zmieni to tzw. II etap reformy - należy więc oszczędzanie w miejscu pracy czasu i sił, by je inwestować w inne zajęcia, intratniejsze lub przynoszące pożytek w postaci np. niezbędnych zakupów. Zresztą również i praca w nadgodzinach, choć opłacalna, zgodna z przepisami i jak najlepiej widziana przez administrację gospodarczą, jest destrukcyjna, szkodząca rozwojowi sił wytwórczych w sektorze, o którym mówimy, bo prowadzi do zastępowania organizacji, postępu technicznego i konserwacji maszyn wzmoczoną eksploatacją siły roboczej. Innym przejawem racjonalności ekonomicznej, sprzecznej z założeniami gospodarki "uspołecznionej" i równoznacznej z dezintegracją społeczeństwa pracującego, z zatracaniem przez to społeczeństwo charakteru "załogi", są wszelkiego rodzaju aktywności spekulacyjne: coraz bardziej nagminna odsprzedaż z zyskiem lub wymiana deficytowych dóbr /towarów i usług/, gdziekolwiek pracujący takimi dobrami dysponują.

MILIARDERZY Coraz większą skalę przybiera jednak przede wszystkim poszukiwanie brakujących dóbr i pieniędzy na a s z e w n ą t r z z sektora uspołecznionego - w którym są one nieosiągalne. Prywatna przedsiębiorczość w sektorze nieuspołecznionym stanowi tu tylko jedną z możliwości. Do niej dochodzą m.in. zarobkowe wyjazdy na Zachód, tzw. turystyka handlowa, wszelkiego rodzaju "fuchy" i przedsięwzięcia, obejmowane mianem gospodarki zacienionej. Wpływy doradca rządowy, prof. Antoni Rajkiewicz, pisał niedawno /"Życie Gospodarcze" nr 34/1987/, na podstawie dostępnych sobie źródeł, że dochody ludności z gospodarki n i e e w i d e n c j o n o w a n e j, nie kontrolowanej w żaden sposób przez państwo, szacuje się na sumę od 1000 do 1700 miliardów złotych w skali rocznej /1986/! Oznacza to, że dochody nieewidencjonowane stanowią ok. 20 proc. dochodów ewidencjonowanych. Jednocześnie, mamy obecnie w Polsce 3,5 mln kont walutowych, czyli że posiada je c o t r z e c i e gospodarkę domową. Łącznie na tych kontach znajduje się 2 miliardy dolarów. Prawie drugie tyle dewiz ludzie przetrzymują prawdopodobnie "w pożyczkach". Łącznie - licząc po kursie bonów - byłaby to kwota znacznie przekraczająca sumę w s z y s t k i c h o s z c z ę d n o ś c i z ł o t ó w k o w y c h społeczeństwa!

Dla pieniędzy napływających z zagranicy i nieewidencjonowanych zasobów złotówkowych potrzebne jest, oczywiście, pokrycie w towarach i usługach. Dostarczają go różne, niekontrolowane przez administrację, działalności rzemieślnicze /np. budowlane/, w tym "fuchy" oraz wycieki z majątku nale-

żącego do władzy /"państwowego"/. W przytoczonym powyżej tekście prof. Rajkiewicz twierdzi, że transfer rozmaitych środków z gospodarki "uspołecznionej" do sektora prywatnego lub prosto do rąk ludności - równoznaczny ze stratami tej pierwszej w narzędziach produkcji, materiałach i towarach - szacowany jest na sumę 800 mld zł rocznie... Ponadto wiele dóbr - dla pokrycia wspomnianych zasobów pieniężnych - dociera do kraju ze źródeł zagranicznych: przez kontrabandę z krajów obozu i bardziej egzotycznych oraz różnymi drogami z Zachodu /także przez "Pewex", "Baltonę" i podobne im instytucje/. Poza wszelkimi "uspołecznionymi" formami handlu i zaopatrzenia - aby się raz jeszcze powołać na Rajkiewicza - sprowadzono do Polski około 500 tys. sztuk aparatury video oraz 100000 komputerów osobistych! Zresztą nawet okrawki owoców Welfarstate - które tam są prawie bez wartości, więc napływają do nas dość szeroko w formie różnych "zrzutów" i darów, przemytu i prywatnego importu - nabierają w PRL walorów handlowych i prestiżowych. Mamy do czynienia z żywieniem się kaskami i odpadkami z suto zastawionego stołu zachodniego. Nasze szczęście, że tak suto!

INNA JAKOŚĆ Ogół zabiegów, za pomocą których społeczeństwo zdobywa i wytwarza /choć wytwarza w mniejszym stopniu/ brakujące mu dobra, wbrew regułom gospodarki "socjalistycznej", składa się na rozległą sferę działalności gospodarczej, przebiegającą p o n a d g r a n i c a m i tradycyjnie definiowanych sektorów, po obu stronach granicy między legalnością a nielegalnością. Podobną sferę w gospodarce sowieckiej próbowali opisywać m.in. Alain Besançon, lecz w obecnych warunkach polskich przybrała ona zdecydowanie n o w ą j a k o ś ć. Strefa ta jest dotychczas ledwie dostrzegana przez nauki ekonomiczne, bywa raczej tematem dywagacji, czasem sporów publicystycznych, niż gruntownych badań. Panujące w niej stosunki są jednak bezspornie z a p r z e c z e n i e m wszelkiego uspołecznienia, rozumianego tak, jak je pojmowali nie tylko klasycy marksizmu. Również - wszelkiego rodzaju marzyciele, wizjonerzy, twórcy religii oraz bardziej współcześni teoretycy i praktycy, którzy próbowali dowodzić, że człowiek jest z natury istotą społeczną, jego pełna realizacja wymaga harmonijnej łączności z ogółem społecznym, zaś inicjatywa społeczna, zaradność zbiorowa, jest co najmniej tak samo naturalną formą działalności ludzkiej, jak przedsiębiorczość indywidualna.

Wielka Encyklopedia PWN, z roku 1967, definiuje u s p o - z e c z n i e n i e /socjalizację/, jako "nadanie społecznego charakteru jakimś obiektowi. W węższym znaczeniu - zmianę własności środków produkcji z prywatnej na społeczną". Mówi się tam również o uspołecznieniu jednostki. Termin ów bywa odnoszony do różnych form współżycia międzyludzkiego, które wirtualnie mieszczą się w polu między darwinowską walką o byt, a "zestrzeleń" potrzeb psychicznych jakiegoś zbioru ludzi, jego interesów i nastawień. Formuła "z e s t r z e l e n i a" pochodzi od Edwarda Abramowskiego - najbardziej oryginalnego w XI-wiecznej myśli polskiej teoretyka i ideologa socjalizacji.

Autorzy chrześcijańscy lubią określenie "uczucie wspólnotowe", Charles Gide posługiwał się terminem "duch społeczny". Niejednoznaczny, nawet u Marksa, projekt uspołecznienia - w sensie daleko wybiegającym poza ekonomię - znalazł się u podstaw jego pojęcia socjalizmu.

MECHANIZMY ODSPOŁECZNIANIA

Praktyka systemu sowieckiego i pochodnych doprowadziła - według formuły prof. Leszka Nowaka - do niespotykanego w tej totalności i całości życia zbiorowego. Prawdziwe uspołecznienie wymaga bowiem zachowania podmiotowości jednostki. "Społeczność ludzi szczęśliwych, to taka rzeczywistość, w której człowiek odnajduje przestrzeń do realizacji swej negatywnej wolności - podejmowania lub zaniechania działań, nie zawsze dyktowanych korzyściami ogółu" /Abramowski/. Uspołecznienie, to swobodna interakcja międzyludzka /ostatnio zwracał na to uwagę, aktualizując odpowiednie wątki myśli Abramowskiego, Przemysław Ogrodziński w artykule "Człowiek i jego uspołecznienie w teorii E.A." - Colloquia Communia 2-3, 1986/. Gdy staje się ona niemożliwa, zostaje sparaliżowana, ludzie są zdolni i skłonni realizować wyłącznie swoje cele jednostkowe. Zamiast uspołecznienia w społeczeństwie centralnie sterowanym - nadsterowanym we wszystkich przejawach swego życia - zapanowuje kolektywizm, który znajduje się w bardziej radykalnej sprzeczności z uspołecznieniem, niż stosunki, które obserwował Marks: w sprzeczności niemal absolutnej, bo w ogóle zamyka drogę do autentycznego współdziałania społecznego. Niszczy więzi społeczne, nawet w sensie porozumienia co do wspólnych wartości, gdyż narzucany całej ludności /która w warunkach kolektywizmu przestaje być społeczeństwem/ język odrzera pojęcia ogólne - takie, jak choćby sprawiedliwość, prawda, patriotyzm - z jakiegokolwiek żywej treści. Ten właśnie proces - niszczenia więzi społecznych przez zawłaszczenie języka - Leszek Kołakowski na początku lat siedemdziesiątych nazwał **sowiecizacją**. Przełamanie monopolu informacji w Polsce, i nie tylko w Polsce, wymagania rozwoju przemysłowego, ruchy samoorganizacji społecznej z "Solidarnością" na czele, rozluźniły co prawda gorset kolektywizmu. Stale niebezpieczna pozostaje jednak aspiracja do nadsterowania, z której ten system przecież nie rezygnuje, która stanowi niejako jego rdzeń i wciąż z niemalym skutkiem przejawia się w obezwładnianiu społeczeństw i składających się na nie ludzi.

ŚCIGANIE CHIMERY

Mimo że idea uspołecznienia nie ma pozytywnych doświadczeń na większą skalę, że ma oos z bezskutecznego ścigania chimery, a praktyka realnego socjalizmu sprowadziła ją do jej przeciwności - w a - rządy komunistyczne przez pewien czas wzmacniały jej oddziaływanie w społeczeństwie polskim. Zwłaszcza w początkach PRL zideologizowana propaganda i niektóre konkretne rozwiązania ustrojowe, reformy, przyczyniły się do tego, że znaczna część społeczeństwa, odrzucając praktykę,

przejęła się jednak deklarowanymi celami nowego ustroju. Aktywne w okresie powojennym pokolenia na ogół dobrze przyjęły deprywatyzację gospodarki - nie tylko jako za-doszczynienie uczuciom egalitarnym, lecz również jak szansę podmiotowego udziału w kształtowaniu rzeczywistości społecznej. Chciały wierzyć w perspektywę życia i pracy w warunkach zgodnego współdziałania w skali grup społecznych i pomiędzy nimi, w sensowność wspólnego wysiłku.

Myśl, że "socjalizm tak, wypaczenia nie" - choć nie w tej postaci werbalnej - po raz pierwszy pojawiła się już w 1956 r. Młodą inteligencję i załogi robotnicze ożywiały najwyraźniej aspiracje do współgospodarowania w zakładach pracy - głównie poprzez rady robotnicze, jako czynnik samorządności, do partnerstwa z władzą w rozstrzyganiu spraw publicznych, do eksperymentowania w budowie "polskiego socjalizmu", czyli jakiegoś ładu, radykalnie zrywającego z modelem sowiecko-stalinowskim, lecz opartego na własności państwowej, która wydawała się jeszcze wtedy, jeśli nie formą uspołeczniania, to przynajmniej drogą do tego celu. Dlatego w październiku społeczeństwo obdarzyło zaufaniem Gomułkę, mimo że był komunistą. Podobnie miały się rzeczy jeszcze w roku 1970, gdy stoczniońcy /szczecińscy, ale to nieważne/ powiedzieli Gierkowi: "pomozemy".

POTRZEBY I ASPIRACJE W okresie małej stabilizacji gomułkowskiej zaczęła się wprawdzie zaznaczać, a w latach siedemdziesiątych stała się już uderzająca, obecność II obiegu gospodarczego, prywatyzacja i dążenia i sposobów zdobywania dóbr, lecz nadal większość społeczeństwa uważała za możliwe zaspokojenie swoich głównych potrzeb i aspiracji na terenie gospodarki "uspołecznionej" /Stocznia/.

Dla większej jasności dałoby się przy tym wyodrębnić trzy podstawowe kategorie potrzeb i aspiracji, czyli takich potrzeb, których zaspokojenie jest w danych warunkach niemożliwe i wymaga ich zmiany. W pierwszej z tych kategorii mieściłyby się potrzeby bytowe i aspiracje do dobrobytu - co nie musi być bliżej tłumaczone. W drugiej - potrzeby, w najszerszym rozumieniu, moralne, sprawy poszanowania i afirmacji godności ludzkiej, uspołecznienia pracy oraz środowisk pracy i życia, zwłaszcza przez reformy o charakterze samorządowym. Do kategorii trzeciej należałyby oczekiwania gwarancji bezpieczeństwa, w tym sensie, w jakim stan wytworzony przez realny socjalizm jest tego bezpieczeństwa zaprzeczeniem. W zetknięciu z administracją, z policją, z pracodawcą, z każdą niemal instytucją państwową czy "uspołecznioną", nawet z producentem i sprzedawcą towaru, człowiek bywał zazwyczaj bezradny, czasem rozpaczliwie bezradny, w stałym potencjalnym zagrożeniu swoich podstawowych interesów. Jeśli do "Solidarności" napłynęło tak szybko 10 milionów ludzi, to kto wie, czy nie głównie po to, by znaleźć oparcie przeciw tej przytłaczającej go wszechmocy instytucji i aparatów. Skutecznym rozwiązaniem tego problemu byłaby, oczywiście, stała kontrola społeczna struktur życia zbiorowego przez mechanizmy konkurencji, w ostatecznym rachunku - system

demokratycznych instytucji.

Realizacja wszystkich tych potrzeb i aspiracji, zablokowana w ciągu ponad 40 lat PRL, wydawała się jednak społeczeństwu możliwa poprzez n a p r a w ę s y s t e m u, zmieniającą nawet jego istotę, lecz nie jego deklarowane cele. Słynny spór o reformowalność lub nierreformowalność realnego socjalizmu świadczy o tym niejako przez sam fakt swojego zaistnienia. Zresztą "Solidarność" na pewien czas praktycznie rozstrzygnęła ten spór na rzecz reformowalności. Takie były nie tylko wymagania taktyczne, taki był stan ducha społecznego. U podstaw "Solidarności" była wszakże w s p ó l n o t a, a obok haseł, nazwijmy je, postsocjalistycznych, odpowiadających wrażliwości załóg robotniczych, towarzyszyła Związkowi społeczna myśl Kościoła - w wydaniu Jana Pawła II głęboko przesycona duchem wspólnotowym. Idea samorządu nie od razu trafiła do rzesz członkowskich Ruchu, zajętych przede wszystkim obroną jego stanu posiadania i własnych interesów pracowniczych, została jednak przyjęta przychylnie i szeroko.

ZWROT Dopiero około połowy lat osiemdziesiątych nastąpiło z a ą a m a n i e s i ę owej, czytelnej od dawna, linii ku uspołecznieniu. Przedtem - od grudnia 1981 r. - żywe były jeszcze nadzieje na odzyskanie przez "Solidarność" możliwości realizacji jej celów, sformułowanych w okresie 16 miesięcy. Z drugiej strony, zaczęły odżywać - szczególnie w latach 1984-85, najlepszych dla ekipy Jaruzelskiego - nadzieje na zaspokojenie potrzeb społeczeństwa w ramach systemu, z lekka tylko zmodyfikowanego. Od połowy dekady postępuje o d p ż y w z a u f a n i a nie tylko już od "Solidarności" i całego ruchu niezależnego, ale również od instytucji oficjalnych. "Ciągłe rośnie grupa tych - pisze płk Stanisław Kwiatkowski, szef Centrum Badania Opinii Społecznej - którzy powiadają, że zupełnie nie interesują się tym, co się dzieje na scenie politycznej: od jednej trzeciej respondentów w marcu 1985 do połowy w sierpniu 1987". A dr Mirosława Marody z Instytutu Socjologii UW wnioskuje z badań, że "zawrotność Polaków skierowała się przede wszystkim na zmianę położenia jednostki lub grupy w systemie gospodarczym, a nie na zmianę tego systemu. Jej ogólną dewizą jest: bronić swego i wyrwać co się da dla siebie z tego, co jest. Sprywatyzowanie tak przejawiającej się przedsiębiorczości nie jest tożsame z prywatnością sektora gospodarczego, albowiem dewiza ta patronuje działaniom zarówno tzw. prywatnej inicjatywy, jak pracowników przedsiębiorstw państwowych".

Skutkiem tych nastawień na poziomie myśli jest o f e n s y w a p o g l ą d ó w n e o l i b e r a l n y c h. Chcąc rozładować niezadowolenie społeczne, władza folguje zresztą zarówno tym poglądom, jak i praktyce indywidualnej przedsiębiorczości - nie tylko legalnej, lecz również w "nie-regularnych" formach, na wstępie tego tekstu opisanych. Czas się obrócił i Stocznia Gdańska budzi coraz mniej zainteresowania jako potencjalny teren uspołecznienia. Jeśli tzw. II

etap reformy przyniesie jakieś pozytywne wyniki, to zapewne tylko w postaci rozrostu sektora prywatnego. Rozpad więzi społecznych, rozpad społeczeństwa już się w pewnym sensie dokonał i postępuje nadal. Trudno jest dostrzec takie dane i takie postawy, które by uzasadniały optymizm co do możliwości odbudowy owych więzi przez niezależny ruch społeczny i co do perspektyw tego ruchu. W najlepszym przypadku Stocznia - zgodnie z istniejącym projektem - zmieni się w nowoczesną montownię samochodów Mitsubishi.

Marek Rapacki

=====
ANKIETA "KULTURY"

ANKIETA "KULTURY"
=====

"Przez najbliższe 10 lat nie oczekuję ani istotnej demokratyzacji, ani poważnej modernizacji Związku Sowieckiego. Zmiany, które zachodzą, nie zmieniają w istotny sposób stosunków między tym krajem a Polską. W szczególności doktryna Breżniewa i kontrola wojskowa pozostają nadal w mocy. Tym niemniej powiększa się nieco margines niezależności politycznej krajów Europy Wschodniej /.../"

Stanisław Gomułka

• • •

"Zachowanie status quo w obozie sowieckim jest - przy braku oporu społeczeństwa - rozwiązaniem niekłopotliwym i wobec tego - przy braku oporu - nie leży w interesie Gorbaczowa zwiększenie autonomii PRL. Rozwiązaniem optymalnym z jego punktu widzenia jest spokój /czyli martwota/ w Polsce. Władze w Polsce pośredniczą między społeczeństwem i opiekunami sowieckimi i pokazały /zwłaszcza w stanie wojennym/, że zrobią wiele, by opiekunów sowieckich zadowolić. Zadaniem społeczeństwa polskiego jest przekonać władze w Polsce i w ZSRR, że martwoty nie uzyskają, a więc wzmacniać istniejące obecnie elementy niezależności i odrębności Polski."/

Jakub Karpiński

• • •

^{x/} Powyższe cytaty pochodzą z ankiety "Kultury" paryskiej /"Gorbaczow z perspektywy polskiej"/ i zamieszczone zostały w numerze 7-8/1987 tego pisma. Fragmenty opinii pozostałych uczestników ankiety prezentujemy w dalszej części niniejszego numeru "Mostu". /red./

Z KONFERENCJI NAUKOWEJ W WILSON CENTER

W lutym br. w waszyngtońskim Wilson Center odbyła się konferencja naukowa poświęcona "Dziedzictwu Solidarności". Wilson Center jest instytutem badawczym o bardzo wysokim prestiżu. Podczas sesji prelekcje wygłosili: Georges Kolankiewicz, Zdzisław Najder, Seweryn Bialer, Zbigniew Erzeziński, Manuel Azcarate i Timothy Gar-ton Ash. W obradach wzięło udział dwudziestu paru zaproszonych gości. Sesję otworzył bankiet z udziałem przedstawicieli Kongresu i rządu Stanów Zjednoczonych. Podczas bankietu dyrektor Wilson Center, James Billington, wybitny historyk, wygłosił przemówienie, którego zasadnicze tezy zbieżne są z tezami szkicu Leszka Ewelskiego pt. "Dobra nowina - "Solidarność" jako uniwersalny mit ustrojowy", opublikowanego na łamach 12-13 numeru "Mostu" z br. Tekst prof. Billingtona zamieszczamy bez skrótów. /red./

James H. Billington

Dziedzictwo „Solidarności”

W dziejach ludzkości pojawia się czasem coś, co jest nie tylko nowe, ale w pewnym sensie prorocze. Biblia mianem proroctwa określa głos Boga, przemawiający ustami ludzi. Nawet w świeckim, nowoczesnym znaczeniu proroctwo sugeruje jakiś potężny głos, który wdziera się w codzienność, głosząc wyższe racje moralne i nowe możliwości historyczne.

Wszyscy tu zebrani będą w ciągu najbliższych dni rozważać powodzenia, niepowodzenia oraz bezpośrednie znaczenia "Solidarności". Chciałbym od razu na wstępie zasugerować, że ruch ten posiadać może również znaczenie długofalowe, prorocze, którego ogólne zarysy dają się już zauważyć. Moim zdaniem, "Solidarność" może okazać się dla dwudziestego pierwszego wieku tym, czym Komuna Paryska była dla wieku dziewiętnastego: to jest nieprzewidywanym, wysoce nowatorskim ruchem w kierunku zmian społecznych, ruchem, który w kraju swoich narodziń skazany był od początku na zagładę, ale którego przeznaczeniem jest pobudzać i w pewnym stopniu stanowić wzór

dla uwieńczonych większym powodzeniem ruchów społecznych w innych krajach.

Podobnie jak inne autentyczne nowatorskie ruchy w historii - a nie było ich zbyt wiele - "Solidarność" dokonała podsumowania i syntezy dawnych ideałów, choć zarazem wysunęła coś całkowicie nowego. Burzliwym ruchom rewolucyjnym ostatnich dwustu lat przyswiecały trzy wielkie świeckie ideały: wolność, braterstwo i równość. Owe ideały - jak już o tym gdzieś indziej pisałem - dały początek trzem ważnym odmianom wiary rewolucyjnej, które wyłoniły się z Europy: konstytucyjnemu liberalizmowi, romantycznemu nacjonalizmowi oraz tradycji rewolucyjnego egalitaryzmu społecznego. Wielu aktów wewnętrznej przemocy we współczesnym świecie dokonano na skutek zderzenia się rywalizujących ze sobą ruchów rewolucyjnych, szczególnie bardziej autorytarnych tradycji rewolucyjnych - nacjonalistycznej i socjalistycznej. Współczesny totalitaryzm, który osiągnął swoje przerażające apogeum w latach trzydziestych i czterdziestych, połączył obie nowe formy ideologii autorytarnej: biologiczny nacjonalizm Hitlera nazwany był przecież "narodowym socjalizmem", zaś stalinowski materializm dialektyczny był na usługach "socjalizmu w jednym kraju".

Zrządzeniem losu Polska znalazła się pomiędzy obiema, najpierw przez nie podzielona, potem okupowana - nie mogła się całkowicie, na planie ogólnopolitycznym ochronić przed jakąś formą współuczestnictwa we wszystkich okropnościach, jakie rozegrały się na jej ziemiach. A przecież zawsze w większym stopniu prześladowana niż prześladująca a nierzadko bohaterska, o czym świadczą oba powstania warszawskie przeciw Hitlerowi i wystąpienia przeciw stalinizmowi w Poznaniu, Szczecinie i Gdańsku. I chociaż z racji swego położenia znalazła się w kleszczach konkurujących ze sobą idei nacjonalizmu i socjalizmu - współczesna Polska ceni również bardziej odległe liberalne ideały konstytucyjne, dzięki którym odzyskała swoją tożsamość narodową po pierwszej wojnie światowej. Szczególnym osiągnięciem "Solidarności" była umiejętność połączenia owych trzech świeckich ideałów: wolności, braterstwa i równości - i wcielenia ich w krwioobieg związku. "Solidarność" dążyła do przywrócenia niektórych utraconych swobód, do odzyskania poczucia celu i godności narodowej oraz do spełnienia zdradzonych obietnic równości w ramach ideału socjalistycznego.

"Solidarność" nie stanowiła ani liberalnej opozycji konstytucyjnej, ani nie wznosiła romantycznych haseł o narodowym "zmarłychwstaniu", ani też nie proponowała wskrzeszenia oligarchii w stylu leninowskim. "Solidarność" to niespodziewana improwizacja, nowy fenomen ukuty ze starych surowców. Jest to klasyczny przykład heglowskiego *Aufhebung*: czyli wyniesienia z owych trzech ideałów pewnych elementów - w taki sposób, że owe dawne ideały zostają "porzucone", a na ich miejsce tworzy się nowa synteza - nowy i całkiem odmienny ideał.

Chciałbym w paru słowach określić na czym polegała "nowość" tej nowej "szaty", uszytej w Polsce na początku bieżącej dekady z rozmaitych kawałków starych materiałów. Moim zdaniem w "Solidarności" występuje pięć składników, które odbiegają od

dominujących wzorców we współczesnych ruchach społeczno-politycznych, a mogą okazać się prorocze na przyszłość.

1. Choćby ideały były świeckie, połączone zostały ceментом religijnym. "Solidarność" ponownie przydała tym pojęciom autorytetu duchowego, tym samym odwracając nowoczesną tendencję polityki do szukania legitymizacji w autorytetach czysto świeckich. "Solidarność" nie daje się wyobrazić bez autorytetu papieża-Polaka i bez wsparcia, jakiego udziela jej w kraju Kościół katolicki.

2. Mimo całego radykalizmu "Solidarność" jest ruchem z gruntu ewolucyjnym a nie rewolucyjnym: nie dąży do przechwycenia władzy, lecz do skierowania społeczeństwa na nowe tory, wytwarzając nowe formy ugody społecznej między oligarchią u władzy a ludnością.

3. "Solidarność" jest ruchem raczej społecznym niż politycznym, dąży do rozszerzenia autonomii i uprawnień obywatelskich wobec scentralizowanej władzy państwowej. "Solidarność" dawała w istocie władzy okazję do odzyskania legitymizacji poprzez udzielenie siłom społecznym większych możliwości włączenia się w procesy współdecydowania.

4. "Solidarność" jest ruchem w większym stopniu oddolnym niż odgórnym i również pod tym względem stanowi antytezę leninizmu: jest to nieprzewidziany i nowy rodzaj buntu "zwykłości" przeciwko triumfującej "świadomości" w przewodniej partii leninowskiej.

5. Mimo masowości ruchu i uczuciowej mobilizacji pokrzywdzonej ludności, "Solidarność" - zarówno w teorii, jak i w praktyce - pozostała ruchem wyrzekającym się stosowania siły.

Ci, którzy wolą skupiać swoją uwagę na poszczególnych drzewach raczej niż na lesie - mogą znaleźć wyjątki od wszystkich powyższych uogólnień. Zważywszy jednak zasięg ruchu solidarnościowego, okrucieństwa sił jemu się przeciwstawiających oraz powstańczą tradycję Polski - zadziwiać musi jak ewolucyjny, pokojowy oraz spontaniczny i nowatorski okazał się ten ruch.

O ile bezpośrednio osiągnięcia "Solidarności" we wschodniej Europie wydają się tragicznie rozczarowujące, o tyle przecież znaczenie "Solidarności" może okazać się większe niż możemy dziś sobie wyobrazić. Komuna Paryska w ubiegłym stuleciu stanowiła ostatni z serii nieudanych przewrótów. Była tragicznym zakończeniem całej serii nieudanych, gwałtownych, rewolucyjnych prób wytworzenia nowego rodzaju władzy politycznej we Francji. Widziana jednak z dalszej perspektywy historycznej i geograficznej - Komuna była jednocześnie wyprzedzeniem i natchnieniem nowego typu rewolucji społecznej, do której nawoływali Marks, Lenin i Mao. Każdy z nich czerpał z mitu Komuny w decydujących momentach wzywania Niemców, Rosjan i Chińczyków, aby powstali do boju ostatniego,

la lutte finale, jak to określił poeta Komuny w słowach "Międzynarodówki".

"Solidarność" wydaje się, podobnie jak Komuna, być ostatnim z serii nieudanych wstrząsów, tragicznym końcem szeregu ruchów, które domagały się większej autonomii w Europie Wschodniej: Węgry 1956, Czechosłowacja 1968 i kilka w samej Polsce. Nikt nie może oczywiście przewidzieć jak wyglądać będzie "Solidarność" z dalszej historycznej i w szerszej geograficznej perspektywie. Wiele jednak wskazuje na to, że, podobnie jak Komuna, będzie ona żyła w umysłach tych, którzy chcą dążyć nie tylko do reformy w Europie Wschodniej, ale w ogóle do poprawy doli człowieczej we współczesnym świecie.

"Solidarność" stworzyła nowe Aufhebung, wyniesienie, wśród swoich sympatyków w katolickiej Europie, łącząc historyczne przeciwieństwa, lewicę związków zawodowych i prawicę Kościoła katolickiego. Oparcie radykalnego ruchu społecznego o tradycyjne wartości chrześcijańskie może uczynić "Solidarność" bardziej ważną dla wielu tradycyjnych i nadal chrześcijańskich krajów Ameryki łacińskiej i Afryki, niż jest teraz zdyskredytowana świecka ideologia marksistowska. W miarę jak społeczeństwa Trzeciego Świata odchodzą od tradycyjnego autorytaryzmu, bardziej pociągający może się stać ewolucyjny ruch odrzucający przemoc w stronę demokracji, nawiązujący do Gandhiego, a rozwinięty przez "Solidarność" - odrzucający drogę rewolucyjnego gwałtu nowych dyktatorów. W państwach komunistycznych natomiast, pojawiające się uczucie chęci poszukiwania dróg reformatorskich, być może przechowają ponętą myśl, że można zrewaloryzować władzę polityczną, uwalniając ją od tego typu dyktatu społecznego i duchowego, który stanowi znamię totalitaryzmu. Nawet uprzemysłowione demokracje pierwszego świata mogą podchwycić pewne idee i czerpać natchnienie od ruchu społecznego, który ożywia współzudział wszystkich warstw społecznych w życiu publicznym i który niesie ze sobą nową wizję świata opartą na religii mas raczej niż na ideologii jakiejś elity intelektualnej.

Jest również trudno zgadnąć, gdzie najsilniej będzie promieniowała "Solidarność" w XXI wieku, jak trudno było zgadnąć sto lat temu, że rola Komuny Faryskiej będzie uhonorowana nie tylko przez Mitteranda podczas jego inauguracji, ale również przez Ienina podczas rewolucji październikowej i przez Mao podczas mroźnej rewolucji kulturalnej. Ale czy nastanie kiedyś wiosna - w Polsce lub gdzie indziej - kiedy odżyją radykalnie ewolucyjne ideały, reprezentowane przez "Solidarność"? Trudno sobie wyobrazić jakikolwiek zaakceptowany przez obywateli ustrój w przyszłej Polsce, który w jakiś sposób nie uczciłby zasad solidarnościowych. I trudno pomyśleć, że Polska będzie zawsze rządzona przez władze, nie ubiegające się o większe poparcie społeczne. Nie jest trudno sobie wyobrazić - choć takie przepowiednie są ryzykowne - że w XXI wieku, powiedzmy w Brazylii lub nawet w ZSRR, historycy dostrzegą w "Solidarności" prekursora lub nawet prototyp powstałych niezależnie ruchów, mających na celu przekształcenie tych społeczeństw na drodze zupełnie innej niż dawne, gwałtowne i świeckie ruchy rewolucyjne.

/"Kontakt" nr 4/60/, 1987/

Trum.: Halina Carroll-Najder

Gra o Polskę

Wywiad, który ukazał się w "Kulturze" /nr 4/1987/ jest bez wątpienia cennym dokumentem historycznym. Jest też ważny dla tych wszystkich, którzy rozważają sytuację Polski i perspektywy jej nowego ukształtowania, co wymaga znajomości prawdy o ostatnich latach. Dlatego też postanowiłem przedstawić swoją opinię na poruszone przezeń tematy, aczkolwiek nie mogę obecnie podpisać jej swoim nazwiskiem. Kukliński oglądał wydarzenia z perspektywy Sztabu Generalnego i to w sposób nieunikniony wpłynęło na pewne zwięzienie jego relacji. Odnoszę też wrażenie, że pewnych spraw nie dopowiada do końca, choć być może je zna. Postawa grupy rządzącej w tym dramatycznym dla Polski okresie też wymaga pewnych korektur w opisie.

Obraz jaki wyłania się z jego relacji wydaje mi się nieco uproszczony. Czytelnik może z niego wnosić, że z jednej strony był Kreml pracy do bezpośredniej interwencji wojskowej, z drugiej zaś chwiejne, a właściwie dwulicowe kierownictwo polskie, które, werbalnie zgadzając się z potrzebą zdławienia "Solidarności" siłą, odwlekało to jednak ad calendas Graecas, czyli w istocie akceptowało dokonujące się w Polsce przemiany, licząc co najwyżej na ich późniejsze ograniczenie i pozbawienie treści, jak to poprzednio uczyniła ekipa Gomułki. Kukliński przedstawia Kanię wręcz jako rzecznika polityki porozumienia, a od lata 1981 przeciwnika nawet wariantu użycia samych tylko sił Wojska Polskiego.

W sytuacji tak złożonej jak w latach 1980-1981, przy tajemnicy otaczającej wiele najistotniejszych decyzji i poglądów gremiów kierowniczych ZSRR i Polski, trudno komukolwiek twierdzić, że zna "całą prawdę". Do tego i ja nie pretenduję.

Zacznijmy od poglądów Moskwy. Jej polityka nie była wcale jednoznaczna. Przypominamy, że był to schyłek ery Breżniewa. Jego pozycja i wpływy były już ograniczone; aparat bezpieczeństwa i wojsko usamodzielniały się w dużym stopniu i występowały za użyciem siły w Polsce, za bezpośrednią interwen-

^{x/} Pod takim tytułem ukazał się ten tekst na łamach "Kultury" paryskiej /nr 7-8/1987/, skąd go przedrukowujemy, opatrząc własnym tytułem. Przypominamy, że wywiad płk. Ryszarda J. Kuklińskiego pt. "Wojna z narodem" miał w kraju blisko 10 wydań! Ukazał się on również jako specjalny, 11 numer "Mostu". /red./

cją sowiecką, gdyż z jednej strony odpowiadało to dogmatycznej orientacji ich sztabów kierowniczych, z drugiej zaś zwiększyłoby niepomiernie ich pozycję polityczną w samym ZSRR. Cicha walka o następstwo po Breżniewie już trwała i każda z frakcji starała się zapewnić sobie jak najmocniejszą pozycję w nadchodzącym starciu o władzę. Było jasne, że "operacja polska" byłaby akcją na o wiele większą skalę niż czeska, wymagałaby użycia o wiele większych środków i musiałaby trwać kilka lat. Zmieniłaby ona układ sił wśród krajów Układu Warszawskiego, pozwoliłaby umocnić hegemonię sowiecką i umocnić nadwątloną linię dogmatyczną. Polska była jedną z kostek tego skomplikowanego domina, a gra toczyła się o stawkę najwyższą: o władzę i linię polityczną Kremla.

Zgadzam się zatem z Kuklińskim, że wojskowe dowództwo sowieckie parło do interwencji i być może nawet działało na własną rękę, wykraczając poza decyzje Biura Politycznego i wykrzystując autonomię wojska. Wiele z działań opisanych przezeń doskonale mieści się w kategorii drobnych, pozornie "technicznych" faktów, będących "zajmowaniem przyczółków" do ofensywy. W tym samym duchu działało zapewne kierownictwo sowieckich władz bezpieczeństwa, o czym wnosić można z postawy ministra Milewskiego, który miał z nimi bliskie, robocze kontakty i zapewne działał w zgodzie z poglądami swych moskiewskich patronów. Gdy wraz ze zgonem Andropowa władza klikki KGB została znacznie ograniczona, generał Jaruzelski niemal natychmiast go wyeliminował.

Inaczej jednak przedstawia się pozycja Breżniewa i jego sztabu doradców, a nawet szerszych kierowniczych gremiów partii. Do bezpośredniej interwencji sowieckiej odnosiły się one nader powściągliwie. Doświadczenie afgańskie było tu nie bez znaczenia. Z jednej strony nie hamowano akcji wojska i bezpieczeństwa, traktując je może jako wygodny instrument nacisku na kierownictwo polskie, by wzmocnić jego opór wobec presji społecznej. Z drugiej jednak strony nie podejmowano ostatecznej decyzji. Można sądzić, że zdecydowanie przeciwny interwencji był Gromyko, kierujący polityką zagraniczną, a jego pozycja wtedy umacniała się. Inwazja na Polskę zburzyłaby jego wieloletnie wysiłki w sferze "polityki współistnienia". Był on zresztą przeciwny, o ile wiadomo, zarówno interwencji w Afganistanie, jak i wcześniejszym planom zmasowanego uderzenia na Chiny. Osoby w Polsce, pozostające w bliskich kontaktach z Breżniewem, akceptowały dokonujące się reformy, lansowały politykę porozumienia. W kręgach KC podejrzewano nawet, że Breżniew może zaakceptować jakieś bezpośrednie porozumienie z "Solidarnością", że może zawrzeć układ z siłami reformatorskimi spoza polskiego kierownictwa, czego to ostatnie naturalnie panicznie się bało. W pewnym momencie pojawiła się nawet wiadomość o rzekomym potajemnym spotkaniu sowieckiego konsula generalnego z Wałęsą, co było prawdziwym szokiem. Nie jest ważne, czy rzeczywiście do takiego spotkania doszło, czy były to tylko plany, ważne jest, że taką możliwość poważnie traktowano w polskim kierownictwie.

Było to zgodne z wieloletnimi tendencjami w kierownictwie sowieckim. Przypomnieć można, że działalność grupy "Doświad-

czenie i Przyszłość" była poniekąd firmowana przez Moskwę, z czego jej uczestnicy zapewne nie zdawali sobie nawet sprawy. Dlatego właśnie DiP mógł działać tak bezkarnie. Pod koniec epoki Gierka zdawano sobie w Moskwie sprawę, że upadek grupy Gierek-Jaroszewicz jest nieunikniony, że jest to tylko kwestia czasu i zakładano konieczność zaakceptowania na następnym etapie systemu o wiele bardziej demokratycznego i otwartego na Zachód. Moskwa, a w każdym razie jej kierownictwo partyjne, rozumiała, że Polska jest "szczególnym przypadkiem" i że zaakceptować tu trzeba odstępstwa od modelu sowieckiego, jakich nie dopuszczono by nigdzie indziej. Popularnie mawiano w kręgach breżniewowskich, że gdy Polacy biją głową o mur, to mur zwykle musi się przesunąć, bo polskie głowy łatwo się nie rozbijają. Nie wiadano natomiast, jak daleko pójdą przemiany. Nie trzeba dodawać, że dążono by do ograniczenia ich do niezbędnego minimum. Nie jest to zresztą wypadkiem wyjątkowym, a raczej tradycją grania na wielu fortopianach naraz. Przypomnijmy, że pensje od ambasadora rosyjskiego pobierali nie tylko targowiczanie, ale i król akceptujący Konstytucję. Dopiero później zapada decyzja, kogo ostatecznie wesprzeć, który wariant jest najkorzystniejszy. Taki jest mechanizm gry politycznej, manipulowania nawet "najwiewniejszymi".

Obecna polityka sowiecka wobec Kościoła w Polsce nie jest więc tak zaskakująca, jak mogłoby się wydawać. Polityka Gorbaczowa jest wyrazem tendencji, które od lat były obecne w sowieckim aparacie partyjnym, nad którymi wielokrotnie i od dawna dyskutowano - choć na ogół nieformalnie - i które teraz wzięły górę.

Gdyby zatem kierownictwo polskie chciało i umiało te rozmaite tendencje w Moskwie wykorzystać dla dobra kraju, mogło zapewne wypracować rozwiązanie, podobnie jak to poprzednio uzyskał Gomułka. Zabrakło mu zdecydowania w obronie reform, woli i umiejętności pokierowania nimi, które dawałyby Moskwie przekonanie, że partia panuje nad sytuacją. Być może, że gdyby zdrowie Breżniewa nie zaczęło się tak szybko pogarszać, eksperyment polski, mimo niesprzyjających warunków, potrwałby dłużej. Gdy jednak nie był on już w stanie rządzić, zjednoczone wojsko i KGB rozpoczęły natychmiast rozgrywkę w Polsce, co dało Andropowowi mocną pozycję w chwili śmierci starego wodza. Właśnie na skutek tych różnic poglądów w Moskwie epoka reform w Polsce mogła trwać tak długo.

I tu przechodzimy do spraw polskich, do postawy Kani, Jaruzelskiego i całego Biura Politycznego. Wydaje się, że rozstrzygające dla kryzysu polskiego były dwa początkowe miesiące, wrzesień i październik 1980. Gdyby po strajkach z lata tego roku i podpisaniu umowy w Gdańsku odnowione kierownictwo partii podjęło inicjatywę realizowania tych umów, zaczęło przeprowadzać daleko idące reformy i krytykę dotychczasowego systemu sprawowania władzy, zdobyłoby zapewne pewien kredyt zaufania społecznego i byłoby w stanie kierować krajem. Teza o "kontrrewolucji w Polsce" nie była jednak wymysłem Moskwy, ale cichym przekonaniem władz partyjnych w

Polsce, uparcie i wieloma kanałami przekazywanym Moskwie. Na tym właśnie polegał nasz dramat. W owych dwu przełomowych momentach nikt z wpływowych członków Biura Politycznego nie opowiedział się jednoznacznie za reformami i nikt nie zaczął ich zdecydowanie przeprowadzać. Kierownictwo partii jako całość starało się wręcz je hamować, ustępowało pod naciskiem mas tylko wtedy, gdy już nie mogło przeciwstawić się otwarcie takiemu lub innemu żądaniu. Przykładem mogą być jątrzące targi o zarejestrowanie "Solidarności" i boje o "Solidarność Wiejską". To właśnie Kania wielokrotnie stwierdzał, że "Solidarność Wiejska" nie może zostać zarejestrowana i że jest wręcz niepotrzebna, bo istnieją przecież już inne organizacje rolników, jak Związek Kółek Rolniczych. A przecież wiadomo było, że jest to organizacja typu administracyjnego, niewiele mająca wspólnego z chłopami, że cała struktura władz szczebla gminnego, handlu, skupu, obsługi rolnictwa działają fatalnie i było jasne, że nie da się łatwo rozproszyć organizacji liczącej już kilkadziesiąt tysięcy członków. Kania bronił jednak do końca tej straconej sprawy. I tak było właściwie we wszystkim.

Rezultatem tej polityki była eskalacja żądań, narastający krytycyzm, a nawet wrogość wobec władz i ich pogłębiająca się izolacja społeczna. Organizacje zaś, które powstawały wbrew ich woli, po długiej i zacieklej walce o swe istnienie siłą rzeczy nabierały charakteru opozycyjnego wobec reżimu. Przywództwo w nich obejmowali ludzie nastawieni mniej lub bardziej antykomunistycznie, nie zaś rzecznicy dialogu i lojalnej współpracy z władzami. Dla takich po prostu nie było miejsca, bo władze nie chciały dialogu ani współpracy, nie chciały dzielić władzy, odpowiedzialności, szukania dróg wyjścia z kryzysu z powstającymi organizacjami i ciałami społecznymi. W tej sytuacji nawet sejm dworskich klakierów, dobrany przecież przez ekipę Gierka, stał się ciałem na poły opozycyjnym i próbował przejąć inicjatywę polityczną. Władza - rozumiana jako inicjatywa polityczna - rzeczywiście "leżała na ulicy".

Nie chodziło przy tym o bierność partii jako całości. Wręcz przeciwnie, wiele było inicjatyw oddolnych, "porozumień poziomych", wręcz całe instancje wojewódzkie stanęły zdecydowanie po stronie reform. Kierownictwo partii broniło istniejącego systemu rządzenia i przeciwstawiało się nie tylko inicjatywom społecznym "Solidarności", ale także własnej partii, w której od jesieni 1979 narastał ruch krytyczny. To właśnie pod naporem wewnątrzpartyjnej krytyki musiano podjąć decyzję o odsunięciu Jaroszewicza. A była to decyzja niezmiernie trudna dla tej ekipy; był on głównym mężem zaufania Moskwy, gwarantem obrony jej interesów, miał ją zabezpieczać przed "prozachodnimi" i patriotycznymi ciągotami Gierka. Przypomnijmy, że Gierek właśnie chciał uniezależnić Polskę od potencjalnego szantażu surowcowego Moskwy, próbował przestawić polskie zakupy w tej dziedzinie, 50% ropy chciał kupować na Zachodzie, dla tego właśnie celu zbudował Port Północny. Bez urządzeń przeładunkowych w porcie "trudności techniczne" rurociągów sowieckich i "zakręcenie kurka ropy" /choćby na tydzień/ stawiałoby Polskę od razu na przegranych pozycjach. Polityka gospodarcza Gierka służyła zwiększeniu samodzielności politycznej. Inna rzecz, że

realizowana była wadliwie i poniekąd bojkotowana przez Jaroszewicza.

We wrześniu i październiku w partii żądano zwołania nadzwyczajnego zjazdu na grudzień. Było wiele inicjatyw nieoficjalnych. Istniały też w wojsku i milicji siły, gotowe poprzeć reformy. Mogły one wesprzeć ośrodek kierowniczy partii, który podjąłby się ich realizacji. Jednak kierownictwo nie chciało reform. Wizja zjazdu partii, na którym około 50% członków KC musiałoby utracić swe pozycje i po którym wielu z członków kierownictwa musiałoby odejść spędzała sen z oczu. Dlatego postanowiono go odłożyć do "lepszyc czasów" i to stało się bodajże najbardziej fatalną decyzją. Został on ostatecznie zwołany po długotrwałych bojach w łonie partii, gdy kierownictwo nie było już w stanie przeciwstawić się żądaniom. Starano się jedynie stępić ostrze krytyki i ograniczać proponowane zmiany. Niektórzy z przywódców do końca byli zjazdowi przeciwni. List kierownictwa sowieckiego do polskiego KC tuż przed zjazdem, gdzie wprost deklarowano "votum nieufności" dla Kani i Jaruzelskiego, był swoistą manipulacją mającą umocnić ich pozycje na zjeździe. Temu też służyły ostentacyjne powstrzymywanie się od całowania podczas transmitowanych przez telewizję spotkań Breżniewa z polskimi przywódcami. List ten i groźby interwencji miały wpłynąć na zjazd i na chwiejnych członków kierownictwa, zapobiec radykalizacji zjazdu.

Kierownictwa polskie i sowieckie są systemem naczyń połączonych. Nie jest chyba przypadkiem, że kolejne terminy interwencji sowieckiej były powiązane z walkami w partii i za każdym razem poprzedzały planowane zwołanie zjazdu: dlatego pojawił się termin początków grudnia i wiosny. Kukliński nie wspomina jeszcze o czerwcu 1981. Być może był to humbug, ale w kręgach kierowniczych w początkach czerwca rozeszła się wiadomość, że właśnie w najbliższych dniach wojsko przejmie władzę, aresztuje opozycjonistów itp. I tego "czarnego piątku" oczekiwano. Odwołanie operacji w ostatniej chwili wywołało westchnienie ulgi.

Dodać tu trzeba, że kierownictwo partii obawiało się własnej partii jeszcze bardziej niż "Solidarności". Bo to nie "Solidarność" miała wybierać KC, ale zjazd partii, którym w istniejącej sytuacji nie dałoby się manipulować. Zneutralizowanie sił demokratycznych w partii było więc główną troską kierownictwa, choć o tym, rzecz jasna, nie pisano w prasie.

W gruncie rzeczy kierownictwo partii stojące w obliczu dwu zagrożeń, oporu społeczeństwa i reformatorskich dążeń wewnątrz partii, od początku postawiło na "kartę sowiecką". Występowało wobec własnej partii i wobec społeczeństwa jako reprezentant i obrońca interesów sowieckich. Czyż można się zatem dziwić, że nie broniło Polski przed interwencją? Niektóre z wpływowych osób, z całą pewnością Milewski, potępna "szara eminencja", wręcz dążyły do interwencji i starały się ją sprowokować, inscenizowały incydenty antysowieckie, prowokowały strajki i konflikty. Były one potrzebne, by przełamać opory kierownictwa partyjnego w Moskwie i zapewne były

uzgadniane z KGB. Ambasadę sowiecką w Warszawie zasypywano wrogimi listami, których otrzymywała ona po kilka tysięcy dziennie! Można wątpić, czy pisali je spontanicznie obywatele. Zapewne wysyłali je z różnych miast specjalnie delegowani emisariusze SB. Gdybyśmy mogli zajrzeć do archiwów tej służby, zapewne znaleźlibyśmy na listach płacy wielu najbardziej radykalnych i antysowieckich działaczy opozycji. To w Polsce tworzone świadomie, lub tylko przez prywatę i konserwatyzm, wyobrażenie o "szalejącej kontrrewolucji", którym straszono Moskwę, apelując do jej obrony.

Zapewne ma rację Kukliński, gdy pisze o negatywnych reakcjach wobec perspektywę bezpośredniej i wyłącznej interwencji sowiecko-czesko-enerdowskiej. Część wojskowych w Sztabie Generalnym odnosiła się do niej negatywnie z pobudek patriotycznych, ale czy wszyscy? Milczy on właściwie o stanowisku Głównego Zarządu Politycznego, który ją popierał, podobnie jak MSW. Trzeba tu przecież powiedzieć, że interwencja taka byłaby równie katastrofalna dla kierownictwa partyjnego jak demokratyczny zjazd partii. Jej rezultatem musiałoby być odsunięcie ówczesnego kierownictwa, a być może nawet jego internowanie. Byłaby to bowiem, obiektywnie, interwencja skierowana przeciwko niemu. Dlatego Jaruzelski i Kania byli tak przygnębieni tą perspektywą; nie tylko o ich miłość Polski chodziło, ale i o nich samych. Udział, chociażby symboliczny, Wojska Polskiego zmieniłby polityczne konsekwencje interwencji w sposób radykalny: był to dla przywódców problem "być albo nie być". Nie powinniśmy też nadmiernie upraszczać sprawy, nie tylko o prymitywne "zachowanie stołków" chodziło. Każdy polityk jest poniekąd aktorem, działa na arenie społecznej i opinia o nim, możliwość dalszego grania - jest dlań kwestią życiową. I jak każdy człowiek wierzy on, że działa "słusznie", że broni "słusznych interesów narodowych". Potępienie przez Moskwę, przez innych przywódców obozu komunistycznego, jest życiową tragedią dla ludzi, którzy tej służbie oddali swe życie.

Kukliński zaledwie wspomina o liście grupy działaczy partyjnych z jesieni 1981, żądającym rozprawy z opozycją. Był to jednak tylko szczyt góry lodowej. Jesienią 1981 rozpoczęło tworzenie bojówek, zaczęto rozdawać im broń. Powstawała struktura mogąca rozpocząć działania bez oglądania się na kierownictwo partii i licząca na wsparcie sowieckie, zapewne przyobiecane. Trudno ocenić, na ile była to zręczna manipulacja, a na ile realne zagrożenie. Dla przywódców było jednak jasne, że ludzie kierujący tworzeniem bojówek zajęliby oczywiście eksponowane pozycje w nowym marionetkowym reżimie opartym na sowieckich bagnietach. Odcinanie się od aktualnego kierownictwa było elementem w grze o przyszłą władzę. Kania i Jaruzelski musieli sobie zdawać sprawę z powagi sytuacji. Eleganckie wyłączenie się Kani z tej gry i próba zachowania dobrego imienia w społeczeństwie przynosi mu z pewnością chlubę, choć kulisów jego odejścia nie znamy.

Do tego trzeba jeszcze dodać, że Kukliński i jego polscy szefowie ze Sztabu Generalnego nie byli zapewne informowani o wszystkich szczegółach planów sowieckich. On pisze o samej interwencji, ale przecież jeszcze ważniejsze od niej było to,

jaki reżim zaprowadzony zostanie po niej. O tym na pewno także myślano w Moskwie. Jak z różnych przecieków można wnosić, padały tam różne propozycje. Na ile miała być zachowana samodzielność państwa polskiego? Czy byłaby to samodzielność Babraka Karmala, czy Husaka? Czy byłaby zachowana administracja czysto polska, czy wprowadzono by na wiele lat administrację wojsk okupacyjnych?

Doświadczenie czeskie pokazało, że najtrudniejsza do przeprowadzenia jest nie sama interwencja zbrojna i okupacja kraju, ale jego późniejsza "pacyfikacja", stworzenie nowego zespołu kierowniczego i wiernej administracji. A było oczywiście, że "polska zaraza" wywarła o wiele głębszy wpływ na społeczeństwo i struktury administracyjne niż krótkotrwała i odgórnie sterowana "praska wiosna". Tam była to głównie rozprawa z "heretykiem", ale przecież nadał wiernym Moskwie kierownictwem partii. W Polsce był to ruch masowy, a utworzenie niezależnego związku zawodowego nawet w milicji pokazywało jasno, jak głębokiej erozji uległ istniejący system. Było jasne, że interwencja połączona byłaby z o wiele większymi stratami, a i późniejsza okupacja musiałaby być o wiele trudniejsza, choć zapewne niektórzy z dowódców sowieckich uważali ją za rozwiązanie najlepsze.

Nie chodziło więc w tej "grze o Polskę" prowadzonej przez Kanię i Jaruzelskiego wyłącznie o pewną dwulicowość wobec kierownictwa sowieckiego - jak można by to wnosić z wywiadu Kuklińskiego - ale o sprawę znacznie poważniejszą.

Kilka słów jeszcze o pewnym drobiazgu, o stosunku Kania-Kulikow. Z tekstu można wnosić, że Kania był traktowany przez sowieckich wojskowych z lekceważeniem, że to właśnie oni z nim bezpośrednio pertraktowali, nie zaś Breżniew, jak by wymagał prestiż jego stanowiska.

To może się łączyć z faktem znacznego usamodzielnienia armii, o czym wspominałem. Działała ona poniekąd autonomicznie i dlatego Kania musiał właśnie z nią prowadzić rozmowy. Ona bowiem odgrywała w sprawie polskiej rolę przewodnią. Ale był też czynnik inny. Otóż Kania przez całe lata /w ramach podziału obowiązków w Biurze Politycznym/ nadzorował armię i MSW. Z tego tytułu musiał utrzymywać od dawna dość bliskie kontakty z kierownictwem tych resortów w ZSRR i z Kulikowem wypił na pewno nie jedną butelkę wódki. Startował więc do rozgrywki o los Polski z niewygodnej roli "kumpla", zupełnie innej niż kiedyś Ochab, a tym bardziej Gomułka. Zapewne też właśnie ze względu na zaufanie, jakim cieszył się w Moskwie, został wysunięty na pierwszego sekretarza w okresie kryzysu, będąc związany z sowieckimi służbami, które w uregulowaniu spraw polskich miały odegrać rolę kluczową. Być może więc już od samego początku był związany w Moskwie z siłami, które w ruchu reformatorskim w Polsce chciały widzieć tylko kontrrewolucję, która dawałaby im pole do popisu, a później jedynie starał się poszerzyć pole manewru przez dodatkowe kontakty z Breżniewem, już jako pierwszy sekretarz, i stąd wynikało jego lawirowanie? Może konserwatywna orientacja posierpniowego kierownictwa była od razu zaprogramowana w Mos-

kwie, a niekonsekwencje i lawirowanie były tylko rezultatem zmieniających się na Kremlu układów sił i koncepcji? A może, jak też bywa w historii, zabrakło po prostu w polskiej elicie władzy w tym przełomowym okresie osoby, która miałaby format męża stanu? Taki potrafiłby zapewne wypłynąć w partii na fali wielkich reform i dyskusji, jak Wałęsa w "Solidarności", i przejąć inicjatywę, zmieniając w ten sposób układ sił i sytuację. Tymczasem kryzysem starali się kierować mali biurokraci, którzy nie dorosli do roli wyznaczonej im przez historię. Kania przegrał, nie mając predyspozycji Gomułki czy de Gaulle'a, oparłszy się w ostatnim okresie na grupie Breżniewa, która po prostu jesienią zaczęła tracić wpływy, może przezeń przeceniane? Pytania te pozostają bez odpowiedzi. To po części wyjaśniałoby różnice między jego stanowiskiem a stanowiskiem Jaruzelskiego w sierpniu 1981; każdy z nich miał swoich mocodawców w Moskwie i reprezentował nie tylko swoje poglądy. Nadto każdy z nich i w Polsce był włączony w odrębne struktury: Kania musiał i zapewne chciał bardziej się liczyć z wolą partii niż Jaruzelski, który nawet będąc premierem otoczył się swoimi generałami. Baza organizacyjna jest zawsze ważnym czynnikiem dla polityka i wpływać musi na jego poglądy i działania.

Liczne elementy tej skomplikowanej sytuacji nie były jasno widoczne z perspektywy Sztabu Generalnego, dlatego Kukliński mógł nie zdawać sobie z nich sprawy, ale warto, abyśmy wiedzieli o nich my wszyscy. Cieszyłbym się, gdyby ten list sprostował osoby z ówczesnej elity kierowniczej do przedstawienia sprostowań, uzupełnień, czy może nawet do zaprzeczenia moim opiniom.

Zet

ANKIETA "KULTURY"

ANKIETA "KULTURY"

"Sowiecka polityka odprężenia wywarła już dość istotny wpływ na sytuację w Polsce. Gorbaczow nie chce konfrontacji, która pokrzyżowałaby albo znacznie opóźniła jego plany strategiczne w skali globalnej. To było chyba głównym powodem, dla którego pozwolił Jaruzelskiemu na zlikwidowanie sowieckiej piątej kolumny w PZER w osobach Olszowskiego, Kociołka, Milewskiego, Molczyka, Grabskiego i innych. "Nowa Targowica", jak ją nazywa płk Kukliński, marzyła o dojściu do władzy na sowieckich bagnach. Pozbywając się jednego z głównych narzędzi szantażu wobec polskiej grupy rządzącej, Gorbaczow rozszerzył znacznie swobodę manewru Jaruzelskiego. Generał korzysta z niej w granicach własnych interesów swojej ekipy. Interes ten nakazuje unikanie gwałtownej konfrontacji ze społeczeństwem w obecnym, niekorzystnym dla kierownictwa układzie sił wewnętrznych. Jak dotychczas oznacza to jednostronne, ograniczone ustępstwa, takie jak wrześniowa amnestia i gniewna tolerancja opozycji. W naturze generała leży polityka półśrodków."

Jan Nowak

ROZBROIĆ SIĘ, BY ZYSKAĆ PRZEWAGĘ

Leszek Ewelski

Arytmetyczne złudzenia

17 września - to data miła Rosjanom. W 1939 roku odwet za Cud nad Wisłą - w 1987 roku genialny ruch na światowej szachownicy: poświęcenie silniejszej figury za słabszą, by zając dogodną pozycję do dania mata.

Tego dnia ministrowie Szewardnadze i Shultz podpisali wstępny układ o eliminacji broni jądrowych o zasięgu od 500 do 5500 kilometrów. Ostateczne podpisanie układu, po doprecyzowaniu ostatecznych spornych szczegółów, będzie dziełem ich pryncypałów, prezydenta Reagana i genseka Gorbaczowa podczas spotkania na szczycie. W momencie, gdy niniejszy tekst dotrze do Czytelników, będzie już zapewne po Akcie Historycznym i rozpocznie się procedura ratyfikacyjna, która w ZSRR jest częścią formalnością, lecz w USA wiąże walką polityczną.

Bronie objęte układem określa się w klasyfikacji wojskowej jako "nuklearne siły zasięgu średniego oraz przedłużonego krótkiego", zaś formułę układu zwykło się nazywać "podwójną opcją zerową" albowiem stanowi ona rozszerzenie wstępnego, werbalnego porozumienia z Reykiawiku /"opcji zerowej"/ na rakiety o bliższym zasięgu, zgodnie zresztą z postulatami Zachodu.

Świat, marzący o trwałym pokoju i odsunięciu groźby nuklearnej, natychmiast zachłystnął się nadzieją. Głosy na Wschodzie były oczywiście rutynowo entuzjastyczne, jak zawsze, gdy ZSRR podejmuje jakąkolwiek decyzję. Ale i na Zachodzie euforia ogarnęła wielu polityków, nie mówiąc o łatwowiernych publicystach.

Kanclerz Kohl: "Pierwsze wielkie dzieło rozbrojenia...".

Min. Andreotti: "Zaczął się wreszcie dialog USA-ZSRR".

Premier Papandreu: "Wielki sukces ludzkości".

Podobne głosy z Japonii /"Dobra nowina!"/, z Belgii, Holandii, Portugalii. Natomiast premier Chirac zachował się powściągliwiej i ostrzegł przed iluzją, że jest to rzeczywiście ważny krok w kierunku bezpieczeństwa, zaś min. Hewe pochwalił "wspaniałe osiągnięcie", lecz przezornie dodał, żeby nie poddawać się uczuciu radosnego podniecenia; pani Thatcher dorzuciła kosztownie, że dopóki istnieją bronie chemi-

czne i wschód na przewagę w broniach konwencjonalnych, Zachód nie powinien iść zbyt daleko w polityce rozbrojenia. Turcy zaś głośno wypowiedzieli to, o czym inni uczestnicy Faktu Atlantyckiego szepcą raczej pokątnie: "Jeszcze bardziej zwiększy się nierównowaga sił".

Arytmetycznie licząc, wydaje się to nonsensem. Przecież, wedle litery układu, ZSRR ma zlikwidować znacznie więcej głowic jądrowych niż USA. A jednak Turcy rozumują prawidłowo, chociaż pozornie na bakier z logiką...

Zrozumienie tego paradoksu wymaga pewnego wysiłku myślowego, który postaram się ułatwić Czytelnikom.

CO OBEJMUJE "PODWÓJNA OPCJA ZEROWA"?

Założmy, że układ wchodzi w życie.

Założmy też, choć to raczej wątpliwe, że jest lojalnie i skrupulatnie wypełniany przez obie strony, a zwłaszcza przez radziecką.

Co wtedy nastąpi?

Otóż znikną p o d w i e k l a s y broni masowej zagłady z każdej strony, co wydaje się doprawdy historycznym osiągnięciem i usprawiedliwia radość świata.

Stany Zjednoczone będą musiały zdemontować:

1/ 108 jednogłowicowych rakiet balistycznych Pershing 2, o zasięgu 1800 kilometrów.

2/ 208 /zaś według obliczeń Moskwy - 256/ jednogłowicowych pocisków samosterujących GLCM, zwanych "Cruise", o zasięgu 2500 kilometrów.

3/ 72 głowice nuklearne do rakiet Pershing 1A, o zasięgu 750 km, będących w posiadaniu RFN; Kohl wyraził na to zgodę, pod warunkiem, że wielkie mocarstwa zdemontują inne bronie objęte układem.

Ogółem Stany Zjednoczone muszą się pozbyć 388 /według kalkulacji ZSRR - 436/ głowic nuklearnych.

Związek Radziecki zaś będzie zobowiązany zdemontować:

1/ 243 rakiety t r ó j g ł o w i c o w e SS-20 /według USA - aż 441/, o zasięgu 5500 km.

2/ 112 rakiet jednogłowicowych SS-4 o zasięgu 2000 km.

3/ Około 150 rakiet SS 12/22 o zasięgu 900 km i SS-23 o zasięgu 500 km.

Ogółem, potencjał nuklearny ZSRR powinien zmniejszyć się p r z y n a j m n i e j o 891 głowic.

A więc, czysty zysk dla Stanów Zjednoczonych, skoro pozbędą się znacznie mniejszej liczby głowic niż przeciwnik.

Ala to tylko arytmetyczne złudzenie.

UKŁAD GLOBALNYCH SIŁ "WZAJEMNEGO ZNISZCZENIA"

Ewentualna realizacja układu o "podwójnej opcji zerowej" oznaczać będzie w sensie militarnym tylko tyle, że każde z supermocarstw zrezygnuje z 3 do 5 proc. swego ogólnego potencjału nuklearnego, który zawarty jest przede wszystkim w broniach *s t r a t e g i c z n y c h*, układem nie objętych. Bronie te umieszczone są w naziemnych silosach rakiet międzykontynentalnych /USA - 2217 głowic, ZSRR - 6429 głowic/, na okrętach podwodnych /USA - 5632 głowice, ZSRR - 2832 głowice/ oraz na bombowcach strategicznych /USA - 3996 głowic, ZSRR - 1530 głowic/.

Łącznie USA mają lekką przewagę w liczbie głowic /11845: 10791/, ale ZSRR ma znaczną przewagę /4780:3005/ w ich mocy niszczącej, mierzonej megatonami.

Powyzsze dane pochodzą ze źródeł zachodnich sprzed dwóch lat. Nie można wykluczyć, że są zaniżone. Źródła świeższe podają ogólnikowo, że każda strona rozporządza plus minus 12-15 tysiącami głowic strategicznych. Przy tak ogromnych zasobach arsenałów nuklearnych pewne różnice w szacunkach nie mają zasadniczego znaczenia. Ważne i bezsporne są natomiast dwa fakty:

Po pierwsze - gdyby doszło do wojny totalnej, każda ze stron może kompletnie i "wielokrotnie" zniszczyć przeciwnika, a przy okazji cały świat, przez skażenie promieniotwórcze.

Po drugie - w takim apokaliptycznym przypadku, który jest na szczęście mało prawdopodobny, obustronny *b r a k* rakiet średniego i "przedłużonego krótkiego" zasięgu byłby w ogóle nieistotny.

Nie można wykluczyć, że układ o "podwójnej opcji zerowej" rzeczywiście stanowi wstęp do dalszych, znacznie poważniejszych kroków rozbrojeniowych. Zapowiadają to przy rozmaitych okazjach obie strony. Możliwe, że już w pierwszej połowie 1988 roku dojdzie do porozumienia o 50-procentowej redukcji strategicznych broni jądrowych. Gdyby tak się stało, ludzkość być może zaczęłaby się wyzywać leką przed zagładą. Ale droga ku temu daleka i niepewna, a zasadzek wiele. Znacznie bliższe realiów jest pytanie:

CO OZNACZA "PODWÓJNA OPCJA ZEROWA" DLA SYTUACJI STRATEGICZNEJ W EUROPIE?

Jeśli znikną z Europy rakiety Pershing i Cruise, ale także wszelkie typy radzieckich SS, sytuacja będzie na pozór taka, jaką chciał uzyskać Reagan, gdy w 1981 roku ogłosił ideę "opcji zerowej" - wtedy z oburzeniem odrzuconą przez ZSRR, który *j u ż* rozstawił wiele SS-20, a przeciw nim nie miał *ż a d n y o h* rakiet amerykańskich o zbliżonych parametrach.

To, że obecnie ZSRR godzi się nie tylko na opcję zerową, ale nawet "podwójnie zerową" - i że to właśnie Gorbaczow na-

daje tempa rokowaniom rozbrojeniowym - można uważać za polityczne zwycięstwo Zachodu, który w decydującym momencie nerwowej rozgrywki, kilka lat temu, okazał determinację i nie uległ szantażowi gigantycznych protestów ruchów pacyfistycznych. Jedność atlantycka zdała egzamin. Zarysowuje się jednak nowe, być może większe niebezpieczeństwo.

O ile układ zostanie zrealizowany, znad Europy zniknie groźba SS-20, lecz Zachód zostanie bez "odstraszaaka" nuklearnego. Pozostaną wprawdzie siły nuklearne Francji i Wielkiej Brytanii, jako pewna asekuracja, lecz to zaledwie 264 głowice, czyli około 2 proc. strategicznego potencjału ZSRR.

Znowu zatem, podobnie jak w końcu lat siedemdziesiątych, uwypuklił się wyższość Paktu Warszawskiego w innych systemach broni:

1/ w pociskach jądrowych pola bitwy /rakiety Lance i SS-21, armaty 203 mm, moździerz 155 i 240 mm/ przewaga strony radzieckiej jest prawie dwukrotna;

2/ w broniach chemicznych proporcja sił jest trudna do określenia, lecz sądzi się, że ZSRR ma przewagę od czterech do dziesięciokrotną;

3/ w broniach konwencjonalnych supremacja Paktu Warszawskiego jest zdecydowana. Rozporządza on co najmniej trzykrotną przewagą w czołgach, trzy-czterokrotną w artylerii klasycznej, dwu-trzykrotną w lotnictwie taktycznym, ustępując nieznacznie siłom NATO jedynie w liczbie helikopterów bojowych. Siły marynarki są względnie wyrównane, przy znacznej przewadze ZSRR w liczbie /ale nie potężne/ okrętów podwodnych i znacznej przewadze USA w lotniskowcach.

Często się można spotkać ze zdaniem, że różnicę liczebną wyrównuje w pewnej mierze wyższa jakość sprzętu zachodniego. Wiadomo, że Syria, uzbrojona w sprzęt radziecki, doznała kompromitującej klęski w ostatnim starciu z Izraelem; że nasycona radzieckimi czołgami Libia została parokrotnie poturbowana przez sżabiutki Czad, który ma tylko lekkie pociski na terenowych samochodach Toyota; że amerykańskie naramienne rakiety przeciwlotnicze "Stinger" radykalnie odmieniły obraz pola bitwy w Afganistanie. Takie rachuby mogą być jednak zawodne, bo przecież ZSRR nie dostarcza swym arabskim /ani innym/ sojusznikom najnowocześniejszych środków walki ani nie stosuje ich w Afganistanie.

KROPLE DZIEGCIU W BECZCE OPTYZMU

Kiedy na Zachodzie opadł pierwszy entuzjazm rozbrojeniowy, zaczęto dostrzegać rozmaite minusy "podwójnej opcji zerowej", a nawet pojawiły się zatroskane głosy, czy aby Reagan nie idzie na ślepo w sprytną pułapkę.

Zorientowano się przede wszystkim, że rolę rakiet SS-20 z powodzeniem mogą przejąć rakiety SS-25 na ruchomych wyrzutniach, które ZSRR będzie zdolny w krótkim czasie przerzucić choćby i spoza Uralu.

Nadal też nie jest całkiem jasne i precyzyjnie określone, jak ma przebiegać weryfikacja demontażu rakiet radzieckich, przewidziana na trzy do pięciu lat. Czy eksperci USA będą mieli możliwość skontrolować całe terytorium ZSRR? Jak znajdują podziemne magazyny i zakłady produkcji broni nuklearnych? Czy nie skończy się na tym, że ZSRR zgodzi się pokazać im to tylko, co sam zechce, oskarżając o "krecie szpiegowanie" tych kontrolerów, którzy chcieliby być dociekliwi?

Robert Hunter zauważył w "Los Angeles Times", że społeczeństwo amerykańskie podlega nastrojom cyklicznym; obecnie przeważa fascynacja Gorbaczowem. Ale warto zachować sceptycyzm /przestrzegł/, gdyż gensek kieruje się logiką takich inicjatyw, które są korzystniejsze dla ZSRR.

David Shipler w "New York Times" wyraził nadzieję, że może dojść nawet do szerszego dialogu USA-ZSRR niż za czasów "detente", ale nie powstrzymał się od sprostowania, iż "ostry dogmatyzm" Reagana z okresu jego pierwszej kadencji stępił się i teraz staje się on faworytem raczej liberałów niż "jastrzębi".

Henry Kissinger wręcz zarzucił prezydentowi "miękkosć"; ten sam Kissinger, który w latach siedemdziesiątych był architektem polityki jednostronnych ustępstw wobec ZSRR, ażeby "osłabić ich nieufność".

Senator Sam Nunn orzekł, że układ nie zmniejszy zagrożenia Europy. Zapowiedział, że w trakcie debaty ratyfikacyjnej w Kongresie trzeba będzie wytargować od Rosjan zmniejszenie ich sił konwencjonalnych.

Ponieważ szczególnie sceptycyzm okazywali Francuzi, sekretarz obrony Caspar Weinberger wypowiedział się na łamach "Le Monde" już na tydzień przed parafowaniem układu. Przyznał, że "sowiecka potęga wojskowa i jej możliwości są w stanie wzrostu we wszystkich dziedzinach, a sowieckie ambicje zdominowania Europy bez wątpienia nie znikną nazajutrz po układzie o redukcji zbrojeń". Nawet po układzie - dodał - ZSRR będzie miał dużo rakiet zdolnych ugodzić Europę oraz ogromną przewagę konwencjonalną.

Co zatem, zdaniem Weinbergera, należy uczynić?

Po pierwsze - wzmacniać zunifikowany system obronny NATO /Francuzi notabene z wczasu podjęli różne programy wojskowej współpracy z RFN/.

Po drugie - NATO musi posiadać w Europie duże lotnictwo o zdolności przenoszenia broni nuklearnej "oraz inne systemy".

Po trzecie - trzeba utrzymać nuklearne siły Francji i Wielkiej Brytanii /które skądinąd przystąpiły do synchronizacji swych planów obronnych/.

Po czwarte - należy rozbudować siły konwencjonalne, jeśli się pragnie skłonić ZSRR do ich obustronnej redukcji.

Po piąte - symbolem i gwarancją, że bezpieczeństwo Europy jest częścią składową bezpieczeństwa Stanów Zjednoczonych,

jest stacjonowanie ich "awangardy" - 326 tysięcy żołnierzy USA.

Wiceprezydent Bush, na zakończenie tournée po Europie, uznał za stosowne utemperować optymizm większości atlantyckich sojuszników i stwierdził w Brukseli, że "warunki układu nie są jeszcze spełnione", bo nadal nie ma jasności co do metod weryfikacji jego postanowień.

Nie potrzeba zbytnej przenikliwości, wystarczy odrobina pamięci o dotychczasowych naruszeniach rozmaitych traktatów międzynarodowych przez ZSRR, by zrozumieć, że owej "jasności" nie będzie nigdy.

Skoro niemal natychmiast po zawarciu układu pojawiło się tyle obaw, to narzuca się pytanie:

O CO WŁAŚCIWIE KOMU CHODZIŁO?

Na ten temat także rozlała się fala komentarzy i spekulacji. Dlaczego Reagan, który przez tyle lat był "twardy", a nawet "zbyt twardy" w opinii licznych środowisk amerykańskich, nagle stał się "gołębiem" i sprawia wrażenie, jakby to jemu najbardziej spieszyło się do rozbrojenia?

Czasu ma rzeczywiście mało, kończy się jego prezydentura. Czyżby tak bardzo pragnął zetrzeć ze swego honoru i reputacji planę, jaką była afera "Irangate"? Czyżby tak usilnie marzył, żeby przejść do historii jako ten prezydent, który zapoczątkował rozbrojenie nuklearne w światowej skali, co /jak się plotkuje/ stanowi obsesję jego małżonki?

Wydaje się, iż są to zbyt osobiste motywy, aby móc o nie posądzać Reagana. Jednak logicznych uzasadnień jego pośpiechu nie widać. W USA i na całym Zachodzie istnieje co prawda tęsknota za "bardziej pokojowym światem", lecz powołaniem polityka nie jest spełnianie lirycznych tęsknot narodu, ale dbałość o jego /i jego sojuszników/ witalne interesy. Trudno zaś dociec, jakie to interesy mogłyby mieć Stany Zjednoczone w ukatwianiu realizacji planów Gorbaczowa.

Te ostatnie natomiast są oczywiste i konsekwentnie urzeczywistniane: 1/ ograniczyć ciężar spirali zbrojeń, która powoduje, że ZSRR jest "mocarstwem jednowymiarowym", wyłącznie militarnym; 2/ zdobyć dostęp do nowoczesnej technologii amerykańskiej, co będzie o wiele łatwiejsze, gdy dojdzie do czasowego choćby odprężenia; 3/ z w i ę k s z y ć swą przewagę na decydującym froncie europejskim.

Dlatego Gorbaczow t e ż się spieszy; ale on ma ku temu realne powody. Jeśliby w najbliższym czasie nie doszło do podpisania i ratyfikacji układu, to cała sprawa odwlece się przynajmniej o dwa lata, a może znacznie bardziej. Rychło bowiem zacznie się w USA wyborcza kampania prezydencka, a wtedy nikt z Amerykanów nie będzie miał głowy do pertraktacji rozbrojeniowych. I nie wiadomo, co gorsza, jaki program w tej dziedzinie będzie miał następny prezydent. Dlatego trzeba kuć żelazo póki gorące - i przyspieszać spieszącego się Reagana.

Gorbaczow pokazuje tu dużą klasę. Zdobył się na "gest dobrej woli", wycofując znaczną część swoich zastrzeżeń przeciw inspekcjom na terytorium ZSRR; niewiele to kosztowało, gdyż i Reagan tymczasem złagodził swe żądania weryfikacyjne. Można się obawiać, że koniec końców eksperci amerykańscy będą dopuszczani tylko na rozbrojone "pokazówki"; już się nawet odbyło pierwsze demonstracyjne niszczenie broni, chwilowo chemicznych /rzecz jasna tych przestarzałych/, co uczyniło na Zachodzie dobre wrażenie. Przestał się także Gorbaczow upierać przy żądaniu zaniechania programu SDI /"wojen gwiazdnych"/, bo to bardzo odległa perspektywa i prawdopodobnie sami Amerykanie utopiają projekt z powodów fiskalnych. Poszedł Gorbaczow jeszcze dalej; ponieważ USA od dawna zarzucały Związkowi Radzieckiemu łamanie wcześniejszego układu ABM, który zakazuje budowania instalacji antyrakietowych poza strefami przygranicznymi, zaproszono amerykańskich kongresmenów i ekspertów do Krasnojarska, gdzie budowana jest gigantyczna centrala radarowa. Goście obejrzeni to, co im pokazano, złożyli spreczne sprawozdania. Nadal nie wiadomo, czy krasnojarska centrala jest "legalna", natomiast pozostało na Zachodzie uznanie dla radzieckiej "otwartości".

W rewanżu, według nie potwierdzonych jeszcze informacji, Reagan miał się zgodzić na to, że Pakt Atlantycki zaniecha wprowadzania uniwersalnych rakiet nowej generacji, wyposażonych w "inteligentne" ładunki konwencjonalne i zdolnych z tysiący mil osiągać cel z precyzją 1-3 metrów. Na takich rakietach, między innymi, miał się opierać program wzmocnienia obrony Europy; jeśli ich nie będzie, to ZSRR uzyska dodatkową korzyść całkiem "darmo", bez wzajemności ustępstw.

ZSRR zasugerował też, że byłby skłonny udostępnić swoje terytorium dla amerykańskich podziemnych prób nuklearnych; oczywiście na zasadzie wzajemności. Gdyby do tego doszło, to w najlepszym razie obie strony miałyby taki sam zysk wojskowy, ale ZSRR także dodatkową korzyść propagandową, eksponując swe "pojedyncze intencje". Można się też obawiać, iż eksperci radzieccy wypatryliby jednak więcej na poligonach amerykańskich - niż vice versa; Amerykanie mają silniejsze grono, a gościnność słowiańska jest przysłowiowa. Dobitnie przekonali się o tym dzielnicy "marines" z ochrony ambasady USA w Moskwie, w których rozkochały się biegłe w sztuce miłości agentki KGB.

A wreszcie, po długiej i tajemniczej nieobecności, Gorbaczow wysunął z Murmańska /największej w świecie bazy morsko-nuklearnej/ następną zachętę: "arktycznej strefy bezatomowej". Tym razem USA i Pakt Atlantycki zareagowały odmową. Strategiczny sens pomysłu polegał bowiem na tym, aby w razie czego uniemożliwić Stanom Zjednoczonym wzmocnienie słabej, północnej flanki europejskiego frontu.

GŁĘBSZE SENSY, DALEKOWZROCZNE OBAWY

Mimo wszystko, Zachód stopniowo uczy się reagowania na radziecką strategię dyskretnych gróźb i szeroko reklamowanych przynęt; chociaż uczy się powoli, a czasem sprawia wrażenie, jakby popadł we wtórny analfabetyzm.

Nawet zachodni pacyfiści stali się nieco mniej naiwni i zaczynają rozumieć /w jakimś okrucchu dzięki perswazjom naszego ruchu "Wip"/, że rakiety SS-20 nie są wehikułem pokoju. Warto przypomnieć, że SS-20 zaczęto rozmieszczać w 1977 roku; ruch pacyfistyczny wtedy spał. Ocknął się, gdy na alarm Helmuta Schmidta /o niebo mądrzejszego niż "cnotliwy" Willy Brandt/ zachodnia Europa zdecydowała się przyjąć Pershingi i Cruise. Na szczęście "zaicuchy rąk" i inne demonstracje pacyfistyczne nie cofnęły tego postanowienia - dzięki czemu mogło dojść obecnie do "podwójnej opcji zerowej" i do zyskania pewnych szans istotniejszych kroków rozbrojeniowych.

Nie mogło się nic takiego zdarzyć w roku 1981, kiedy Reagan wystąpił z inicjatywą "opcji zerowej". Zieloni i im podobni argumentowali wówczas, mając szerokie audytorium, że jest to pomysł "nierealistyczny", ponieważ "ZSRR tego nie zaakceptuje". Istotnie, w t e d y ZSRR takiego rozwiązania nie chciał, bo grał o większą stawkę: o "zamrożenie" broni nuklearnych w Europie, czyli o usankcjonowanie rakiet SS-20, stojących już na wyrzutniach - i o zapobieżenie rozmieszczeniu rakiet amerykańskich.

Układ obecny, jak już była mowa, sam przez się nie redukuje przewagi ZSRR, nawet ją wyraźnie akcentuje, ale - jeśli będzie wykonany - może jednak wytworzyć znacznie korzystniejszą dla Zachodu sytuację, aniżeli w końcówce rządów prezydenta Cartera. Wtedy Europa mogła być rzucona na kolana bez szans oporu, jeśli wyłączyć ewentualność zmasowanej riposty amerykańskich rakiet międzykontynentalnych - czyli końca świata, inaczej mówiąc.

A przeciw takiej ewentualności, nawet przeciw dopuszczeniu myśli, by mogło do niej dojść, protestowali wówczas nie tylko lewicowi pacyfiści - lecz także zachodni duchowni. Sławetny list pastorałny biskupów amerykańskich potępiał użycie broni jądrowej n a w e t w odpowiedzi na nuklearny atak wroga. Później stanowisko biskupów zostało zmodyfikowane groteskowo: można g r o z i ć przeciwnikowi, że się odpowie na jego agresję, lecz nie wolno m i e ć i n t e n c j i rzeczywistego odwetu...

Przeciwno tym i podobnym aberracjom, w stylu "Better Red than Dead", podniosły się wreszcie trzeźwiejsze głosy. Wybitny filozof francuski Andre Glucksmann ogłosił: "Wolałbym zaryzykować śmierć wraz ze swym dzieckiem, które kocham, w wymianie ciosów SS-20 i Pershingów, niż przystać na swoją i jego podległość czemuś w rodzaju planetarnej Syberii".

Około roku 1983 zachodnia Europa zaczęła się wyraźnie obracać ku konserwatyzmowi, który sprzyjał jej wysiłkom integracyjnym i obronnym. Mimo rozlicznych wahań i oznak słabości, ten-

dencja ta utrzymuje się nadal. Ale "era Gorbaczowa" znowu ją rozkrusza. Tonacją propagandzie znów nadają naiwne zachwyty nad liberalizmem gensseka i wdziękiem jego małżonki. Naiwnymi zaś są zazwyczaj ci, co naiwnością, sztuczną lub podświadomą, pokrywają własne tchórzostwo.

A więc wojna nerwów trwa i nic nie jest jeszcze przesądzona.

Mnożą się niepokojące sygnały.

Na ostatniej konferencji Partii Pracy w Brighton, mimo głosów krytyki wobec linii partii w kwestiach zagranicznych, utrzymana została zapowiedź, że w razie objęcia władzy Partia Pracy zlikwiduje brytyjskie siły odstraszania i pozbędzie się atomowych instalacji amerykańskich. Socjaldemokraci w RFN są teraz pod przywództwem Vogla, który nie ma w sobie woli i odwagi Schmidta. Oszałbli konserwatyści w Danii. Norwegia i Holandia nigdy nie były filarami polityki z pozycji siły. Włochy - odkąd odszedł Craxi - nie mają klarownej polityki zagranicznej. Grecja - to już jakby koń trojański Paktu Warszawskiego w łonie NATO. Obroty spraw w Turcji są wielką niewiadomą. Nieoczekiwanie, na podporę Paktu Atlantyckiego wyrosła Francja... która nie należy do jego struktury militarnej.

W samych zaś Stanach Zjednoczonych narastają rozterki i obawy. Brytyjski "The Economist" /12-18.9.87/ zamieścił na czołkowej raporcie o "marsie na twarzy" Amerykanów. Przekonali się w Wietnamie o granicach swej potęgi wojskowej, lecz wierzyli, że są nadal niedoścignieni w działaniach pokojowych. Teraz widzą, że na wielu polach prześciga ich Japonia, zachodnia Europa, nawet azjatyccy "nuworysze". Ufali Reaganowi - teraz są nim zaambarasowani. Gaśnie wiara w "amerykańskie stulecie". Pojawiają się nastroje defensywności, pesymizmu, zaszępienia. Nawrót do protekcjonizmu gospodarczego - to skrycie się za tarczą słabych; ale co począć, skoro do niebywałych rozmiarów wzrasta deficyt handlowy i budżetowy, zadłużenie federalne sięga już 2 t r y l i o n ó w /milion milionów/ dolarów? Nawet symbol powodzenia - "złoty stan" Kalifornii - w zastojach. Spada dynamika USA we wszystkich organizacjach międzynarodowych. Powtarzane jest zdanie, dawniej nie do pomyślenia w Ameryce: "Próbowaliśmy - i nie wyszło...". Poniżej linii biedy żyje 13,6 proc. Amerykanów i 20 proc. dzieci w Ameryce; i nie widać sposobu, jak pozbyć się tej hańby i powstrzymać "slumszację" wielkich miast. Udział USA w światowym produkcie brutto spadł z 40 proc. poniżej 25 proc., zaś w handlu światowym - z 22 proc. do 9,5 proc. Błyskotliwe sukcesy militarne, w rodzaju ataków na Grenadę i Libię, jeszcze budzą uniesienie, ale mozolne operacje w Zatoce Perskiej wywołują głosy, żeby się co prędzej stamtąd wycofać.

/Z innego źródła: marynarze na kilkudziesięciu okrętach US Navy w Zatoce są sfrustrowani, gdyż "nie są przygotowani do walki" przeciw irańskim minom i... motorówkom, uzbrojonym w karabiny maszynowe/.

Być może, oceny "The Economist" są przesadzone, wyrażają angielską schadenfreude z powodu kłopotów młodszego, lecz o tyle silniejszego trata. Ale na pewno nie są bezpodstawne.

LIDER ZACHODU TRACI WIARĘ WE WŁASNE SIŁY

Czy nie w tym właśnie główny sekret "zmięknienia" Reagana i jego pośpiechu w pertraktacjach rozbrojeniowych?

Jeszcze mniej wiadomo, rzecz jasna, jak naprawdę wygląda sytuacja po przeciwnej stronie i co się tam święci. Czy Gorbaczow w pełni kontroluje sytuację? Czy długo ją zdoła kontrolować? Nieznane są jego rzeczywiste intencje w kwestii poprawy bytu społeczeństwa, natomiast jego "demokratyzacyjne" hasła stanowią bez wątpienia taktyczne zagrywki dla oczarowania Zachodu i zjednania inteligencji. Wydaje się, że masy nadal są apatyczne i czekają, co przyjdzie "z góry", nie ryzykując - wbrew wyraźnym zachętom Gorbaczowa - szturm na konserwatywny "środek". Nie wiadomo jednak i tego, czy "głasność" nie uruchomi aby niespodziewanych procesów społecznych i czy diabeł wypuszczony z butelki nie zacznie szaleć?

Pewne jest natomiast, że wszystko, co dzieje się lub dzieć się może wewnątrz ZSRR, nie zmieni celów i zasad polityki zagranicznej, której tradycyjnym narzędziem jest potęga zbrojna, nawet wtedy /a raczej z w ł a s z c z a wtedy/, gdy się kamufłuje ekspansjonizm rozmaitymi inicjatywami rozbrojeniowymi i deklamacjami o pokoju.

Tylko jak ten pewnik przeszczepić do zachodnich umysłów, które wolą być ufnie, bo znacznie wygodniej żyć w złudzeniach?

Leszek Ewelski

=====

ANKIETA "KULTURY"

ANKIETA "KULTURY"

=====

"Myślę, że kurs Gorbaczowa tak, jak on jawi się obecnie, może zwiększyć autonomię PRL w ramach Paktu Warszawskiego i RWPG. Trzeba jednak podkreślić, że ograniczamy się tu do "autonomii PRL w ramach". Nie wydaje mi się, by w dotychczasowych poczynaniach obecnej ekipy sowieckiej można było dostrzec zapowiedź jakichś rewolucyjnych zmian w stosunkach z "bratnimi krajami", czy w sposobie zorganizowania tzw. wspólnoty socjalistycznej. Nadal obowiązują dwa kanony. Pierwszy, że podstawą wspólnoty jest zasadnicza zbieżność ustrojów. Drugi, że obrona wspólnoty jest zbiorowym obowiązkiem jej uczestników. Ze Związkiem Radzieckim na czele, dodajmy dla pełnej jasności."

Waldemar Kuczyński.

• • •

Załatwić sobie wojsko

ROZMOWA Z DZIAŁACZEM RUCHU WOLNOŚĆ I POKÓJ,
PIOTREM NIEMCZYKIEM

- Wiesz, w jakim żyjemy kraju...

Piotr Niemczyk: - W rzetelnych badaniach socjologicznych, może z lekką nadreprezentacją partyjnych, "Polacy 84", wyszło, że czynne poparcie dla "Solidarności" deklaruje 5 procent społeczeństwa, zaś z wahaniami następne 10. Nowszych danych nie znam, ale nie sądzę, by wiele się zmieniło.

- Dopowiem, że w Polsce króluje apatia i niechęć do wszelkiego działania, co jest głównie udziałem młodzieży. A wy robicie ruch, którego podstawowa klientela powinni stanowić ludzie młodzi. Czy zatem sądzisz, że WiP może w pewnym sensie wzbudzić potrzebę społecznej aktywności, rozbuhać posierpniowe generacje?

P.N.: - Z danych "czerwonego" wynika, że 40 procent chłopaków w wieku poborowym za cholerę nie chce iść do wojska. Prawdopodobnie tych niechętnych jest znacznie więcej. Oczywiście, nie ma mowy, by uruchomić te 40 procent. Ale jakby udało się 5-6 procent...

Zresztą nie chcą operować takimi ogromnymi liczbami. Jak zakładaliśmy WiP, to chciałem sobie załatwić wojsko. Chciałem, żeby władze uznały status człowieka, który zwyczajnie nie chce iść do wojska, lecz nie kombinuje, nie szuka lewych zwolnień lekarskich, tylko mówi, że jego przekonania nie pozwalają mu służyć, co w cywilizowanym kraju zupełnie wystarcza. To świetnie, że jeszcze ktoś się przyłączył, ale tak naprawdę robiłem WiP dla siebie. Poza tym dziś nie są czasy, kiedy się myśli o uruchomieniu milionów ludzi.

- W waszym przypadku jest może tak dlatego, iż prawdziwe kłopoty spotykają młodego człowieka dopiero z chwilą odesłania książeczki. Wojsko jakoś się przeżywa, można się przystosować, popsioczyć, a później zapomnieć. Za to ty oddajesz książeczkę czy kartę powołania, więc bierzesz na siebie konkretne ryzyko, wpisujesz w życiowy regresie, szkany, czas-tę więzienie.

P.N.: - Wojska nie przechodzi się bezboleśnie; więzienie niby też można przeżyć, z mniejszym lub większym szwankiem na zdrowiu, ale wychodzą zeń ludzie zdolni do pracy, do jakiegoś tam funkcjonowania w społeczeństwie.

Teraz rokrocznie opuszczają koszary tysiące młodych ludzi, w pewnym sensie ogłupiałych, stłamszonych psychicznie i moralnie. Ale to jeszcze nie jest główny problem. Według szacunków zachodnich, a także danych dotyczących przedwojennego polskiego wojska, w armii jest 6 razy więcej samobójstw, niż w grupie największego ryzyka, czyli również wśród młodych mężczyzn w wieku od 19 do 21 lat. To dane z Wojskowego Przeglądu Wydawniczego wydawanego przez Prokuraturę Wojskową, który zresztą nie podaje żadnych informacji dotyczących skali samobójstw we współczesnym wojsku polskim. Ale dlaczego miałoby się to zmienić? A jeśli tak, to pewnie na gorzej. Dolicz jeszcze setki sanouszkodzeń, dezercji; to dziesiątki tysięcy przypadków w ciągu ostatnich lat.

- Zatem WiP to nie tylko protest przeciwko konkretnej armii i konkretnej przysiędze na wierność doraźnym sojuszom, lecz sprzeciw wobec samej instytucji wojska, która z normalnego chłopaka może zrobić samobójcę lub kogoś, kto potnie sobie ręce żyłką.

P.N.: - Jesteśmy ruchem pokojowym, lecz innym od tego oficjalnego, który pokazuje na telewizji. Dlatego każda forma zmuszania społeczeństwa do udziału w wojnie, nawet wojnie potencjalnej, jest dla nas nie do przyjęcia. Protestujemy przeciwko każdemu szkoleniu do zabijania. A jeżeli ktoś chce odebrać wojsko dla świętego spokoju, ma do tego prawo. Jednak i w takim wypadku kwestionujemy zasadę bezwzględnego posłuszeństwa wobec wszystkiego i wszystkich, także sił zewnętrznych, bo to ta sama zasada, na którą powoływali się sędziowie w Norymberdze.

- Konieczności służby wojskowej nie kwestionował głośno nikt przez z górą 40 lat istnienia PRL. Owszem, wykształciły się inne formy działalności opozycyjnej, lecz nigdy ruch pacyfistyczny. Dlaczego tak późno?

P.N.: - Znalazło się zapotrzebowanie społeczne, a może my takie zapotrzebowanie wytworzyliśmy. Lata temu były przypadki odmowy złożenia przysięgi, po aresztach siedzieli też świadkowie Jehowy, ale nie łączyło się to z tak drastycznymi okolicznościami, jak wieloletni wyrok więzienia. Teraz ludzie uświadomili sobie, że powinni aspirować do większej przestrzeni wolności.

- Jak to się zaczęło?

P.N.: - Od sprawy Marka Adamkiewicza, studenta ze Szczecina, który w 1984 roku dostał dwa i pół roku za odmowę przysięgi. Z kilku ośrodków akademickich - z Warszawy, Łodzi, Szczecina i innych - wyszły petycje w jego obronie, które, rzecz jasna, w tamtym okresie nic nie dały. Ale ludzie nie ustąpili. Przypadek Adamkiewicza był ewidentnym naruszeniem wolności sumienia, represjonowaniem za przekonania. On przecież nie takiego nie zrobił, nie zżapali go przy offecie - ludzie od

offsetów też siedzieli niesłusznie - tylko sądzili za sposób myślenia.

W marcu 1985 roku zrobiliśmy w kościele w Leśnej Podkowie tygodniową głódówkę. Zaczęło 11 osób - skończyło około 20. Wśród nas byli reprezentanci kilku ośrodków. Dyskutowaliśmy wówczas na temat szans niezależnych ruchów pokojowych w Europie Wschodniej, o nauce społecznej Kościoła w przesłaniu Janą Pawła II, o ghandyzmie i non-violence.

Równolegle w Krakowie powołano Ruch Wolność i Pokój. Nazwa może nieco patetyczna, ale lepszej nie wymyślili. Potem zorganizowaliśmy akcję odsyłania książeczek wojskowych. A później samo jakoś poszło.

Teraz WiP jest w kilkunastu większych miastach: Warszawie, Krakowie, Gdańsku, Gorzowie Wlkp., Wrocławiu, Kołobrzegu i innych. Coś rusza się w Lublinie. Są u nas ludzie z bardzo różnych środowisk społecznych; głównie młodzi robotnicy, ale też studenci, uczniowie i różni inni, którzy nie mieszczą się w żadnej klasyfikacji. Średni wiek oscyluje około dwudziestki.

Ruch - co chyba jest słuszne - nie dorobił się jednolitego oblicza politycznego. Mamy katolików, liberałów, anarchistów. Dlatego trudno robić nam akcje o szerszym wydźwięku, niż sprawa wojska.

- WiP się rozkręcił, a ty pojechałeś na Zachód.

P.N.: - Myślałem, że nie dostanę paszportu. To już było po petycjach, głódówce, odesłaniu książeczki wojskowej. Jak dali, to poszedłem na całego. Jechałem właściwie bez kontaktów. Niemniej, tam ludzie coś niecoś słyszeli już o WiP-ie; zapraszaliśmy ich na imprezy związane z Schimkiem, wiedzieli o głódówce, Adamkiewiczu. Byli to głównie ci, którzy kontaktowali się z biurami "Solidarności" na Zachodzie, więc generalnie Polsce i Polakom przychylni. Ale inni też przyjęli mnie znakomicie. Staraliśmy się znaleźć wspólną formułę, płaszczyznę współdziałania. Chciałem pogadać ze wszystkimi, choć było to szalenie trudne, choćby ze względu na kłopoty z poruszaniem się ludzi z Europy Wschodniej na Zachodzie. Ale i tak rozmawiałem z pacyfistami ze Szwecji, Danii, Holandii, Belgii, Francji, Wielkiej Brytanii i Berlina Zachodniego, z grupami o różnych orientacjach politycznych i światopoglądowych. Dyskutowaliśmy o rzeczach doraźnych, obronie ludzi represjonowanych za odsyłanie książeczek wojskowych; wtedy akurat jeden z nas poszedł siedzieć.

- Nie bałeś się, że takie kontakty mogą być źle przyjęte, bo w Polsce zdecydowana większość postrzega zachodnich pacyfistów jako mniej lub bardziej zakamuflowanych agentów Moskwy?

P.N.: - Ruchy pokojowe są różne. Są ewidentne ekspozytury, którym udowodniono branie pieniędzy z radzieckich ambasad, na przykład w Danii i Holandii. Można również czasem powiedzieć, iż to, co robią pacyfiści, jest na rękę ZSRR. Czasami są naiwni, gdyż wydaje się im, że uległością zbudują zaufa-

nie. Broń kosztuje tyle i tyle, a jej obecna ilość jest w sumie zbędna, gdyż - tak sądzą - wystarczy co trzecia rakietą, by skutecznie się bronić. Wiarygodność takiej wyliczanki, nawet przy uznaniu za sprawdzone dzisiejszych środków kontroli zbrojeń, pozostawia wiele do życzenia.

Ale są to z reguły ludzie uczciwi, upatrujący podstawę rozbrojenia nie tylko w porozumieniach między rządami, lecz w odprężeniu oddolnym. Broń należy usunąć wtedy, gdy stanie się to rzeczywiście potrzebne, więc należy do tego dążyć, zostawiając na boku jednostronne rozbrojenie. Są za rozwiązaniem bloków wojskowych, swobodnymi kontaktami między ludźmi. Wierzą, iż społeczeństwa Wschodu i Zachodu wcale nie mają ochoty skakać sobie do gardeł, że cały ten konflikt jest sztuczny. ZSRR wykorzystuje tę działalność wbrew ich oczywistym intencjom.

- Jednak pomysł na jednostronne rozbrojenie co jakiś czas powraca, jak koszmarnie senne widziadło.

P.N.: - Rozmawiałem niedawno z facetem z holenderskiej Międzykościelnej Rady Pokoju. On nie wierzy w możliwość jakiegokolwiek porozumienia na temat broni średniego zasięgu i dlatego jego ruch - jeden z najbardziej sensownych w Europie - jest za rozpoczęciem jednostronnego rozbrojenia przez Zachód. Przy takim układzie my mówimy o prawach człowieka, a oni oddają pole. Bo jednostronne rozbrojenie, to rozbrojenie bezwarunkowe. Chcą, żeby ZSRR odpowiedział tym samym. Mówią, że "pierestrojka", że Gorbaczow; biorą za dobrą monetę wszystkie jego słowa. A że Moskwa przejęła propagandową inicjatywę w dziedzinie rozbrojenia, to już nie tylko ich wina.

Zależy im również na efektywności własnej polityki, co można mierzyć jedynie ilością wycofanych rakiet. Myślą, że nie potrafią skutecznie protestować przeciwko rakietom radzieckim, więc chodzi im głównie o broń rozmieszczoną na własnym terytorium. I nawet jeżeli wygląda to na dążenie do jednostronnego rozbrojenia, to jeszcze nie powód, by z nimi nie rozmawiać.

Zas drugą stroną medalu jest dla Polski o wiele ważniejsza. Nie chcą u siebie rakiet, bo nie chcą do nas strzelać!

Przyjeżdżają do Polski, w swoich gazetach piszą o Europie Wschodniej. Mówią głównie o rakietach, gdyż prawa człowieka, to dla nich rzecz mniej lub bardziej abstrakcyjna; na przykład wolność słowa znaczy tam zupełnie co innego, niż u nas. Lecz sądzą, iż chętnie poszliby na jakies akcje broniące swobód, tyle że nie bardzo wiedzą, jak to zrobić. I tak na dobrą sprawę, my również nie wiemy. Nawet niezbyt skutecznie potrafimy upomnieć się o odmawiających służby wojskowej, a co dopiero o jakies rakiety.

- Powinniście jednak w pewien sposób kształtować waszych zachodnich partnerów. To przecież ta sama generacja, ludzie podobnie myślący. Niech do pokoju dorzuca jeszcze wolność.

P.N.: - Wpływ jest dość oczywisty, choćby przez ich bogatą sieć kontaktów z Europą Wschodnią. Zachodni pacyfisci w swoich programach uwzględniają, że odprężenie oddolne, czyli powszechne respektowanie praw człowieka, jest bardzo ważne, a totali-

tarna władza jest zagrożeniem dla pokoju.

- A lewicowy język? Mnie osobiście nie przeszkadza, lecz zdaje sobie sprawę, iż wyswiechtane przez komunistów slogany działają w Polsce jak płachta na byka. Po wtóre - co również mi nie przeszkadza - w wielu wypadkach zachodni pacyfisci otwarcie przyznają się do lewicowego rodowodu, co u nas jest generalizowane i traktowane niemal jako odstępstwo od wiary ojców.

P.N.: - Pacyfistami są i lewicowcy i chrześcijańscy demokraci. Czy warto więc oglądać się na lewicowość niektórych grup? Jeśli na zachodni ruch pokojowy patrzeć przez pryzmat polskich oficjalnych gazet, znaczy to ni mniej ni więcej, tylko dać zamącić sobie w głowie zwyczajną propagandą. Jeżeli inne machloje "czerwonego" nie przechodzą tak łatwo, dlaczego tutaj dajemy się oszukiwać?

- Wasi uczestnicy, sojusznicy i przyjaciele widzą spory sukces Ruchu w zorganizowaniu ostatniego lata międzynarodowego seminarium pokojowego w Warszawie.

P.N.: - Nazjeżdżało się wiele osób z Zachodu, choć znacznej grupie chętnych nie dano wiz wjazdowych, a nawet cofano z granicy. Ludziom ze Wschodu nie wydano paszportów. Było to seminarium udane, głównie dlatego, iż ludzie ci nigdy wcześniej nie widzieli polskich "pacyfów", a teraz poznali się osobiście. Tak samo większość naszych nigdy nie była na Zachodzie. A teraz obejrżeli się, pogadali ze sobą, nawet pokłócili o kilka spraw /oni twierdzą, że Stany Zjednoczone wyprawiają to samo, co Moskwa/.

Poziom referatów może nie był najwyższy - znacznie lepiej prezentowały się dyskusje w zespołach roboczych, na przykład o non-violence czy ekologii. Wszyscy uchwaliśmy, że w sprawie elektrowni atomowych konieczne jest referendum, bo przecież nie jest to sprawa jednego kraju, co dobitnie udowodnił Czarnobyl. Na koniec seminarium podpisaliśmy wspólne dokumenty.

Szykujemy następne imprezy tego typu. Ponieważ Jaruzelski przygotowuje konferencję KBWE czy przewodniczących parlamentów państw-sygnatariuszy porozumienia z Helsinek na 50 rocznicę wybuchu II wojny światowej, to my przy tej okazji zorganizujemy konferencję pokojową. Coś na kształt tej, która odbyła się w Wiedniu, również podczas spotkania KBWE. Zauważ, że podobne inicjatywy wychodzą nie tylko od nas. Zbliżone pomysły ma Karta 77 czy Grupa Zaufania z Moskwy, która proponuje spotkanie poświęcone pokojowi i prawom człowieka. Mamy zaproszenia z Węgier i Czechosłowacji, również propozycje sygnowania wspólnych dokumentów.

- Właśnie. Bo prócz Zachodu jest jeszcze druga, nasza strona żaby. Jak tutaj mają się ruchy pokojowe?

P.N.: - WiP jest jednym z ostatnich takich pomysłów w Europie Wschodniej i wcale nie najlepszym. Podobne formacje powstały wcześniej na Węgrzech i w NRD, choć często nie bez polskiego, pośredniego udziału. Na przykład w NRD spora część

niezależnych organizacji pokojowych, to odpowiedź na powstanie "Solidarności". Choćby grupa Rolanda Jana z Jeny - teraz ich wszystkich wyrzucili na Zachód. Zaczęło się od tego, iż Roland przypiął sobie do roweru biało-czerwoną chorągiewkę w geście zwyczajnej sympatii. Okazało się, że nie wolno, choć oficjalnie deklarowano przyjaźń itp., itd.

A jeszcze wcześniej były ruchy związane z Kościołem protestanckim, a także grupa "Przekujemy miecze na lemiesz". Na Węgrzech - "Dialog". To wszystko rozpada się i znów klei. Cały czas coś się dzieje.

Znakomita jest czechosłowacka Karta 77. Apel praski to jeden z najważniejszych dokumentów europejskiego ruchu pokojowego, podstawa późniejszego memorandum do KBWE. Memorandum to podpisali prawie wszyscy liczący się w Europie działacze. Skład sygnatariuszy jest bardzo ciekawy: aktywista SPD, związkowcy z Hiszpanii i Włoch, biskup Kopenhagi, Lublany, episkopat Austrii, itp. Dokument podkreśla, że pokój jest ściśle związany z prawami człowieka, a wszystkie działania na rzecz swobód obywatelskich są jednocześnie działaniami na rzecz pokoju. Oczywiście, mówi się o rozbrojeniu nuklearnym i likwidacji bloków wojskowych, ale równoległe i równorzędnie o wolnościach związkowych, swobodzie podróżowania, wolności słowa, statusie więźniów politycznych i zwolnieniu wszystkich więźniów sumienia /ważne rozróżnienie - więzień polityczny to ten, który w swej działalności dopuścił się stosowania przemocy/.

Dobrze działa ruch pokojowy w Jugosławii, przede wszystkim w Słowenii.

- Wróćmy na własne podwórko. Wasza działalność jest bardzo kolorowa, spektakularna. Po raz pierwszy w historii PRL organizujecie sitingi, kilku ludzi ma odwagę robić uliczne demonstracje. Jeszcze plakaty i ulotkowanie, czyli same atrakcje - w dobrym tego słowa znaczeniu - dla zwykłych przechodniów, szczególnie młodych. Czy to nie wpływa na wzrost popularności?

P.N.: - To nie my pierwsi usiedliśmy w PRL na ziemi - pamiętaj o niezależnej manifestacji pierwszomajowej w Warszawie w 1985 roku. WiP-owcy są zdecydowani, bo tak naprawdę nie ma się czego bać. Przecież cię nie zabiją, jak usiądziesz na ziemi. Poszliśmy na znane wszędzie techniki non-violence i to wszystko.

To jest rzeczywiście barwne, lecz nie wiem, czy dodaje nam zwolenników. My siadamy na ulicy, jesteśmy zdecydowani zapłacić te 50 tysięcy na kolegium, a ludzie stoją, czekają co się dalej stanie, kiedy przyjedzie policja. Niektórzy pukają się w czoło, patrzą na nas, jak na cyrk objazdowy. Bo strach jeszcze jest.

Podobnie było z odsyłaniem książeczek wojskowych. Odesłało je kilkadziesiąt osób. Później część odebrała, bo bali się, nie chcieli mieć kłopotów. Jest różnie. Mamy takie metody, jakie mamy.

- Czy one skutkują?

P.N.: - Też różnie. Chodzi nam przede wszystkim o uruchomienie pewnych mechanizmów społecznych, odblokowanie strachu. Myślę, że wielkim sukcesem Ruchu jest sprawa huty Siechnice we Wrocławiu. Nie dlatego, że "czerwony" zadeklarował jej zamknięcie, bo tak naprawdę, to nie zamyka. Pokazaliśmy jednak, że zdeterminowani ludzie, których przecież nie jest tak wielu, mogą coś załatwić.

Drugi sukces, to historie dziejące się w Międzyrzeczu. Tam z kolei wymyślono zrobić w poniemieckich bunkrach składowisko odpadów radioaktywnych. Miesiąc w miesiąc organizowane są marsze. Nie my je przygotowujemy, choć ludzie z WiP-u są zawsze obecni. Te marsze są lokalną inicjatywą społeczną.

- Doszliśmy więc do ekologii, drugiego obszaru waszej działalności.

P.N.: - Sprawy ochrony środowiska naturalnego włączyliśmy już do deklaracji ideowej Ruchu, lecz na serio zaczęło się od Czarnobyli. Generalnie jesteśmy przeciwko elektrowniom atomowym; opowiadamy się za referendum w tej sprawie. Faci z Gdańska piszą petycje, zbierają podpisy, organizują sitingi przeciwko projektowanej elektrowni w Żarnowcu na Pomorzu. W Gorzowie Wlkp. wleźli na daszek nad wejściem do domu towarowego, a szyby okleili plakatami. To - na razie - nie skutkuje, lecz nie ma najmniejszych powodów, by z elektrowniami nie walczyć.

W sprawie Siechnic uzyskaliśmy poparcie Polskiego Klubu Ekologicznego, ale było to poparcie jakby przy okazji. To nie jest formalny sojusz między nami, jednak PKE po prostu rzetelnie traktuje ekologię, nie idzie na żadne koncepcje tak zwanego mniejszego zła. W przeciwieństwie do ministra ochrony środowiska naturalnego, którego aktywność polega na wydawaniu zezwoleń, by budować zakłady bez oczyszczalni ścieków. W świetle obowiązującego prawa nie można stawiać nowych fabryk bez zabezpieczeń ekologicznych. Ale ustawa przewiduje, że minister może zwolnić zakład z konieczności budowy oczyszczalni czy zakładania filtrów kominowych. I on przede wszystkim właśnie to robi.

- Nie lubi was nie tylko minister od świeżego powietrza...

P.N.: - W ogóle nie lubi nas władza, bo uderzamy w jeden z filarów tego systemu, jakim jest przemoc. Jeszcze ponoc podważamy wiarygodność wojska, przedstawiając polską armię jako filię sił radzieckich. Ale przecież faktycznie trochę tak jest.

Kwestionujemy potrzebę istnienia wojska i domagamy się zastępczej służby cywilnej. Ale wśród nas znajdują się również i tacy, którzy nie chcą nawet służby cywilnej, bo przecież ludzi nie wolno zmuszać do czegośkolwiek. Lecz generalnie służba zastępcza może być, byle w warunkach bezpiecznych dla zdrowia i życia, więc z pewnością nie w kopalni, co nam proponują. Za to na pewno praca społecznie użyteczna, przede wszystkim w szpitalach.

Państwo musi szanować indywidualne decyzje odmowy służby wojskowej. To jest nawet po linii marcowej rezolucji ONZ z 1987 roku.

- Państwo powinno, ale nie chce. Jako grupa zaliczacie najwięcej kolegiów, zaś ataki prasowe na was nie przebiegają w srodkach. Są to zwyczajne oszczerstwa, pomówienia, kłamstwa. W najlepszym razie mocno tendencyjnie podawane informacje.

P.N.: - Często prasa po prostu łamie prawo. Wytoczyłem sprawę sądową jednemu dziennikarzowi z pisemka MSW, "W służbie narodu". Oskarżyłem go o przestępstwa przeciwko pokojowi. Facet napisał artykuł, w którym strasznie opluł WiP. Stwierdził, prócz całej masy inwektyw, że jesteśmy dziećmi grenadiera Schimka, chętnymi do paradowania w tych samych jak ojciec, wermachtowskich mundurach. To już zdecydowane przegięcie pały, choć z drugiej strony, skoro Schimek-dezterter paradował w cywilnych ciuchach, to czemu nie...

Znalazłem więc taką stalinowską ustawę o zbrodniach przeciwko pokojowi, która grozi sankcją 15 lat więzienia każdemu, kto szkaluje działalność pacyfistyczną. Skierowałem sprawę do Sądu Wojewódzkiego, a teraz dostałem zawiadomienie, że przekazano ją w kompetencje Sądu Rejonowego Warszawa-Mokotów, więc czekam dalej.

Oczywiście, nie wierzę, żeby facetowi spadł włos z głowy, ale sprawa jest. Poza tym, jak sam siedziałem, też miałem zagrożenie do 15 lat...

- Naskakuje na was nie tylko władza.

P.N.: - Chyba nie tak. Mamy dobre kontakty z opozycją, doceniają to, co robimy. A ci, którzy niechętnie patrzą? Może boją się konkurencji?

- A mit wojska, szabelki, konika, rogatwyki? Na dodatek, choć społeczeństwo jest prawie w całości antykomunistyczne, to na tyle spreparowane przez władzę, że niekiedy aż totalitarne, zwłaszcza starsze pokolenia. Wy zaś jesteście wolnomysłicielami, orginałami. Takich się niezbyt poważa. Poza tym totalitarne społeczeństwo zawsze czeka na wodza, musi mieć armię.

P.N.: - Wszyscy mówią o micie wojska, a nie o jego wyznawcach. Kto się do nich zalicza? Jest przecież jeszcze ta armia, którą każdy mógł sobie obejrzeć 13 grudnia i później - żołnierzy pilnujących bez najmniejszego sensu koszy z koksem. A wojsko, które strzelało do robotników w Grudniu 1970 roku?

Ten cały mit jest szalenie niejednoznaczny, zaś wśród młodych ludzi legendy po prostu nie ma. No, może ta grupka nawiedzonych antysemitów z kościoła przy Zagórnej w Warszawie. Ale trudno się takimi sprawami przejmować.

- Czemu przypisać dzisiejsze społeczne nagłośniecie spraw związanych ze służbą wojskową. Swego czasu Niezależne Zrzeszenie Studentów również próbowało zajmować się tymi problemami, lecz uczelnie spasowały, uznając postulaty dotyczące armii za zbyt radykalne. A wy zaczęliście właśnie od tego.

P.N.: - Dużo się zmieniło w ludzkiej świadomości. Kiedyś pewne rzeczy wydawały się niemożliwe do załatwienia, a dziś się o nie walczy. I nie jest to sprawa pozycji strategicznej w rozgrywce z władzą, która przecież dziś jest mniej wrażliwa na naciski społeczne, niż w czasach "Solidarności", lecz przede wszystkim świadomość.

Młodzi, którzy przeżyli euforię "Solidarności", łatwiej mogą sprzeciwić się wojsku. Mają bardzo konkretny zasób doświadczeń życiowych. Gdyby ten багаż był większy, może by się bardziej bali. Gdyby zaś mniejszy - pewnie nigdy by o tym nie pomyśleli. Już mówiłem, że zgłosiłem akces do WiP-u, żeby sobie załatwić wojsko. Ale nie z egoizmu, bo wówczas ganiałbym za lekarskimi świstkami. Powiedziałem sobie, że powalczę, lecz nie zależało mi również na stworzeniu wielkiego ruchu społecznego, którego byłbym liderem lub jednym z najbardziej znanych członków. I dlatego nie mam wielkich oczekiwań - nie musi odmawiać służby połowa poboru. Niech odmówią ci, którym wojsko rzeczywiście przeszkadza, którzy naprawdę się nie nadają.

- Spróbuj więc powiedzieć, co - twoim zdaniem - stanie się z WiP-em w przyszłości.

P.N.: - Podstawową sprawą dla WiP-u jest służba wojskowa. Jeśli wyjaśni się pozytywnie, to znaczy, jeśli władza ustali liberalne przepisy, wtedy WiP okaże się niepotrzebny, nie będą potrzebne sitingi i cały ten szum. Zresztą już teraz regionalne struktury "Solidarności" przejmują nasze postulaty, jedynie kierując odmawiających do biur informacyjnych Ruchu. Do sprawy podłączyły się także uczelniane ogniwa NZS-u. Jeżeli pójdzie tak dalej, wówczas rozmyjemy się w wielość struktur.

Z drugiej strony, jeżeli władza zacznie nas konsekwentnie wsadzać, to WiP może nie wytrzymać, bo ludzie zaczną się zwyczajnie bać. Sądzę jednak, że na podobne represje się nie zdecydują. Po pierwsze, musieliby dawać duże wyroki. Po drugie, spowodować wyciszenie ruchów pokojowych na Zachodzie, które dziś stają w naszej obronie.

Tutaj dłuższa dygresja, gdyż - niestety - to drugie jest w jakimś stopniu wykonalne. Formacje pacyfistyczne dziś strukturalnie siadają, bo okazały się mało skuteczne w załatwianiu swoich własnych spraw. Ludzie się nie angażują, a przynajmniej nie w takim stopniu, jak podczas szczytowego rozwoju w 1980 roku. Nawet uznanym firmom nie udaje się utrzymać aktywności na dawnym poziomie. Pacyfizm to ruch pokoleniowy; ludzie, którzy działali w okresie szczytowego natężenia, teraz odchodzą. Jedni stają się politykami, inni wracają do domowych ogródków. Przychodzi nowa fala, która musi przejść wszystkie etapy: od wścieklej antyamerykańskości - to oni otaczają amerykańskie bazy wojskowe w RFN, Holandii, Hiszpanii - do stanowiska bardziej wyważonego, bardziej spójnego z naszym.

Mamy dobre układy ze starszą generacją. Młodzi się oczy-

wiecie pod to podłączają, ale co innego oznacza ogólnikowe, zwyczajne poparcie, a co innego zgrupowanie ludzi wokół faceta, który siedzi.

Zresztą z zachodnimi pacyfistami nie możemy się do końca dogadać właśnie w takich sprawach. Dla nich jest oczywiste, że jeśli ktoś siedzi, to wówczas trzeba go bronić. Kiedy władza pęka i zwalnia, oni są zadowoleni. Ale nie bardzo wiedzą, co dalej. Dla nich sprawa więźnia sumienia, to rzecz czysta, lecz gdy władza zacznie nas represjonować, na przykład przez odmowę wydawania paszportów, to będzie już zupełna abstrakcja. Po prostu pewnych rzeczy nie rozumie ten, kto ich nigdy nie doświadczył.

Kolejną domeną WiP-u jest ekologia. To sprawa dla wszystkich tak oczywista, że już jesteśmy tylko jednym z ogniw w ruchu obrony środowiska naturalnego, gdzie pierwsze skrzypce gra "Solidarność". Powstają raporty ekologiczne z Zamościa, Opola, Śląska, Konina. Myślę, że "Solidarność" jest do takich działań lepiej przygotowana. Sam WiP byłby zdecydowanie za słaby, żeby sprawy związane z ekologią popchnąć do przodu.

Sądzę, że WiP coraz bardziej będzie się integrował z opozycją, co nie powinno być takie złe. Zauważ, jak wiele pomysłów naszego autorstwa jest przejmowanych przez inne struktury. Ruch samodzielnie chyba nie utrzyma się na fali, jako grupa konkretnie identyfikowanych ludzi. Ale pomysły zostaną.

- I całe szczęście. Bowiem młodzież jest inna, inaczej myśli i inaczej chce działać, jeżeli w ogóle chce. Generacja "Solidarności", dzisiejsze 30-40 latki odchodzą, a ktoś musi przejąć pałeczkę.

P.N.: - Niemniej WiP jest kontynuacją "Solidarności". Został założony przez ludzi, których kręgosłup kształtował się w ciągu 16 miesięcy "karnawału". Nasza działalność nakierowana jest na samopomoc i samoobronę. Czyli działają tutaj podobne mechanizmy, jak w Związku i w opozycji przedsierniowej.

W ogóle co atrakcyjnego można zaproponować młodemu człowiekowi? Oczywiście to, żeby nie szedł do wojska, którego nie lubi. A pracownikowi? Wolne związki zawodowe, które go obronią, gdy przyjdzie taka konieczność. Sądzę, że "czerwony" bardziej będzie trzymać się armii, niż fabryk. Ale to już zupełnie inna sprawa - ich i nasz problem.

- Dziękujemy za rozmowę.

Rozmawiał /ps./

Jak zwyciężyła rewolucja

Uczcić nie zamierzamy, ale z różnych powodów odnotować trzeba.

W tym roku mija 70 rocznica bolszewickiej rewolucji październikowej, wydarzenia, które nie tylko - jak pisał John Reed - wstrząsnęło światem, ale - jak się wnet okazało - położyło przynębiająco ponury i groźny cień nad losem całej ludzkości, nad przyszłością naszej cywilizacji. W założeniu jej obłąkanych teoretyków i wizjonerów pożoga rewolucyjna miała ogarnąć wszystkie uprzemysłowione kraje Europy, a następnie świata. Na przekór tej teorii zbrodniczy zamysł Lenina i spółki powiódł się tylko w jednym zacofanym, dzikim, wpół azjatyckim kraju. A powiódł się dzięki zbiegowi okoliczności i w sposób zgoła groteskowy.

Rewolucja zwyciężyła, bo ci, przeciwko którym była skierowana, do końca nie chcieli w nią uwierzyć, nie traktowali jej poważnie, nie bronili się przed nią. A przecież wystarczyło, żeby ktoś mocno tupnął nogą, a rewolucjoniści rozpierzchniliby się jak szczury. Niestety, nikt taki się nie znalazł. W decydującej chwili zabrakło wyobraźni mądrym, zdawałoby się, ludziom. Lenin chichotał, podskakiwał i zacierał ręce, gdy się dowiedział, że się udało. Po prostu nie mógł w to uwierzyć. Później napisał: "Rewolucja w pewnych wypadkach jest cudem. To był cud."

Gdy minęła owa fatalna noc z 24 na 25 października 1917 r. /wg starego kalendarza/, ulice w Petersburgu wyglądały normalnie. Ukazały się jak co dzień gazety, czynne były sklepy, restauracje i kawiarnie. Wieczorem otwarto drzwi teatrów i kin. Szalopin śpiewał "Don Carlosa". Jak piszą Michał Heller i Aleksander Niekricz /"Utopia u władzy"/, nikt nie wiedział, że jest już po wszystkim. Że oto właśnie zaczął się najbardziej ponury rozdział w historii Rosji, krajów sąsiedzkich i całego świata. Rozdział nacechowany agresją i zbrodnią.

Wiemy, jakie są skutki 70-letniego już panowania doktryny bolszewickiej nad 1/6 ziemskiego globu - zniewolenie ok. 400 mln ludzi /w tym 100 mln w krajach zawładniętych podczas i po zakończeniu II wojny światowej/, cofnięcie cywilizacyjne o ok. ćwieć wieku w stosunku do wolnego świata zachodniej demokracji, cofnięcie nie do odrobienia. I nuda, i szarość, i koszmarna uciążliwość codziennego życia pod władzą komunistyczną, i brak jakichkolwiek perspektyw.

Nikt trzeźwo myślący nie wierzy zbyt w propagandowe

hasia w rodzaju "głasnosti" i "pierestrojki". Nie jest bowiem możliwa reforma niereformowalnego z natury rzeczy systemu - systemu, którego jedyną racją, zastępującą zbankrutowaną ideologię, jest utrzymanie władzy przez panującą oligarchię partyjną. Utrzymanie władzy za każdą cenę - nawet za cenę zagłady całego świata, za cenę odpalenia Pershingów i SS-ów.

Okragia i duża w dodatku rocznica bolszewickiego przewrotu powinna skłaniać do zastanowienia - jak długo to potrwa jeszcze, ile jeszcze będzie tych rocznic? Zostawmy to jednak. Takie myślenie jest pozbawione sensu, gdy z góry wiadomo, że życie minie nam w kolejkach. Imperium gnije i prędzej czy później upaść musi. I to bynajmniej nie dlatego, że tak pragnie ogromna większość i że wymaga tego porządek moralny. W świecie komputerów i cynicznej gry interesów już dawno nie ma miejsca na taki porządek. Obowiązuje logika. I właśnie logika wskazuje na to, że coś, co jest z gruntu źle pomyślane, fałszywie skonstruowane i sprzeczne z naturą nie ma racji bytu.

Tę myśl pielęgnować warto. Wyczekiwanie w kolejkach i inne upokorzenia, na jakie skazuje człowieka ten system, nasza cała wobec niego bezradność będą łatwiejsze do zniesienia. Ta myśl, ta nadzieja, ta p e w n o ś ć, której chyba jednak my sami już nie doświadczymy /może nasze dzieci, może wnuki.../ pozwala żyć i nie zwariować w tej brudnej i obłąkanej rzeczywistości.

70 rocznica sowieckiej rewolucji jest dobrą okazją, żeby spisać wszystkie przekleństwa, jakie codziennie, z przerwą na sen, nośmy na ustach w podzięcie trzem panom brodatym i jednemu wąsatemu. /Ciekawe, dlaczego właściwie te portrety zniknęły ze ścian.../. Ale nie warto przeklinać. Nic to nie zmieni. ONI i tak dobrze wiedzą, jak MY ich kochamy. I robią swoje. I będą robili, bo muszą. Do czasu.

Socjalizmowi, tak zwanemu realnemu, który się zrodził z rewolucji październikowej, można zarzucić wszystko. Absolutnie wszystko! Z tego wszystkiego jako dedykację rocznicową, jubileuszową, wybieramy jedno. Palcem wskazujemy: socjalizm jest brzydki! Po prostu nieładny, nieestetyczny. Jest obrazą dla elementarnego poczucia estetyki.

W tej brzydocie wyrośliśmy i żyjemy. Przyzwyczailiśmy się. Ale, proszę Państwa, wystarczy porównać. Wtedy widać, ile codziennie tracimy z uroku życia, które jest jedno.

Trudno znaleźć weselsze miejsca w tej smutnej sprawie, jaka jest 70 rocznica "wielkiego października". Ale przecież są. Prezentujemy je z całą powagą, na jaką zasługuje ta wielka groteska, która leży u podstaw Wielkiego Mitu.

Kradziono nam w głowę przez lata, że był to wielki bój, wielki i heroiczny. Że strzelała "Aurora" i Twierdza Piotropawłowska, że marynarze i robotnicy zdobywali w walce Pałac Zimowy, gdzie bronił się republikański rząd Kiereńskiego. Z dokumentów jednak wynika coś całkiem innego. W rzeczywistości nikt nie atakował, bo... nikt się nie bronił. "Aurora" wyszła raz, ślepym ładunkiem z armaty sygnalizacyjnej, która

normalnie regulowała zegarki obywatelom Petersburga. Artylerzyści Twierdzy Pietropawłowskiej strzelali niechętnie i niecelnie, tylko 2-3 razy trafili niegroźnie w siedzibę rządu. Była noc, ulice Petersburga puste, stójkowi spali, Pałacu Zimowego strzegł batalion kobiety, ale tylko od frontu. Drzwi kuchenne były niepilnowane. Tymi drzwiami pojedynczo, z ciekawości, i chyba, niestety, z motywów rabunkowych, wkradali się rewolucjoniści. Normalnie, jak to jest w zwyczaju, byli brani do niewoli. Gdy liczba jeńców przekroczyła liczbę strażników oni z kolei wzięli do niewoli cały rząd. Ot i cała sprawa. Można by się uśmieć, gdyby nie to, że trzeba płakać.

W taki sam sposób bolszewicy zdobyli kilka innych punktów strategicznych - mosty, dworce i zwłaszcza telegraf główny, gdzie, jak się okazuje, wystarczył mandat II zjazdu rad, aby strażę otworzyły bramy.

Rano, gdy pijani dorożkarze przecierali oczy, było już po wszystkim. Rewolucja zwyciężyła! Władza przeszła w ręce rad!

Tak się zaczęło to, co trwa do dziś. Sprawa, którą w Szwajcarii wymyśliło kilku panów, mogłaby wziąć w żeb, gdyby o właściwej porze, we właściwym miejscu znalazł się jeden przytomny policjant z gwizdkiem. Żaden Napoleon, ani Hitler. Po prostu zwykły stójkowy...

Pod wspólnym hasłem "Jak zwyciężyła rewolucja" prezentujemy trzy teksty - dokumenty, które oddają barwę tej chwili. Mikołaj N. Suchanow /prawdziwe nazwisko Gimmer/ to działacz eserowski /socjalista rewolucyjny/, w 1917 r. mieniszewik, jeden z przywódców lewicowej grupy mieniszewickiej w Radzie Piotrogrodzkiej. Tekst pochodzi z książki pt. "Zapiski o rewolucji" /6-tomowe dzieło, wydane w Berlinie w 1923 r./.

Uciekł na Zachód po zwycięstwie rewolucji. Dzięki temu zmarł we własnym łóżku w wieku 58 lat. Drugi tekst jest pióra Trockiego /Lew Dawidowicz, a właściwie Lejb Bronstein/. Jest to, jak wiadomo, drugi obok Lenina twórca "dzieła październikowego". Bardzo nie lubił Stalina, czemu odważnie dawał wyraz. Zarzucał mu między innymi, że był nieobecny, że w ogóle nie brał udziału w dziejowych wydarzeniach. Był mądrzejszy od Stalina, dlatego musiał opuścić Kraj Rad, w którym pełnił wysokie funkcje komisarza ds. zagranicznych, a następnie wojskowych /on kazał Tuchaczewskiemu w 1920 r. napaść na Polskę/. Od wyjazdu z Rosji w 1929 r. /wydalony w trybie administracyjnym i pozbawiony obywatelstwa/ - jak podaje polska Wielka Encyklopedia Powszechna - "stoczył się na pozycję renegata i prowadził jawnie antyradziecką działalność". Umarł w Meksyku w 1940 r. śmiercią, na jaką zasłużył. Z nożem w sercu, który mu wsadził wynajęty przez Stalina Hiszpan - morderca. I trzeci tekst - perełka. Polak, niestety, uczestnik rewolucji, niejaki Stanisław Pestkowski - w oficjalnie wydanym pomnikowym dziele pt. "Na granicy epok" /KiW 1967 r./ z całą powagą opisuje groteskowy epizod dotyczący zdobycia głównego telegrafu. W nagrodę powinien zostać zamordowany, jak to jest u

nich w zwyczaj. Udało mu się, przeżył i przez pewien czas pełnił tam nawet wysokie funkcje partyjne i rządowe.

Naprawdę, wszystkie trzy teksty warto przeczytać. Trocki trochę nudzi, opanowany obsesyjną nienawiścią do Stalina, ale jest to ciekawy dokument /przedrukujemy za "Istorijskaja riewolucija", w: Oktiabrskaja riewolucija, t.II cz.2, Berlin 1933/.

Życzymy Państwu przyjemnej lektury. I proszę się nie martwić. Przeżyliśmy już siedemdziesiąt rocznic, przeżyjemy następne. Kiedyś przyjdzie ostatnia.

TAK

Mikołaj N. Suchanow

To wyglądało niepoważnie

Decydującą operację Komitet Wojskowo-rewolucyjny rozpoczął 25 października /wg starego kalendarza/ około godziny drugiej w nocy...

...Antonow /Owsiejenko/ utrzymuje, że przyjęto jego plan. Sprowadzał się on do tego, aby przede wszystkim zająć rejony miasta sąsiadujące z Dworcem Finlandzkim: dzielnicę Wyborską, obrzeża dzielnicy Petersburskiej itd. Potem można by - wraz z oddziałami przybyłymi z Finlandii - zaatakować centrum stolicy... Naturalnie tylko w ostatecznym wypadku, w wypadku poważnego oporu, którego możliwość brano pod uwagę.

Jednakże nie napotkano na żaden opór. Poczynając od godziny drugiej w nocy, z pomocą wyprowadzonych z koszar niewielkich oddziałów, zaczęto stopniowo obsadzać mosty, zajmować dworce, elektrownie, telegraf, centralę telefoniczną. Niewielkie grupki junkrów nie mogły, ani nawet nie myślały stawiać oporu. W zasadzie operacje wojskowe przypominały raczej zmianę posterunków w ważnych ze strategicznego punktu widzenia punktach miasta...

...W mieście panował całkowity spokój. I w jego centrum, i na peryferiach wszyscy byli pogrążeni w głębokim śnie, nie wiedząc co dzieje się wokół, w ciszy chłodnej, jesiennej nocy. Nie wiem, jak zachowywali się żołnierze... Wszystko wskazuje na to, że działali bez entuzjazmu i zapału. Niewykluczone, iż zdarzały się wypadki odmowy udziału w wystąpieniu. Ze strony naszego garnizonu trudno było bowiem oczekiwać bojowej atmosfery i gotowości do ponoszenia ofiar. Ale teraz

nie miało to większego znaczenia. Rozwijające się stopniowo działania przebiegały na tyle gładko, że nie trzeba było dysponować dużymi siłami. Spośród dwutysięcznego garnizonu zaledwie jedna dziesiąta wzięła udział w operacjach powstań-
czych. A prawdopodobnie nawet c wielo mniejsza jego część.

W asyście marynarzy i robotników można było wyprowadzić z koszar wyłącznie ochotników. Sztab powstańczy działał o-
strożnie, przezornie badając grunt, można by powiedzieć -
zbyt ostrożnie...

Naturalnie było dążenie, aby przede wszystkim sparaliżo-
wać polityczny i wojskowy ośrodek władzy - to jest zająć Pa-
łac Zimowy i Sztab Generalny. Należało przede wszystkim zlik-
widować dotychczasową władzę i jej aparat wojskowy. Bez tego
powstanie nie mogłoby być uznane za zakończone. Bez tego
dwie władze - jedna "prawowita", a druga zaledwie p r z y
s z ł a - mogły prowadzić wojnę domową, z dużą szansą zwy-
cięstwa dla pierwszej. Trzeba więc było przede wszystkim u-
nicestwić ją. Natomiast telegraf, mosty, dworce i wszystko
inne opanuje się potem, już bez większego trudu. Tymczasem w
ciągu całej nocy powstańcy nie próbowali nawet zaatakować ani
Pałacu Zimowego, ani sztabu, ani poszczególnych ministerstw...

Można by zaproponować przeciwko tej tezie, twierdząc, że li-
kwidacja dotychczasowej władzy stanowi k o Ń c o w y e t
a p powstania, że jest to najtrudniejsze i najbardziej ry-
zykowne zadanie. Albowiem tu, w siedzibie władz znajduje się
ośrodek obrony. Czy tak właśnie było w owych szczególnych wa-
runkach naszego powstania październikowego? Czy Smolny dosta-
tecznie dobrze zbadał grunt podczas swego ostrożnego działa-
nia? Czy przeprowadził najprymitywniejszy chociażby zwiad,
posyłając swoich kurierów do sztabu i Pałacu Zimowego? Nie, nie
przeprowadził. Ochrona pustego Pałacu Zimowego była w tym
czasie zupełnie pozorną, a Sztabu Generalnego - siedziby rzą-
du - w ogóle nie strzeżono. Jak można wnioskować na podstawie
pewnych danych, przed wejściem nie było nawet normalnej war-
ty, chociażby paru żołnierzy. Cały rząd, wraz z Kiereńskim,
można było zlikwidować gołymi rękami.

...W ogóle wszystko to wyglądało całkowicie niepoważnie.
W każdym razie zapamiętajmy ową absolutnie niepodważalną oko-
liczność: Kiereński /podobnie jak wszyscy ministrowie w swo-
ich mieszkaniach/ mógł być schwytany w sztabie bez najmniej-
szego wysiłku, bez przeszkód...

...O godzinie piątej rano Kiereński wezwał do sztabu mi-
nistra wojny Manikowskiego, który musiał dojechać do dzielni-
cy Petersburskiej. Przy moście Troickim samochód jego bez
przeszkód przepuszczono. Przy koszarach Pawłowskich - zatrzy-
mano. Generał udał się do koszar, aby wyjaśnić sprawę. Tam
przepraszono go i powiedziano, iż może jechać dalej. To zna-
czy - może jechać do sztabu i przedsięwziąć kroki mające na
celu strumienie powstania...

O godzinie dziewiątej rano Kiereński w trybie pilnym wesał do sztabu wszystkich ministrów. Większość z nich nie miała jednak samochodów. Przybyli Konowałow i Kiszkin, potem doszedł jeszcze Malantowicz. Sztab nadal nie miał żadnej ochrony. Przez bramę nieustannie wchodzili i wychodzili wojskowi reprezentujący najprzeróżniejsze rodzaje broni. Nikt nie wiedział, kim byli ci ludzie i po co przychodzili. Nikt nie żądał okazania przepustki lub dowodu osobistego. Przybywający tu mogli być agentami Komitetu Wojskowo-Rewolucyjnego i w każdej chwili ogłosić, iż sztab został zajęty przez przedstawicieli Smolnego. Tak się jednak nie stało.

W sztabie przebywa szef rządu, ale przychodzący ludzie nie wiedzą, gdzie się znajduje i zupełnie się nim nie interesują. Powinien to wiedzieć dyżurny oficer, wszakże nie ma go na zwykłym miejscu. Do dyspozycji przychodzących pozostaje tylko jego stół, a na nim sterta dokumentów. Jednakże nikt nie zdradza chęci ani wyniesienia tych papierów, ani podłożenia bomby, ani dokonania czegoś antyrządowego.

Kiereński znajdował się w gabinecie szefa sztabu. Przed drzwiami nie ma ani warty, ani adiutantów, ani służby. Można po prostu otworzyć drzwi i zaarrestować premiera - gdyby ktoś miał na to ochotę.

Kiereński był już gotów do wyjścia, w palcie. Zwołał ministrów, aby wydać ostatnie polecenia. Amerykańska ambasada pożyczyla mu auta, jedzie do Ługi, na spotkanie wojsk przybywających z frontu, by bronić Rządu Tymczasowego...

- A więc - zwrócił się Kiereński do Konowałowa - zostaje pan jako mój zastępca.

Szef rządu wyszedł, wsiadł do auta i szczęśliwie wyjechał z miasta mijając wszystkie strażee...

...Ale gdzie się podział głównodowodzący? Szef sztabu? Czym się zajmują? Przecież powinni mieć wiadomość o wojskach wiernych rządowi. Powinni zameldować, co się dzieje i co można zrobić, by zdławić bunt. Należy ich wezwać. Jeśli ich nie ma, to wezwać ich zastępców. A jeżeli już w ogóle nikogo nie ma, wobec tego ministrowie sami powinni organizować obronę. Być może ministrowie udadzą się do szkół junkrów i godnych zaufania jednostek wojskowych, aby skłonić je do wystąpienia? Przecież tak właśnie postępowali w krytycznych chwilach tacy sami jak oni cywile - członkowie Centralnego Komitetu Wykonawczego. Być może uda się im jeszcze zgromadzić tysiąc lub dwa tysiące junkrów i oficerów, kilka samochodów pancernych, które przepędzą precz powstańcze posterunki, odbiją zajęte obiekty, podejmą próbę zaatakowania Smolnego. Być może wystarczy przemówienie na wiecu w Twierdzy Pietropawłowskiej i bez walki ją zdobędą. Wszystko to jest bardzo trudne. Cóż wszakże robić? Jest też inne, drugie wyjście - poddać się. Ale kapitulować nie można - wkrótce mogą nadejść z pomocą Kiereński i cykliści. Wobec tego pozostaje trzecie wyjście - u k r y ć s i ę i czekać na pomoc.

Jednakże ministrowie wybrali czwarte wyjście. Zgodnie do-

szli do wniosku, iż należy zwołać do Pałacu Zimowego wszystkich ministrów i odbyć posiedzenie. Udali się zatem do pałacu i poczuli zwoływać kolegów. Po upływie godziny zjawili się wszyscy z wyjątkiem Prokopowicza, którego z jakiegoś powodu aresztowano, gdy jechał dorożką. Zresztą po godzinie zwolniono go. Zaczęli obrady. Oceniali szanse. Wyglądało na to, iż szans jest niewiele, jednakże sytuacji nie uznano za beznadziejną.

O godzinie pierwszej w nocy na nabrzeże Nikołajewskie zeszała ze statków duża grupa kronsztadowców. Wraz z nimi przyплыnęły z Kronsztadu - na pomoc krążownikowi "Aurora" - trzy czy też cztery torpedowce i zakotwiczyły tuż obok, na Nowie, przy moście Nikołajewskim. Były to pierwsze liczące się siły pozostające do dyspozycji Smolnego, które mogły być użyte na wypadek oporu i zdolne były do przeżamania go w bezpośredniej walce.



...Do Smolnego dotarłem około godziny trzeciej w nocy. Sytuacja w zasadzie nie uległa zmianie. Ale ludzi było znacznie więcej i zamieszanie wzrosło. obrońców było niewątpliwie wielu, wątpliwe jednak, by obrona mogła być efektywna i zorganizowana. Nieoświetlonym, zapłutym korytarzem udałem się prosto do wielkiej sali. Tłoczyli się tu ludzie, nie sposób było dostrzec najmniejszych nawet oznak porządku. Toczyły się obrady. Przewodniczył Trocki. Ubrojeni ludzie, chodzący tam i z powrotem poza kolumnami, słuchali przemówień bardzo nieuważnie. Kiedy wszedłem, na trybunie stał i z pałem przemawiał jakiś nieznanymi, łysy i dokładnie ogolony człowiek. Jednakże mówił dziwnie znajomym, chrapliwym a zarazem donośnym głosem, o gardłowym zabarwieniu, w charakterystyczny sposób akcentując słowa kończące zdania... Tak! To przecież Lenin. Zjawił się w tym dniu, po czteromiesięcznym pobycie w podziemiu. A zatem wygląda na to, że już świętują tu ostateczne zwycięstwo.

Komitet Wojskowo-Rewolucyjny pozostawił Rządowi Tymczasowemu 20 minut na poddanie się. Po upływie tego czasu miał rozpocząć się ostrzał z "Aurory" i Twierdzy Pietropawłowskiej. Jednakże od chwili wysłania ultimatum minęło już ponad pół godziny... Ministrowie zgodnie postanowili nie odpowiadać na nie. Być może jest to po prostu gołosłowny szantaż. Być może bolszewicy w ogóle nie dysponują żadną siłą i uciekają się do podstępów... Postanowili nie poddawać się. Odesłali parlamentarzysty z oświadczeniem, że nie będzie żadnej odpowiedzi.

Aby ująć członków rządu, pałac można było zaatakować z różnych stron. Najwięcej szans stwarzało zaatakowanie od strony dziedzińca, oddzielonego od pl. Pałacowego kutą żelazną bramą. Cały ów wielki plac, podobnie jak nabrzeże, jak pl. Admiralicji, zapewniał tłum ludzi. W ciemności rozlegały się pojedyncze wystrzały karabinowe. Były coraz częstsze. Wszakże nie przedsięwzięto dotąd żadnej próby szturm.

Dlaczego jednak nie wprowadza się w czyn zagrożenia uję-

tych w ultimatum? Blaczego nie strzela Twierdza Pietropawłowska? Antonow podpisał ultimatum z samego rana, on też osobiście domagał się w twierdzy, aby niezwłocznie, zgodnie z obietnicą, ostrzelano Pałac Zimowy. Ale w najbardziej krytycznej chwili załoga Twierdzy Pietropawłowskiej złożyła mu meldunek, że rozpoczęcie ostrzału jest absolutnie niemożliwe z wielu powodów: pociski nie nadają się do posiadanych armat, brakuje jakiegoś smaru, zabrakło kątomierzy działowych. W odpowiedzi na ponaglenia podają coraz to nowe powody. Nie ulega wątpliwości, że żaden z nich nie odpowiada prawdzie. Wszystkie są wykrętne. Po prostu artylerzyści nie chcą strzelać... Wiedcowanie - to jedno, a aktywne działanie - to coś zupełnie innego. Najwyraźniej brak i przekonania, i odpowiedniej atmosfery.

Cóż więc począć? Przecież mogą z tego wynikać duże kłopoty.

Rano ustalono, że na sygnał z Twierdzy Pietropawłowskiej zacznie strzelać ślepyimi nabojami "Aurora". Antonow wydał rozkaz, aby oddano strzał z armaty sygnalizacyjnej /według której mieszkańcy Petersburga codziennie w południe regulowali swoje zegarki/. Ale teraz południe już minęło, armata nie strzela. Robią coś wokół niej, krzątają się... Armaty milczy! Minęła godzina, minęło półtorej godziny od wyznaczonego w ultimatum czasu kapitulacji... Antonow udaje się samochodem w kierunku Pałacu Zimowego i "ładuje" w Sztapie Generalnym. Nasila się strzelanina wokół pałacu. Tylko Twierdza Pietropawłowska i "Aurora" milczą...



...Ministrowie czekali... Wyłączyli górne oświetlenie. Tylko na stole paliła się lampa, od strony okna osłonięta gazetą. Jedni siedzieli, inni położyli w fotelach, ktoś położył się na kanapie. Krótkie, cicho wypowiedane zdania lakonicznych rozmów. Zbliżała się godzina dziewiąta. Nagle rozległ się huk wystrzału armatniego, po nim następny... Kto to strzela? O - c h r c n a r z ą d u w k i e r u n k u napierającego tłumy?

- Pewnie w powietrze, dla postrachu - kompetentnie wyjaśnił admirał Wierdieriewski.

Znowu rozmawiali przez telefon, który w pałacu - w przeciwieństwie do sztabu i Pałacu Maryjskiego - do samego końca nie został wyłączony. Rozmawiali z Dumą Miejską, łączyli się z ośrodkami podmiejskimi. Ktoś poinformował, że rano przybędą kozacy i cykliści. No cóż, może uda się wytrwać do rana. Nagle rozległ się następny wystrzał armatni, jego odgłos brzmiał zupełnie inaczej. To z "Aurory". Po dwudziestu minutach przyszedł Falczyński i przyniósł odłamek pocisku, który trafił w pałac. Wierdieriewski kompetentnie potwierdził: z "Aurory". I położył odłamek na stole, jako popielniczkę.

- To pamiątka dla naszych następców - stwierdził ktoś z obecnych.

SCENKI Z II ZJAZDU RAD

...Sala była wypełniona do ostatniego miejsca przez osoby o obojętnych twarzach i ludzi w szarych wojskowych płaszczach. Przez tłum stojący w przejściu przeciskałem się do przodu, gdzie powinni zarezerwować dla mnie miejsce. W sali albo znowu wyłączono światło, albo kłęby dymu z papierosów przesłoniły blask żyrandoli wiszących w prześwitach między białymi kolumnami... W odróżnieniu od wczorajszej pustki, na podium tłoczyło się znacznie więcej ludzi niż było to dopuszczalne z punktu widzenia elementarnego porządku i wymogów organizacyjnych... Szukałem oczyma Lenina, jednak zdaje się nie było go na estradzie... Dotarłem do swojego miejsca, znajdującego się w jednym z pierwszych rzędów, akurat wtedy, gdy na trybunie stanął Dan, aby w imieniu Centralnej Komisji Wykonawczej otworzyć Zjazd.

Nie przypominam sobie, abym podczas rewolucji uczestniczył w zebraniu bardziej bezładnym. Otwierając obrady Dan oświadczył, że nie wygłosi mowy politycznej: prosi, aby go właściwie zrozumiano i pamiętano, że w tej samej chwili jego partyjni towarzysze ofiarnie pełniąc swoje obowiązki znajdują się w ostrzeliwanym Pałacu Zimowym.

Awanieszow trzymał już w rękę przygotowaną listę członków prezydium. Ale przedstawiciele mienszewików i eserowców oświadczyli, że nie zamierzają w nim zasiadać. W imieniu naszej frakcji ktoś złożył oświadczenie, że "n a r a z i e w s t r z y m u j e m y s i ę" od uczestnictwa w prezydium - do chwili wyjaśnienia pewnych spraw. W skład prezydium wchodził zatem czołowi przywódcy bolszewicy oraz szóstciu lewicowych eserowców. Z powodu ciasnoty i bałaganu z wielkim trudem udaje się im zająć miejsca na podium... Obradom przewodniczył Kamieniew. Odczytuje porządek dzienny: 1/ sprawa organizacji władzy; 2/ sprawa wojny i pokoju; 3/ sprawa Zgromadzenia Ustawodawczego...

Martow domaga się udzielenia mu głosu w sprawie porządku dziennego: "Przed wszystkim trzeba znaleźć pokojowe rozwiązanie kryzysu. Na ulicach Piotrogradu leje się krew. Należy przerwać działania zbrojne z obu stron. Pokojowe rozwiązanie kryzysu da się osiągnąć przez utworzenie władzy, która mogłaby uzyskać aprobatę ze strony całej demokracji. Zjazd nie może pozostać obojętny w obliczu rozwijającej się wojny domowej, w wyniku której może dojść do groźnego wybuchu kontrrewolucji".

Przemówienie Martowa bardzo duża część obecnych nagradza głośniejszymi oklaskami. Widocznie wielu, bardzo wielu bolszewików, którzy nie przyswoili sobie ducha nauk Lenina i Trockiego, chętnie wybrałaby tę właśnie drogę. Wniosek Martowa popierają "nowożytcy", grupa frontowa i, co najważniejsze, lewicowi eserowcy... W imieniu bolszewików odpowiedzi udziela Łunaczarski: bolszewicy nie zgłaszają absolutnie żadnego sprzeciwu - niechaj kwestia pokojowego zażegnania kryzysu zostanie rozpatrzona na samym początku. Wniosek Martowa zo-

staje poddany pod głosowanie. Nie pada ani jeden głos sprzeciwu...

Po uchwaleniu wniosku Martowa, ale przed dyskusją nad jego realizacją, w imieniu frakcji mienszewickiej zabrakł głos jej przedstawicieli, przyszyli dygnitarz bolszewicki i kancelaryjny pedant Chinczuk:

"Jedynym wyjściem jest rozpoczęcie pertraktacji z Rządem Tymczasowym na temat utworzenia nowego gabinetu, który opierałby się na wszystkich warstwach... /w sali powstaje straszliwa wrzawa, oburzeni są nie tylko bolszewicy; długo nie pozwalają na kontynuowanie przemówienia.../ Za plecami zjazdu zorganizowano spisek wojskowy. Nie bierzemy na siebie żadnej odpowiedzialności za to co się dzieje i opuszczamy zjazd, zapraszając pozostałe frakcje na spotkanie w celu przedyskutowania powstałej sytuacji."

To wystąpienie natychmiast wywołuje zwrot w nastrojach - wrogość przeciwko "ugodowcom". Bolszewicy skupiają się wokół Lenina. Niezadowolone wyrażano w sposób bardzo gwałtowny. Dały się słyszeć okrzyki: "Dezerterzy! Idźcie do Kornilowa... Sługusi burżuazji... Wrogowie ludu!..."

W panującym hałasie na trybunę wchodzi szeregowiec Hendelman i w imieniu swojej frakcji składa takie samo oświadczenie. .. Atmosfera w sali staje się jeszcze bardziej napięta. Słychać tupanie, gwizdy, przekleństwa.

"Czyści" wyszli... Więc jakże wniosek Martowa będzie omawiany bez ich udziału? Teraz w znacznym stopniu straciło to sens. Ale na razie, jak się wydaje, nikt nie zwraca na to uwagi. Jak grad posypały się "nagłe oświadczenia" - składane w imieniu różnych przedstawicieli organizacji oraz przez poszczególnych mówców w ich własnym imieniu... Prawicowy mienszewik Kucin, zawsze zabierający głos w imieniu "frontu", także oskarża bolszewików o antynarodowy spisek zbrojny i wraz ze swoją "grupą frontową" opuszcza salę. Na trybunę wchodzi Abramowicz, reprezentujący grupę "Bundu", i informuje: zaczęto ostrzeliwać Pałac Zimowy. Mienszewicy, eserowcy, chłopski Centralny Komitet Wykonawczy oraz Duma Miejska postanawiają udać się do Pałacu Zimowego, wystawiając się na kule. Jest to gest bardzo efektowny i dramatyczny, ale nie wywołuje absolutnie żadnego zrozumienia. W ogólnym hałasie słychać ironiczne uwagi, po części ordynarne, po części zjadliwe...

Jednakże do tej pory, podczas rewolucji, strzelanie nie było o nas zjawiskiem codziennym. Informacja Abramowicza robi więc na wielu osobach przygnębiające wrażenie. Rozproszył je Riazanow, oświadczając w imieniu Komitetu Wojskowo-Rewolucyjnego: "Pół godziny temu zjawił się u nas prezydent miasta i zaproponował swoje pośrednictwo w rokowaniach pomiędzy Pałacem Zimowym a oblegającymi. Komitet Wojskowo-Rewolucyjny wysłał już swoich przedstawicieli. Tak więc czyni on wszystko, aby zapobiec rozlewowi krwi."

Riazanow znany jest wszystkim jako człowiek przeciwny rozlewowi krwi. Wierzą mu...

Kiedyż jednak przystąpi się do dyskusji nad wnioskiem Martowa? Rozpoczyna ją sam Martow, przerywając nieskończenie długą serią nagłych "oświadczeń".

"Informacje, które tu dotarły..." - zaczyna mówić, ale zgromadzenie, które godzinę temu jednogłośnie przyjęło jego wniosek, teraz jest wrogo nastawione do wszelkiego rodzaju "ugodowców". Martowowi przerywają: "Jakie informacje? Po co nas straszycie? Jak wam nie wstyd!"

Martow dosyć szczegółowo motywuje swoją propozycję. Następnie składa wniosek: zjazd powinien podjąć uchwałę podkreślającą konieczność rozwiązania kryzysu przez utworzenie ogólnodemokratycznego rządu oraz wybrać delegację, która przeprowadziłaby rozmowy ze wszystkimi partiami socjaldemokratycznymi.

Martowowi odpowiada Trocki, stojący obok niego wśród tłumu znajdującego się na podium. Trocki trzyma w ręku przygotowany tekst rezolucji. Teraz, po wyjściu przedstawicieli prawy, jego pozycja jest o tyle mocniejsza, o ile słabsza jest pozycja Martowa.

"Powstanie mas ludowych - dobitnie mówi Trocki - nie wymaga usprawiedliwienia. To, co się wydarzyło jest powstaniem, a nie spiskiem. Hartowaliśmy energię rewolucyjną petersburskich robotników i żołnierzy. Otwarcie hartowaliśmy wolę mas, przygotowując je do powstania, a nie do spisku... Masy ludowe kroczyły pod naszym sztandarem i nasze powstanie zwyciężyło. A teraz proponuje się nam: zrezygnujcie ze swego zwycięstwa, zgódźcie się na ustępstwa, zawrzyjcie przymierze. Z kim? Pytam was, z kim powinniśmy zawrzeć przymierze? Z tymi żałosnymi grupkami, które stąd odeszły, czy z tymi, którzy tę propozycję zgłaszają? Wszak przejrzelismy ich na wskroś. Nie mają już za sobą w Rosji nikogo. I to z nimi właśnie powinny zawrzeć przymierze - jako strona równoprawna - miliony robotników i chłopów, reprezentowane na tym zjeździe, ci, których oni - nie pierwszy i nie ostatni raz - gotowi są zdradzić za gest łaski ze strony burżuazji? Nie, nie może tu być mowy o żadnym przymierzu. Tym, którzy stąd odeszli, i tym, którzy coś takiego proponują powinniśmy odpowiedzieć: jesteście żałosnymi jednostkami, jesteście bankrutami, odegraliście już swoją rolę i idźcie tam, gdzie od tej chwili powinniście na zawsze pozostać - na śmietniku historii..."

"Skoro tak, odhodzimy!" - zawołał z trybuny Martow wśród burzliwej owacji po przemówieniu Trockiego.



...Już na drugi dzień po zwycięskim powstaniu petersburszczy nie doliczyli się kilku tytułów stołecznych gazet. 26 października nie ukazały się: "Dzień", "Birżewyje Wiedomosti", "Pietrogradskaja Gazieta" i kilka innych dzienników burżuazyjno-bulwarowych. Ich redakcje zostały zamknięte przez Komitet Wojskowo-Rewolucyjny - za prowadzenie nagonki na Rady itp. Podwojski, Antonow i inni, działający na polecenie Leni-

na, nie byli zbyt pomysłowi: motywację zapożyczyli z leksykonu dawnej policji carskiej. Przy tym - korzystając ze statusu rewolucjonistów i socjalistów - pozwalali sobie na luksus wyrażania się znacznie bardziej prymitywnie i mniej poprawnie. A można byłoby i l e p i e j byłoby w ogóle kroku tego nie motywować.

Poza tym Podwojski i Antonow w ogóle bardzo topornie wykonywali polecenia swego wodza. Z niewiadomego powodu rzucili się na pionki oraz pisma drugorzędne, nie zwracając uwagi na organy kierownicze, będące półurzędową trybuną kręgów kornilowskich. Z samego rana poszono marynarzy do ekspedycji "Rieczy" oraz "Sowriemennogo Słowa". Wszystkie znajdujące się tam egzemplarze skonfiskowano, wyniesiono na ulicę i spalono. To niespotykane dotąd widowisko zgromadziło tłumy.

W tym samym czasie przewożono w pobliżu suworinowskie "Nowoje Wriemia". Marynarze z początku zatrzymali furgon, ale potem przepuścili. I cóż od nich można wymagać, skoro sam Komitet Wojskowo-Rewolucyjny tak niekonsekwentnie wprowadzał w życie zasady nowo narodzonego państwa proletariackiego?

W ciągu tego dnia zamknięto redakcje wszystkich stołecznych pism burżuazyjnych. Rozstawiono przed nimi posterunki wojskowe, wydano stosowne polecenia... Zecerom pozwolono pozostać w drukarniach, pod jednym wszakże warunkiem - nie wolno im było składać zakazanych gazet.

Niczym innym nowa władza się nie wykazała. Ale ów jej debiut wywarł na nienawykłych do tego ludziach duże wrażenie. Czarat nigdy nie dopuszczał się podobnej do tej, masowych represji wobec prasy. Czy było to konieczne? Jakiż sens miał taki debiut? Należy, naturalnie, brać pod uwagę trudną i groźną sytuację, w jakiej mogła się znaleźć nowa władza w ogniu wojny domowej. Ale niebezpieczeństwo takie nie istniało. Nie było wojny domowej, ani szczególnie trudnej sytuacji. Teraz, po upływie doby, powstanie rzeczywiście odniosło już z w y c i ę s t w o. Trudności mogły powstać dopiero wówczas, gdyby Kiereński odniósł sukcesy na froncie. Ale o tym nic się nie słyszało. Jak dotąd, informacje na ten temat były raczej pocieszające dla uzurpatorów... Zresztą ani przed, ani w czasie wyprawy na Petersburg prasa burżuazyjna nie mogła odegrać żadnej roli. Jeśli już o to chodzi, bardziej niebezpieczna była prasa socjalistyczna. Jej jednakże nikt nie ruszał.

Rozprawa z prasą burżuazyjną, z praktycznego punktu widzenia całkowiec bezsensowna, bardzo zaszkodziła bolszewikom. Przestraszyła, odstręczyła, oburzyła, wywołała obawy absolutnie wszystkich elementów neutralnych i wahających się. A było ich niemało. Oto jak zaczyna rządzić nowa władza. Jak dotąd niczym więcej się nie wykazała, a pogrom i bezsensowna przemoc są już faktem. Już widać opluwanie uświęconych wartości rewolucji i wdeptywanie w błoto elementarnych zasad demokracji...

M. N. Suchanow

Zdobycie telegrafu

24 października /6 XI/ około drugiej po południu, gdy byłem zajęty rejestracją delegatów, podszedł do mnie Dzierżyński, trzymając w ręku jakiś papierek.

- Komitet Wojskowo-Rewolucyjny mianował was komisarzem głównego telegrafu. Idźcie natychmiast zająć telegraf.

Zamyśliłem się i spytałem:

- Jakże zajmę telegraf? Nie mam nawet rewolweru.

- I nie trzeba. Oto mandat. Telegrafu strzeże Pułk Keksholmski, który jest po naszej stronie. Pokażcie im mandat, a okażą wam pomoc. Razem z wami pójdzie towarzyszy Leszczyński. Wyruszajcie natychmiast.

Nie zastanawiałem się już więcej. Odnalazłem Leszczyńskiego i ruszyliśmy razem do telegrafu. Przed gmachem spotkaliśmy Lubowicza, którego przysłano nam do pomocy.

Okazaliśmy straży nasze mandaty. Bez przeszkód przepuściła nas do gmachu telegrafu.

Weszliśmy do wielkiej sali, w której mieściło się około setki aparatów i pracowało kilkuset urzędników.

Zwróciłem się do przewodniczącego komitetu pracowniczego, niejakiego Kinga. Okazałem mu mandat i oznajmiłem, że zamierzam przystąpić do pełnienia obowiązków komisarza.

King krzyknął:

- To jest gwałt. My się nie podporządkujemy samozwańczemu Komitetowi Wojskowo-Rewolucyjnemu. Pan będzie łaskaw wynieść się stąd.

Pracownicy poparli go jednomyślnie: byli wrogo usposobieni do bolszewików.

King wezwał straż zbrojną telegrafu i polecił wyrzucić nas za drzwi. Trzeba było wycofać się na schody. Tu naradzaliśmy się.

Lubowicz powiedział:

- Znam tę parszywą inteligencję. Sam jestem telegrafistą. Potrafią tylko mleć ozorem, ale poważnego oporu stawiać nie będą. Powinniśmy wziąć ze sobą dwóch uzbrojonych żołnierzy keksholmskich i powrócić na salę. Wówczas ustąpią.

Tak zrobiliśmy.

Kiedy pojawiliśmy się ponownie na sali w asyście dwóch żołnierzy z karabinami, rozległy się piski. Kilka telegra-

fistek dostało ataku hysterii. King przestraszył się i oświadczył:

- Pozostańcie już tutaj, tylko na litość boską odprawcie żołnierzy.

W taki sposób zdobyty został bez walki główny telegraf.

Lew D. Trocki

Byleby tylko zdobyć władzę ...

Najnowsza historiografia sowiecka całkowicie wykreśliła z historii rewolucji październikowej niezwykle ważny i pouczający rozdział o rozbieżnościach istniejących między Leninem a Komitetem Centralnym, dotyczących zarówno kwestii podstawowych i pryncypialnych, co do których rację miał Lenin, jak i problemów wielkiej wagi, co do których rację miał Komitet Centralny. W myśl nowej doktryny ani KC, ani Lenin nie mogli się mylić, a zatem nie mogły również istnieć między nimi żadne rozbieżności czy konflikty. W tych wypadkach, gdy nie sposób negocjować rozbieżności, przypisuje się je w trybie ogólnie obowiązującego zarządzenia.

Fakty świadczą wszakże o czymś zupełnie innym. Lenin nalegał na zorganizowanie powstania podczas Narady Demokratycznej. Nie poparł go ani jeden spośród członków KC. Po upływie tygodnia Lenin zaproponował Smiłdze zorganizowanie sztabu powstańczego w Finlandii i stamtąd zaatakowanie rządu, przy wykorzystaniu w tym celu marynarzy. Później, po dziesięciu dniach, nalegał, aby początkiem powstania stał się Zjazd Północny. Podczas zjazdu nikt nie poparł tego wniosku. Lenin uważał, iż odkładanie powstania na trzy tygodnie, aż do chwili rozpoczęcia zjazdu Rad, jest zgubne. Tymczasem odłożone do zjazdu powstanie zakończyło się pomyślnie jeszcze podczas trwania jego obrad. Lenin proponował, aby rozpocząć działania powstańcze w Moskwie, licząc, że tam wszystko rozstrzygnie się bez walki. W rzeczywistości powstanie w Moskwie, mimo wcześniejszego zwycięstwa w Piotrogradzie, trwało osiem dni i pociągnęło za sobą wiele ofiar...

W jakim więc sposób tłumaczy epigońska szkoła historiograficzna niezgodność między wnioskami taktycznymi Lenina w rzeczywistym przebiegu powstania w Piotrogradzie? Albo nadaje konfliktom charakter anonimowy i nieokreślony, albo pomija rozbieżności milczeniem stwierdzając, że nie zasługują na uwagę, albo też usiłuje kwestionować absolutnie niezaprzeczone fakty,

albo wstawia nazwisko Tockiego w tych miejscach, w których Lenin mówi o KC jako całości lub o przeciwnikach powstania wewnątrz KC, albo stosuje wszystkie te chwytły łącznie, nie troszcząc się nawet o to, czy są ze sobą zgodne.

Stalin pisze, że dokonanie powstania październikowego można uważać za wzór strategii /bolszewickiej/. Niespełnienie tego warunku /właściwego wyboru chwili/ prowadzi do popełnienia groźnego błędu, zwanego "utrata tempa", gdy partia nie nadąży za rozwojem wydarzeń wybiega na przód, przyczyniając się do zaistnienia groźby klęski. Przykładem takiej "utraty tempa", przykładem tego jak nie należy wybierać momentu wybuchu powstania, może służyć usiłowanie pewnej części towarzyszy rozpoczęcie od aresztowania uczestników Rady Demokratycznej we wrześniu 1917 r. Za określeniem "pewna część towarzyszy" kryje się Lenin. Bowiem nikt poza nim nie proponował, aby rozpocząć powstanie od aresztowania uczestników Rady Demokratycznej, nikt też nie poparł tego wniosku. Tak więc Stalin zaleca uznanie taktycznego planu Lenina za "przykład tego, jak nie należy wybierać momentu wybuchu powstania". Anonimowy sposób przedstawienia sprawy pozwala jednocześnie Stalinowi kategorycznie zaprzeczać istnieniu rozbieżności między Leninem a KC.

W jeszcze bardziej prosty sposób wybrnął z kłopotów Jarosławski: "Nie chodzi, naturalnie, o szczegóły - pisze. - Nie chodzi o to, czy powstanie zaczęło się w Moskwie, czy też w Piotrogradzie; rzecz w tym, że cały bieg wydarzeń dowiódł słuszności linii leninowskiej, słuszności linii naszej partii". Pomysłowy historyk nadzwyczaj upraszcza sobie zadanie. To, że Październik stał się sprawdzianem strategii Lenina i dowiódł, na przykład, jakie znaczenie miało kwietniowe zwycięstwo, które odniósł nad kierowniczą grupą "starych bolszewików" - nie ulega wątpliwości. Jeśli jednak rzecz wcale nie polega na tym, gdzie rozpocząć, kiedy rozpocząć i jak rozpocząć, to przestaje istnieć problem nie tylko incydentalnych rozbieżności z Leninem, ale i w ogóle taktyki.

W książce Johna Reeda znajdujemy wzmiankę, jakoby 21 października przywódcy bolszewicy odbyli "drugie historyczne posiedzenie", podczas którego - jak poinformowano Reeda - Lenin powiedział: "Rozpoczęcie działań 24 października jest zbyt wczesne: dla powstania niezbędna jest baza ogólnorosyjska, a nie wszyscy delegaci na zjazd zdążą przybyć 24-go. Rozpoczęcie 26-go byłoby natomiast zbyt opóźnione... Powinniśmy wystąpić 25-go - w dniu otwarcia zjazdu..."

Reed był wyjątkowo wrażliwym obserwatorem, potrafił oddać w swojej książce nastroje i namiętności tak typowe dla owych decydujących dni rewolucji. Dlatego właśnie Lenin żył w swoim czasie wspaniałej kronice Reeda, aby rozpowszechniano ją w wielu milionach egzemplarzy we wszystkich krajach świata. Jednakże praca w wirze wydarzeń, notatki spisywane w korytarzach, na ulicach, przy ogniskach, przelotne rozmowy i notowanie fragmentów zdań w warunkach, kiedy trzeba było korzystać z pomocy tłumacza, wszystko to powodowało, że błędy często były nieuniknione.

Opowieść o posiedzeniu w dniu 21 października jest jednym z najewidentniejszych błędów w książce Reeda. Słowa na temat konieczności "ogólnorosyjskiej radzieckiej bazy" powstania w żadnym wypadku nie mogły być autorstwa Lenina, albowiem niejednokrotnie określał on dążenie do zdobycia takiej bazy - ni mniej ni więcej - tylko jako "absolutny idiotyzm i całkowita zdradę". Lenin nie mógł mówić, że rozpoczęcie powstania 24-go jest zbyt wczesne, albowiem już w końcu września uważał za niedopuszczalne odkładanie powstania chociażby na jeden dzień: może się ono opóźnić, ale "w żadnym wypadku nie może być ono teraz przedwczesne". Jednakże, poza owymi względami politycznymi, które same przez się były decydujące, wiarygodności tej informacji Reeda przeczy ten prosty fakt, iż 21-go nie odbyło się żadne "drugie historyczne posiedzenie": narada taka nie mogła nie pozostawić po sobie śladu w dokumentach lub pamięci uczestników.

Odbyły się zaledwie dwie narady z udziałem Lenina: 10 i 16 października. Reed nie mógł o tym wiedzieć. Wszakże w opublikowanych później dokumentach nie znajdujemy najmniejszej wzmianki o "historycznym posiedzeniu" z 21 października. Epigońska historiografia nie zawahała się jednak przed włączeniem ewidentnie błędnego świadectwa Reeda do wszystkich oficjalnych publikacji. W ten sposób osiąga się pozorną, chronologiczną zbieżność dyrektywy Lenina z rzeczywistym biegiem wydarzeń. Inna rzecz, że oficjalni historycy zmuszają przy tym Lenina do popadania w niezrozumiałą i nie dającą się wyjaśnić sprzeczność z samym sobą. Ale przecież w istocie absolutnie nie chodzi tu o Lenina: epigoni po prostu uczynili z Lenina swój historyczny pseudonim i bezceremonialnie posługują się nim w celu udowodnienia swojej nieomylności ex post.

Oficjalni historycy kroczą dalej tą samą drogą - dostosowując fakty do swoich koncepcji. Tak na przykład w swojej "Historii Partii" Jarosławski pisze: "Lenin brał udział w posiedzeniu Komitetu Centralnego w dniu 24 października, ostatnim posiedzeniu przed powstaniem". Natomiast oficjalnie wydane protokoły, w których dokładnie odnotowano nazwiska osób uczestniczących w posiedzeniu dowodzą, iż Lenin był nieobecny. "Leninowi i Kamieniewowi polecono prowadzenie rozmów z lewicowymi eserowcami" - pisze Jarosławski. Natomiast z protokołów wynika, że prowadzenie ich polecono Kamieniewowi i Berzinowi. Zresztą i bez protokołów powinno być jasne, że KC nie zlecałby Leninowi drugorzędnej "dyplomatycznej" misji. Decydujące posiedzenie KC odbyło się rano. Lenin przybył do Smolego dopiero w nocy. Jeden z członków Komitetu Piotrogrodzkiego, Swiesznikow, opowiada o tym jak Lenin "wieczorem /24 października/ gdzieś poszedł, pozostawiając w pokoju kartkę, iż wyszedł o tej i o tej godzinie. Dowiedziałwszy się o tym, w głębi duszy bardzo niepokoił się o Iljicza...". Dopiero późnym wieczorem dowiedziano się, iż Lenin udał się do Komitetu Wojskowo-rewolucyjnego.

Najbardziej zdumiewające jest jednak to, że Jarosławski pomija dokument pierwszorzędnej wagi, tak z politycznego, jak i ludzkiego punktu widzenia - list do przewodniczących dzielnic, napisany przez Lenina w tym czasie, gdy powstanie już się

w zasadzie zaczęło. "Towarzysze! Piszę te słowa wieczorem 24-go... Z całą mocą zapewniam towarzyszy, że teraz wszystko wisi na włosku, że na porządku dziennym stoją zagadnienia, których nie rozstrzygają narody ani zjazd /choćiażby to nawet były zjazdy Rad/, lecz wyłącznie ludy, masy, walka uzbrojonych mas... Trzeba za wszelką cenę dziś wieczorem, dziś w nocy aresztować rząd, rozbrajając /pokonując, jeśli będą stawiali opór/ junkrów itd."

Lenin do tego stopnia obawiał się niezdecydowania Komitetu Centralnego, że w ostatniej chwili usiłował spowodować wywarcie nań nacisku oddolnego. "Trzeba, aby wszystkie dzielnice, wszystkie pułki, wszystkie siły zostały natychmiast zmobilizowane i aby niezwłocznie wysłały delegację do Komitetu Wojskowo-Rewolucyjnego, do KC bolszewików, żądając stanowczo: w żadnym wypadku nie pozostawiać władzy w rękach Kiereńskiego i s-ki do 25-go, pod żadnym warunkiem; rozstrzygnąć sprawę koniecznie dzisiaj wieczorem lub w nocy."

Kiedy Lenin pisał te słowa, pułki i dzielnice, które wzywał do zmobilizowania się w celu wywarcia nacisku na Komitet Wojskowo-Rewolucyjny, były już zmobilizowane przez Komitet Wojskowo-Rewolucyjny w celu opanowania miasta i obalenia rządu. Z listu, którego każdy wiersz wyraża wielki niepokój i pasję, w każdym razie wynika, że Lenin ani nie mógł 21 października proponować, by powstanie odłożono do 25-go, ani też uczestniczyć w porannym posiedzeniu w dniu 24 października, podczas którego postanowiono niezwłocznie rozpocząć natarcie.

List ten jest jednak w pewnym sensie zagadkowy: czym wytłumaczyć, że Lenin, ukrywający się w dzielnicy Wyborgskiej, do samego wieczora nie wiedział o tak niezwykle ważnej decyzji? Ze słów tegoż Swiesznikowa - podobnie jak i z innych źródeł - wynika, że łączność z Leninem utrzymywano w tym dniu za pośrednictwem Stalina. Można więc tylko domniemywać, że Stalin, nie zjawiwszy się na poranne posiedzenie KC, po prostu do samego wieczora nic nie wiedział o podjętej decyzji.

Bezpośrednim bodźcem pogłębiającym niepokój Lenina mogły stać się wieści - z premedytacją i uporem rozpowszechniane w tym dniu przez Smolny - iż do podjęcia uchwał przez zjazd Rad nie zostaną poczynione żadne decydujące kroki. Wieczorem tegoż dnia, podczas nadzwyczajnego posiedzenia Rady Piotrogrodzkiej, Trocki wygłosił referat na temat działalności Komitetu Wojskowo-Rewolucyjnego, w którym stwierdził: "Ani dziś, ani jutro - przed rozpoczęciem Ogólnorosyjskiego Zjazdu Rad - nie planujemy konfliktu zbrojnego. Liczymy, że zjazd zrealizuje nasze hasło bardziej efektywnie i autorytatywnie. Jeśli jednak rząd zechce wykorzystać ten czas, który mu jeszcze pozostał do życia - 24, 48 czy 72 godzin - i wystąpi przeciwko nam, to odpowiemy kontratakami, ciosem na cios, stalą na żelazo."

Takie było hasło przewodnie w owym dniu. Oświadczenia te miały na celu w ostatniej jeszcze chwili poprzedzającej atak uspić i tak niezbyt rozbudzoną czujność przeciwnika. Najpraw-

dopodobniej ten właśnie manewr sprawił, że Dan zapewniał Kiereńskiego w nocy z 24 na 25 października, iż bolszewicy wcale nie mają obecnie zamiaru występować zbrojnie. Z drugiej jednakże strony, również Lenin mógł - jeśli jedno z owych uspokajających oświadczeń Smolnego zdążyło doń dotrzeć - w stanie wielkiej podejrzliwości, w jakim się znajdował - przyjąć wybieg taktyczny za prawdę.

Podstęp jest niezbędnym elementem sztuki wojennej. Zły to jednak podstęp, który może przy okazji wprowadzić w błąd własny obóz. Jeśliby wchodziło w grę wezwanie mas do powszechnego wyjścia na ulice, to słowa o "najbliższych 72 godzinach" mogłyby okazać się katastrofalne w skutkach. Jednakże 24 października przewrót nie wymagał już anonimowych rewolucyjnych wezwań. Uzbrojone oddziały, wyznaczone do zajęcia strategicznych punktów w stolicy, stały już w pogotowiu i czekały na sygnał do akcji od swoich dowódców, utrzymujących bezpośrednią łączność telefoniczną z najbliższym sztabem rewolucyjnym. W tych warunkach ów obosieczny podstęp wojenny sztabu rewolucyjnego był w zupełności na miejscu...

Jak wynika z dawno już opublikowanych wspomnień, poczynając od końca sierpnia Trocki niejednokrotnie zwracał uwagę przeciwnikom powstania, że wyznaczenie terminu zjazdu Rad różnoidalne jest dla bolszewików z wyznaczeniem dnia powstania. Nie oznaczało to, naturalnie, że do przewrotu nie może dojść w inny sposób, jak tylko na skutek decyzji zjazdu Rad - o tak dziecinnie formalnym traktowaniu sprawy nie mogło być nawet mowy. Chodziło o termin najkrótszy - nie wolno było odkładać wybuchu powstania na nieokreślony bliżej czas po zjeździe. Z dokumentów nie wynika z czym pośrednictwem i w jakiej formie spory toczone w KC dotarły do Lenina. Spotkania z Trockim, zbyte widocznym dla wrogów, były dla Lenina bardzo niebezpieczne. Przy swojej ówczesnej podejrzliwości Lenin mógł się obawiać, że Trocki przywiązuje większą wagę do zjazdu niż do powstania, a w każdym razie nie przeciwstawia się należycie "konstytucyjnym iluzjom" Zinowiewa i Kamieniewa.

Mogli też niepokoić Lenina mało mu znani nowi członkowie KC, byli "międzydzielnicowcy" /lub "obiediniowcy"/ - Joffe oraz Uricki. W przemówieniu Lenina wygłoszonym już po odniesionym zwycięstwie, podczas posiedzenia Komitetu Piotrogadzkiego w dniu 1 listopada, znajdujemy tego potwierdzenie: "Na posiedzeniu /10 października/ poruszono sprawę wystąpienia. Bałsm się oportunistom ze strony internacjonalistów-objediniowców, ale się to rozwiązało; w naszej partii nie wyrazili zgody /niektórzy starzy/ członkowie /KC/. Zmartwiło mnie to w najwyższym stopniu."

Jak więc wynika z jego własnych słów, 10 października Lenin przekonał się, że nie tylko Trocki, ale i pozostający pod jego osobistym wpływem Joffe oraz Uricki zdecydowanie opowiadają się za powstaniem. Sprawa terminów w ogóle po raz pierwszy została poruszona na tym właśnie posiedzeniu. Kiedy zatem i kto odrzucił "wniosek Trockiego", aby nie rozpoczynać powstania bez uzyskania wcześniejszej akceptacji zjazdu Rad? Jak gdyby specjalnie po to, aby jeszcze bardziej wszystko zagmat-

wać, oficjalne źródła przypisują - jak już wiemy - ten sam wniosek również Leninowi, powołując się na apokryficzną uchwałę z 21 października...

W ostatnim tygodniu poprzedzającym powstanie Stalin zupełnie wyraźnie manewrował między Leninem, Trockim i Swierdłowem - z jednej strony, a Kamieniem i Zinowiewem - z drugiej. Oświadczenie redakcyjne z 20 października, biorące stronę przeciwników powstania przed atakami Lenina, zwłaszcza w wypadku Stalina nie mogło być dziełem przypadku: w dziedzinie manewru wewnątrzpartyjnego jego mistrzostwo jest niepodważalne. Podobnie jak w kwietniu, po powrocie Lenina, kiedy Stalin przezornie wysunął na czoło Kamieniewa, a sam w milczeniu wyczekiwał, trzymał się na uboczu zanim zaczął się angażować na nowo, tak i obecnie, w przededniu przewrotu, wyraźnie przygotowywał sobie - na wypadek niepowodzenia - odwrót zgodny z linią Zinowiewa-Kamieniewa. Dochodzi w tym do granicy, poza którą nieuniknione jest już zerwanie z bolszewickim KC. Perspektywa ta napawa go strachem. W związku z tym Stalin usiłuje odbudować na wpół zburzony most porozumienia z lewicowym odłamek KC proponując im powierzenie Leninowi przygotowanie też na temat najważniejszych problemów zjazdu Rad i zlecenie Trockiemu wygłoszenia referatu politycznego. Jeden i drugi wniosek przyjęto jednogłośnie. Po zaasekurowaniu się na lewicy, Stalin w ostatnim momencie wycofuje się w cień: czeka. Wszyscy najnowsi historycy, poczynając od Jarosławskiego, starannie pomijają ów fakt, że Stalin nie brał udziału w posiedzeniu KC w dniu 24 października w Smolnym, nie podjął się żadnej funkcji związanej z organizacją powstania. Tymczasem właśnie ten fakt, znajdujący niepodważalne potwierdzenie w dokumentach, najlepiej charakteryzuje osobowość polityczną Stalina oraz jego metody.

Od roku 1924 podejmowano nieskończenie wiele starań, aby wypełnić tę białą plamę, jaką stanowi Październik w biografii politycznej Stalina. Pomocne były w tym wypadku dwa kryptonimy: "KC" oraz "ośrodek praktyczny" /"Ośrodek Partyjny"/. Nie uda się nam zrozumieć ani mechanizmu kierowania Październikiem, ani mechanizmu funkcjonowania późniejszej epigońskiej legendy, jeśli nie zajmiemy się tu nieco wnikliwiej składem osobowym ówczesnego KC.

Lenin, uznany przywódca, autorytet dla wszystkich, ale - jak wskazują fakty - wcale nie "dyktator" w partii, przez cztery miesiące nie brał bezpośredniego udziału w pracach KC i wielu kwestiach taktycznych zajmował wobec niego stanowisko zdecydowanie opozycyjne. Za wybitnych przywódców - rekrutujących się z dawnego centrum bolszewickiego, bardzo różniących się w zajmowanym stanowisku od Lenina, lecz również od tych, którzy kroczyli za nimi - uważano Zinowiewa i Kamieniewa. Zinowiew ukrywał się, podobnie jak Lenin. Przed Październikiem Zinowiew i Kamieniew pozostawali w zdecydowanej opozycji w stosunku do Lenina i większości w KC. Z tego powodu znaleźli się obaj poza nawiasem: Spośród dawnych bolszewików szybko zaczął się wysuwać naprzód Swierdłow. Był on jednakże nowicjuszem w KC. Jego talent organizacyjny rozwinął się dopiero później, w latach budownictwa państwa ra-

dzieckiego. Dzierżyński, który całkiem niedawno związał się z partią, wyróżniał się wprawdzie swoim rewolucyjnym temperamentem, ale nie pretendował do roli samodzielnego autorytetu politycznego. Bucharin, Rykow i Nogin mieszkali w Moskwie. Bucharina uważano za utalentowanego, lecz niedostatecznie pewnego teoretyka. Rykow i Nogin byli przeciwnikami powstania. Żomowa, Bubnowa i Milutina nikt chyba nie brał pod uwagę przy rozstrzygnięciu ważnych problemów; poza tym Żomow pracował w Moskwie, a Milutina wciąż podróżował. Joffe i Uricki byli w swojej emigracyjnej przeszłości ściśle związani z Trockim i działali w całkowitej zgodzie z nim. Młody Smiga pracował w Finlandii. Skład i sytuacja wewnętrzna Komitetu Centralnego dostatecznie przekonująco dowodzą, dlaczego ów sztab partyjny - do chwili ponownego objęcia bezpośredniego kierownictwa przez Lenina - nie odgrywał i nie mógł odgrywać, choćby w pewnym tylko stopniu, takiej roli, jaką miał pełnić w przyszłości. Protokoły dowodzą, iż najważniejsze sprawy dotyczące zjazdu Rad, garnizonu piotrogadzkiego, Komitetu Wojskowo-Rewolucyjnego, nie były wstępnie omawiane przez KC, nie wynikały z jego inicjatywy, lecz rodziły się w Smolnym, w wyniku działalności praktycznej Rady, najczęściej z udziałem Swierdłowa.

Stalin w ogóle nie pojawiał się w Smolnym. Im bardziej zdecydowany stawał się nacisk mas rewolucyjnych, im większego rozmachu nabierały wydarzenia, tym bardziej Stalin usuwał się w cień, tym bardziej nieokreślone stawały się jego wypowiedzi polityczne, tym mniejszą przejawiał inicjatywę. Tak było w 1905 roku. Tak też było jesienią 1917 roku. Powtarzało się to również w przyszłości, za każdym razem, gdy na arenie światowej podejmowano ważne problemy o historycznym znaczeniu. Kiedy okazało się, że opublikowanie protokołów KC z 1917 roku odsłoniło paździerzniową lukę w biografii Stalina, biurokratyczna historiografia stworzyła legendę "ośrodka praktycznego". Wyjaśnienie tej wersji, aktywnie rozpowszechnianej w ostatnich latach, jest niezbędnym elementem krytycznej historii przewrotu październikowego.

Podczas posiedzenia KC w dniu 16 października, jednym z argumentów wysuwanych przeciwko forsowaniu powstania było to, że "nie posiadamy jeszcze nawet ośrodka kierowniczego". Na wniosek Lenina, Komitet Centralny postanowił natychmiast /na krótkim zebraniu zorganizowanym w kącie sali/ wypełnić tę lukę. W protokole odnotowano: "Komitet Centralny powołuje ośrodek wojskowo-rewolucyjny w następującym składzie: Swierdłow, Stalin, Bubnow, Uricki i Dzierżyński. Ośrodek ten wchodzi w skład radzieckiego Komitetu Rewolucyjnego". Zapomniana przez wszystkich uchwałą odnaleziono w archiwach dopiero w 1924 roku. Zaczęto ją cytować jako dokument historyczny najwyższej wagi. Tak np. Jarośławski pisał: "Organ ten /a nie kto inny/ kierował wszystkimi organizacjami biorącymi udział w powstaniu /rewolucyjnymi oddziałami wojskowymi, Czerwoną Gwardią/". Określenie "a nie kto inny" dostatecznie otwarcie ujawnia cel całej tej konstrukcji ex post.

Jeszcze bardziej "szczerzy" był Stalin oświadczając, że "w składzie ośrodka praktycznego, powołanego do kierowania powstaniem, dziwnym zbiegiem okoliczności zabrakło... Trockiego".

Aby móc rozwinąć ten temat Stalin był zmuszony pominąć drugą część uchwały głoszącej, iż: "Ośrodek ten wchodzi w skład radzieckiego Komitetu Rewolucyjnego". Jeśli wziąć pod uwagę, że na czele Komitetu Wojskowo-Rewolucyjnego stał Trocki, to nie trudno zrozumieć, dlaczego KC ograniczył się do wyznaczenia nowych działaczy do pomocy tym, którzy i tak stanowili już ośrodek kierowniczy ruchu. Ani Stalin, ani Jarosławski nie wyjaśnili przy tym, dlaczego dopiero w 1924 roku przypomniano sobie po raz pierwszy o "ośrodku praktycznym".

W okresie od 16 do 20 października powstanie ostatecznie przeszło na tory radzieckie. Komitet Wojskowo-Rewolucyjny od samego początku koncentruje w swoich rękach kierownictwo nie tylko garnizonu, lecz również Czerwonej Gwardii, która począwszy od 13 października podporządkowała się Piotrogrodzkiemu Komitetowi Wykonawczemu. Brak już miejsca dla jakiegos innego ośrodka kierowniczego. W każdym razie ani w protokołach KC, ani w jakichkolwiek innych materiałach z drugiej połowy października nie można znaleźć najmniejszych nawet śladów funkcjonowania tak ważnej, mogłoby się wydawać, instytucji. Nikt nie składa sprawozdań z jej działalności, nikt nie daje jej żadnych poleceń, nikt nie wymienia nawet jej nazwy, chociaż członkowie owego "organu" bywają przecież obecni na posiedzeniach KC i biorą udział w rozwiązywaniu problemów, które powinny pozostawać w bezpośredniej kompetencji "ośrodka praktycznego".

W każdym razie Swiesznikow, członek Piotrogrodzkiego Komitetu partii, niemal bez przerwy pełniący w drugiej połowie października dyżur w Smolnym w celu utrzymywania łączności, musiał chyba wiedzieć, dokąd zwracać się po praktyczne wskazówki w sprawach związanych z powstaniem. Tymczasem oto co pisze: "Powstaje Komitet Wojskowo-Rewolucyjny. Jego powstanie oznacza pojawienie się ośrodka kierowniczego, organizującego żywioł rewolucyjnej aktywności proletariatu". Kajurow, doskonale nam znany z wydarzeń lutowych, opowiada jak w dzielnicy Wyborskiej z napięciem czekano na sygnał ze Smolnego: "Pod wieczór./24-go/ otrzymaliśmy odpowiedź z Komitetu Wojskowo-Rewolucyjnego - przygotować Gwardię Czerwoną do walki". Kajurow nic nie wie o istnieniu jakiegos innego ośrodka dyspozycyjnego w chwili przystąpienia do otwartych działań powstańczych.

Równie dobrze można by powołać się na wspomnienie Sadowskiego, Podwojskiego, Antonowa-Owsiejnki, Miechonoszyna, Błagonrawowa i innych bezpośrednich uczestników przewrotu. Żaden z nich nie wspomina o "ośrodku praktycznym", który - według słów Jarosławskiego - sprawował rzekomo kierownictwo nad wszystkimi organizacjami. Wreszcie nawet Jarosławski w swojej "Historii" ogranicza się wyłącznie do podania informacji o utworzeniu ośrodka, ani słowa nie wspominając o jego działalności. Wniosek nasuwa się sam przez się: ośrodek dyspozycyjny, o którym nie wie nikt spośród kierowniczych działaczy, nie istnieje dla historii.

Można jednakże przytoczyć i bardziej bezpośrednie dowody, świadczące o całkowitej fikcyjności "ośrodka praktycznego". Podczas posiedzenia KC w dniu 20 października Swierdłow

odczytuje oświadczenie Organizacji Wojskowej zawierające - jak to wynika z dyskusji - żądanie zapewnienia udziału kierownictwa Organizacji Wojskowej w podejmowaniu decyzji dotyczących spraw związanych z powstaniem. Joffe proponuje odrzucenie tego rozszczenia: "Wszyscy, którzy pragną pracować, mogą wejść w skład ośrodka rewolucyjnego działającego przy Radzie". Trocki nadaje wnioskowi Joffego nieco łagodniejszą formę: "Wszystkie nasze organizacje mogą wejść w skład ośrodka rewolucyjnego i w ramach działającej tam naszej frakcji omawiać wszelkie interesujące je sprawy". Podjęta wówczas uchwała - tak właśnie brzmiąca - świadczy, że istniał jeden tylko ośrodek rewolucyjny, działający przy Radzie, tj. Komitet Wojskowo-Rewolucyjny. Gdyby istniał jakiś inny ośrodek powołany do kierowania powstaniem, to ktoś powinien był przynajmniej o tym napomknąć. Nie wspomnieli o nim wszakże nikt, nawet Swierdłow, którego nazwisko widnieje jako pierwsze wśród osób powołanych do "ośrodka praktycznego".

Jeszcze bardziej pouczający - jeśli to w ogóle możliwe - jest w tym względzie protokół z posiedzenia w dniu 24 października. W godzinach bezpośrednio poprzedzających zajęcie miasta, nie tylko nie ma tam mowy o "praktycznym ośrodku" powstańczym, ale sama uchwała o jego powołaniu tak dalece została zapomniana w wirze wydarzeń minionych ośmiu dni, iż - na wniosek Trockiego - "do dyspozycji Komitetu Wojskowo-Rewolucyjnego" zostają oddelegowani: Swierdłow, Dzierżyński i Bubnow, tj. ci członkowie KC, którzy - jak wynika z uchwały z 16 października - i tak powinni wchodzić w skład Komitetu Wojskowo-Rewolucyjnego. Sam fakt zaistnienia takiego nieporozumienia można wytłumaczyć tym, iż KC, który tylko co wyszedł z konspiracji, w sprawach organizacji i metod pracy w bardzo małym stopniu był podobny do potężnej, wszechogarniającej kancelarii, jaką się stał w latach późniejszych. Najważniejszą część "aparatu" KC Swierdłow nosił w bocznej kieszeni.

Takich efemerycznych organów, które tworzone pod koniec zebrań i natychmiast o nich zapomniano, powstawało w owym gorącym okresie dość dużo. Na posiedzeniu KC w dniu 7 października powołano "biuro informacji o walce z kontrewolucją". Była to zaszyfrowana nazwa pierwszego organu, który miał za zadanie rozpracowanie problemów związanych z powstaniem. W protokole znajdujemy informację na temat jego składu: "Z ramienia KC do biura wybrano trzy osoby - Trockiego, Swierdłowa i Bubnowa - którym polecono jego organizację".

Czy więc istniał ów pierwszy powstańczy "ośrodek praktyczny"? Chyba nie, skoro nie pozostawił po sobie żadnych śladów. Biuro Polityczne, utworzone na posiedzeniu w dniu 10 października, również okazało się niezdolne do działania i zdecydowanie niczym się nie wyróżniło. Wątpliwe nawet czy odbyło się chociażby jedno posiedzenie. Aby piotrogrodzka organizacja partyjna, prowadząca bezpośrednią działalność w dzielnicach, nie utraciła kontaktu z Komitetem Wojskowo-Rewolucyjnym Trocki - z inicjatywy Lenina, który lubił system podwójnego i potrójnego zabezpieczenia się - został włączony na okres decydujących tygodni do ścisłego kierownictwa Komitetu Piotrogrodzkie-

go. Jednakże i ta decyzja pozostała wyłącznie na papierze: Trocki nie uczestniczył w żadnym posiedzeniu. Podobny był los tzw. "ośrodka praktycznego". Już w samym zamysśle nie miał on istnieć jako instytucja samodzielna, nie istniał jednak również jako organ pomocniczy.

Spśród wytypowanej doń piątki, Dzierżyński i Uricki włączyli się do pracy Komitetu Wojskowo-Rewolucyjnego dopiero po przewrocie. Swierdłow odgrywał wielką rolę w dziedzinie zapewnienia łączności między Komitetem Wojskowo-Rewolucyjnym a partią. Natomiast Stalin nie brał żadnego udziału w pracach Komitetu Wojskowo-Rewolucyjnego i nigdy nie pojawił się na jego posiedzeniach. W licznych dokumentach, relacjach uczestników i świadków ówczesnych wydarzeń, podobnie jak i w późniejszych wspomnieniach, ani razu nie spotykamy nazwiska Stalina.

W oficjalnej publikacji - informatorze - poświęconym historii rewolucji miesiąc październik zajmuje odrębny tom; odnotowano tam dzień po dniu wszystkie faktyczne informacje pojawiające się w prasie, protokołach, archiwach, we wspomnieniach uczestników wydarzeń etc. Mimo że zbiór ten ukazał się w 1925 roku, gdy rewizja przeszłości toczyła się już na pełnych obrotach, w indeksie umieszczonym na końcu tomu, przy nazwisku Stalina znajdujemy jedno zaledwie oznaczenie strony, na której jest ono wymienione, a gdy otwieramy książkę we wskazanym miejscu, odnajdujemy tekst wspomnianej już uchwały KC, powołującej "ośrodek praktyczny", w którym Stalin wymieniony jest jako jeden z pięciu jego członków. Na próżno szukalibyśmy w tym zbiorze, tak zasobnym w materiały nawet trzeciorzędnej wagi, informacji o tym, czym właściwie zajmował się Stalin w październiku, w ramach owego "ośrodka" lub poza nim...

Biurokratyczną rewizją historii partii i rewolucji kieruje bezpośrednio sam Stalin. Określone etapy tej działalności wymownie podkreślają także etapy w rozwoju aparatu radzieckiego. 6 listopada /wg nowego kalendarza/ 1918 roku w rocznicowym artykule zamieszczonym w "Prawdzie" Stalin pisał: "Inspiratorem przewrotu - od początku do końca - był Komitet Centralny partii na czele z tow. Leninem. Włodzimierz Iljicz przebywał wówczas w konspiracyjnym mieszkaniu w Piotrogradzie, w dzielnicy Wyborskiej. Wieczorem 24 października został wezwany do Smolnego, w celu objęcia ogólnego kierownictwa ruchem. Całą pracę związaną z praktyczną organizacją powstania prowadzono pod bezpośrednim kierownictwem przewodniczącego Rady Piotrogradzkiej tow. Trockiego. Można z całkowitym przekonaniem stwierdzić, że szybkie przejście garnizonu na stronę Rady oraz właściwą organizację pracy Komitetu Wojskowo-Rewolucyjnego partia zawdzięcza przede wszystkim tow. Trockiemu. Głównymi pomocnikami tow. Trockiego byli towarzysze Antonow i Podwojski".

Ani autor tej książki, ani - jak należy przypuszczać - Lenin, wracający do zdrowia po eserowskim zamachu, nie zwrócili wówczas uwagi na ów retrospektywny podział ról i zasług. Artykuł nabrał innej wymowy dopiero po upływie kilku lat,

kiedy okazało się, że Stalin już w trudnych miesiącach jesieni 1918 roku przygotowywał się - na razie nadzwyczaj ostrożnie - do naswietlenia roli kierownictwa partyjnego w październiku. "Inspiratorem przewrotu - od początku do końca - był Komitet Centralny partii na czele z t.w. Leninem". Zdanie to stanowi polemikę z tymi, którzy uważali - zresztą całkowicie słusznie - iż rzeczywistym inspiratorem powstania był Lenin, w znacznym stopniu działający wbrew KC. Stalin nie mógł jeszcze wtedy ukryć swoich październikowych wahań w inny sposób niż pod bezosobowym kryptonimem "KC". Następne dwa zdania, mówiące o tym, że Lenin przebywał w Piotrogradzie w mieszkaniu konspiracyjnym i wieczorem 24 października został wezwany do Smolnego w celu objęcia ogólnego kierownictwa ruchu, mają na celu podważenie panującego w partii przeświadczenia, że przywódca przewrotu był Trocki. Kolejne zatem zdania, poświęcone Trockiemu, dźwięczą przy dzisiejszej akustyce politycznej jak panegiryk. W rzeczywistości stanowiło to minimum tego co Stalin musiał powiedzieć, aby zamaskować swoje aluzje polemiczne. Skomplikowana konstrukcja oraz starannie dobrany protekcyjny ton owego artykułu "rocznicowego" same przez się nie najgorzej świadczą o ówczesnej opinii publicznej w partii.

W artykule tym, nawiasem mówiąc, absolutnie nie wspomina się o "ośrodku praktycznym". Przeciwnie, Stalin kategorycznie oświadcza: "Całą pracę związaną z praktyczną organizacją powstania prowadzono pod bezpośrednim kierownictwem /.../ Trockiego." Jednakże Trocki nie wchodził w skład "ośrodka praktycznego", a od Jarosławskiego dowiadujemy się, jakoby "organ ten /a nie kto inny/ kierował wszystkimi organizacjami biorącymi udział w powstaniu". Wyjaśnienie owej sprzeczności jest bardzo proste: w 1918 roku minione wydarzenia jeszcze zbyt do brze zachowały się w pamięci wszystkich, aby można było liczyć na powodzenie prób rozpowszechnienia odnotowanej w protokołach uchwały o nigdy nie istniejącym "ośrodku".

W 1924 roku, kiedy wiele spraw zatarło się już w pamięci, Stalin w następujący sposób tłumaczył, dlaczego Trocki nie wchodził w skład "ośrodka praktycznego": Muszę powiedzieć, że żadnej szczególnej roli w powstaniu październikowym Trocki nie odegrał i nie mógł odegrać.² W 1924 roku Stalin otwarcie stwierdził, że zadaniem historyków jest zburzenie "legendy o szczególnej roli Trockiego w powstaniu październikowym". W jaki wszakże sposób godzi tę nową wersję ze swoimi artykułami z roku 1918? Bardzo prosto: zabronił cytować własny artykuł. Historycy, którzy usiłują odnaleźć związek między stanowiskiem Stalina z 1918 roku a jego stanowiskiem z roku 1924 są natychmiast usuwani z partii.

Istnieją jednak dowody bardziej wiarygodne niż pierwszy rocznicowy artykuł Stalina. W przypisach do oficjalnego wydania dzieł Lenina pod hasłem TROCKI napisano: "Po tym, jak Rada Petersburska przeszła w ręce bolszewików, został wybrany jej przewodniczącym; pełniąc tę funkcję organizował i kierował powstaniem 25 października". Tak więc "legenda o szczególnej ro-

²J.W. Stalin, Dzieła, t. 6, s. 329

li" została utrwalona w zbiorze dzieł Lenina jeszcze za życia ich autora.

Na podstawie wydawnictw oficjalnych można rok po roku prześledzić proces zmian dokonywanych w materiale historycznym. Tak np. w 1925 roku, gdy kampania przeciwko Trockiemu rozwijała się na pełnych obrotach, w oficjalnym roczniku "Kalendar Komunisty" pisano jeszcze: "Trocki bierze jak najaktywniejszy, kierowniczy udział w Rewolucji Październikowej. W październiku 1917 roku zostaje wybrany przewodniczącym Petersburskiego Komitetu Rewolucyjnego, który organizował powstanie zbrojne". W wydaniu z 1926 roku tekst ten zastąpiono krótkim neutralnym zdaniem: "W październiku 1917 roku - przewodniczący Leningradzkiego Rewkomu". Poczynając od 1927 roku szkoła Stalina wysunęła nową wersję, która jest powtarzana przez wszystkie sowieckie podręczniki: będąc przeciwnikiem "socjalizmu w jednym kraju" Trocki nie mógł w rzeczywistości nie być przeciwnikiem przewrotu październikowego. Na szczęście istniał "ośrodek praktyczny", który doprowadził sprawę do szczęśliwego finału! Pomysłowi historycy zapominają tylko wyjaśnić, dlaczego bolszewicka Rada powierzyła Trockiemu funkcję przewodniczącego i dlaczego ta sama Rada, kierowana przez partię, postawiła go na czele Komitetu Wojskowo-Rewolucyjnego.

Lenin nie był łatwowlerny, zwłaszcza gdy w grę wchodziły losy rewolucji. Nie można było uspokoić go deklaratywnymi zapewnieniami. Z odległości skłonny był każde zjawisko rozważać z gorszej strony. W to, że sprawa rozwija się we właściwym kierunku uwierzył dopiero wówczas, gdy zobaczył wszystko na własne oczy, tj. kiedy przybył do Smolnego. Trocki pisze o tym w 1924 roku w swoich wspomnieniach: "Pamiętam, jak wielkie wrażenie wywarła na Leninie informacja o tym, jak rozkazem na piśmie wezwałem kompanię Pułku Litewskiego, aby zapewnić ukazanie się naszej gazety partyjnej i radzieckiej... Lenin był zachwycony; wyrażał zachwyt okrzykami, śmiechem, zacieraniami rąk. Potem stał się bardziej milczący, zamyślił się i powiedział: Cóż, można i tak. Byłoby tylko zdobyć władzę. Zrozumiałem, że dopiero w tej chwili ostatecznie pogodził się z faktem, iż zrezygnowaliśmy ze zdobycia władzy za pomocą spisku konspiracyjnego. Do ostatniej chwili obawiał się, że wróg zdecyduje się na atak zapobiegawczy i zaskoczy nas. Dopiero teraz... uspokoił się i ostatecznie zaakceptował ten kierunek rozwoju wydarzeń."

Lew D. Trocki



Szukając alternatywy

Od czasu, gdy socjalizm tzw. realny /tzn. ten, który w odróżnieniu od teoretycznego istnieje de facto/ zbankrutował i skompromitował się haniebnie i doszczętnie - a raczej od czasu, gdy ostatni wyznawcy tej "religii" stracili ostatnie złudzenia, tzn. od inwazji Czechosłowacji w sierpniu 1968 r. - trwają w świecie, po jednej i po drugiej stronie zresztą, poszukiwania "dobrego bolszewika", "prawdziwego bolszewika", jednego przynajmniej "sprawiedliwego", który by "uratował honor"...

Wybór był mocno ograniczony i dzięki temu nie trudny. Padł, bo paść musiał na Bucharina. On jeden nadaje się do roli symbolu i argumentu... że mogło to wszystko ukończyć się inaczej. Inaczej, czyli lepiej... A może nawet zgoła dobrze?

Niestety, jest to tylko hipoteza, której już nikt nie sprawdzi. Bucharin, gdyby żył, skończyłby w przyszłym roku 100 lat. Ale nie żyje. W przyszłym roku przypada również 50. rocznica jego śmierci. Wielka Encyklopedia Powszechna informuje, że z m a r ą 15 marca 1938 r. Na końcu dość obszernej nawet noty dowiadujemy się, że został stracony. Czyli normalnie - dostał 9 gramów ołowiu w potylicę. W owym czasie była to zwykła śmierć bolszewików w bolszewickiej Rosji - w tym jedynym w całej historii świata państwie, które w majestacie prawa wymordowało swoich twórców i bohaterów narodowych.

Nieżyjący Bucharin, "niewinna ofiara czystej idei" jest doskonałym materiałem na sztandarowy symbol. Oto możliwość historycznej alternatywy zbrodniczego stalinizmu, możliwość historyczna tylko co prawda, bo w zarodku unicestwiona, ale zawsze historyczna, potencjalna możliwość.

Więc Bucharin stał się modny. Zarówno na swojej ziemi, gdzie piszą o nim wiele, ale na razie tylko w samizdatach, jak i na Zachodzie, gdzie nigdy nie brakowało i nie brakuje naiwnych, zafascynowanych /jest to, niestety, fascynacja jaką przeżywa mysz oko w oko z wężem/, wciąż poszukujących słusznym moralnie motywów, jakimi ewentualnie mogła się powodować siła sprawcza tej fatalnej dla cywilizowanego świata sprawy, która wybuchła w październiku 1917 roku. Wybuchła i z wiadozym dalszym ciągiem, ale z wciąż niedokładnie wiadomym zakończeniem trwa do dziś, już siedem dziesiątków lat.

Chcąc dotrzymać kroku /nie mylić z lojalnością/ prądom

epoki, postanowiliśmy przybliżyć czytelnikom postać Bucharina i jego koncepcję alternatywnej względem stalinizmu drogi do "pełni szczęścia na ziemi", czyli do socjalizmu. Starając się maksymalnie zobiektywizować tę sprawę, spośród różnych dostępnych źródeł wybraliśmy dzieło solidnego i bezstronnego historyka angielskiego. Stephen H. Cohen w swej bogato udokumentowanej książce pt. "Bucharin a rewolucja bolszewicka" sine ira et studio stara się udowodnić tezę, że Bucharin mógł stanowić alternatywę wobec Stalina. Chodzi mianowicie o to, że stalinowski system eksterminacji, system masowego terroru i obozów koncentracyjnych, którego ofiarą padło kilkadziesiąt milionów ludzi, być może nie był prostą i nieuchronną konsekwencją założeń rewolucji bolszewickiej. Być może - mógł być zastąpiony przez jakiś liberalny i humanitarny wariant, będący do przyjęcia nie tylko przez społeczeństwo, które stało się bezpośrednim przedmiotem zbrodniczego w samym zamyśle eksperymentu /walka klas oparta na bezprawiu, posługującym się terrorem/, lecz do przyjęcia także przez otaczający świat.

Dowód prawdy jest bardzo przekonujący. Osłabia go jedynie ten mały drobiazg, że to Stalin zamordował Bucharina, z łaskawością usuwając go /i wszystkich jego popleczników/ z drogi, a nie odwrotnie. Ale być może to, co uważamy za słabość w słusznym rozumowaniu, jest zwykłym czepianiem się nieistotnego szczegółu.

Ponieważ hołdujemy zasadom politycznego myślenia, według którego finis coronat opus, dlatego uznaliśmy, że z całego opasłego tomu najciekawszy będzie dla czytelników opis okoliczności "Upadku ostatniego bolszewika" /tak zatytułowaliśmy wybrany, obszerny i wszystko właściwie mówiący, fragment dzieła S.H. Cohena/.

Gwoli dokumentacyjnej rzetelności, podajemy na wstępie podstawowe informacje dotyczące poglądów, działalności i kolei losu bohatera tego dramatu.

To ostatnie słowo nie zostało użyte przypadkiem. Cokolwiek by o tym myśleć, sprawa Bucharina była dramatem ludzkim w iście szekspirowskim wymiarze. Człowiek bowiem, nawet opętany ideą obłądaną, ideą wymierzoną przeciwko innym ludziom, nie przestaje być człowiekiem. A gdy wierzy w tę swoją ideę głęboko i głosi ją do końca, wiedząc, że nieuchronnie czeka go za to śmierć - jest nawet godny szacunku. Politowanie z szacunkiem się nie kłóci.

• • •

NIKOLAJ IWANOWIČ BUCHARIN urodził się w Moskwie 27 września /9 października wg nowego kalendarza/ 1888 r. Jego rodzice byli nauczycielami. Z domu rodzinnego wyniósł ugruntowane zainteresowania sztuką i literaturą światową, dzięki czemu w przyszości, w chwilach wolnych od zajęć rewolucyjnych, mógł z powodzeniem uprawiać krytykę literacką na wysokim poziomie. N.I. Bucharin ukończył najlepsze w Moskwie gimnazjum klasyczne, a następnie rozpoczął studia ekonomiczne na wydziale prawa Uniwersytetu Moskiewskiego.

Studiów nie ukończył i chyba zresztą nie przykładał się do nich, gdyż pochłonęła go całkowicie działalność rewolucyjna w szeregach organizacji bolszewickiej. Pierwszy raz został aresztowany w 1909 r. Odsiedział kilka miesięcy. W 1912 roku, zagrożony katorgą, ucieka z Rosji. Przez 6 lat przebywa na emigracji, działając w ruchu socjaldemokratycznym w Niemczech, Austrii, Szwajcarii, Szwecji, Norwegii, Danii i Ameryce. Przyjaciele i towarzysze walki z tamtych czasów zapamiętali go jako niskiego, szczupłego, rudowłosego, nadzwyczaj ruchliwego i błyskotliwego młodzieńca, świetnego oratora i polemistę.

W każdym kraju, gdzie się znalazł, Bucharin poświęcał wiele czasu na ślęczenie w bibliotekach. Znając biegle francuski, niemiecki i angielski, z pasją studiował ekonomię, socjologię i filozofię. Studiował i sam pisał prace teoretyczne z tego zakresu, współpracując z czasopismami marksistowskimi. Opublikował co najmniej kilka znaczących artykułów i dwie ważne książki: "Ekonomia polityczna rentierów" i "Gospodarka światowa a imperializm". W swych pracach sformułował śmiało tezy, które stały się integralną częścią składową ideologii bolszewickiej. W krótkim czasie wyrósł na drugiego po Leninie teoretyka bolszewickiego.

Z Leninem, którego osobiście poznał na emigracji, wiódł Bucharin często spory na tematy teoretyczne i strategiczno-taktyczne, niemniej przyznawał mu palmę pierwszeństwa i był nim autentycznie zafascynowany. Przed podróżą do Ameryki Bucharin pisał do Lenina: "Żywię do Was najwyższy szacunek, traktuję Was jako swego nauczyciela rewolucji i kocham Was". Lenin zresztą odpłacał mu sympatią i widział w nim "najzdolniejszą młodą siłę w partii". Inaczej Stalin, który zawsze oceniał Bucharina za ledwie na "trzy z minusem". Ale wiadomo, że "Wielki Historyk" i "Wielki Językoznawca" w ocenach ludzi posługiwał się własnym, specyficznym kryterium.

Na wieść o wybuchu rewolucji lutowej w Rosji Bucharin pośpiesznie wraca z Ameryki. Wraca jako powszechnie uznawany, wybitny przywódca partyjny, jeden z najbliższych współpracowników Lenina oraz jako wybitny teoretyk, który wniósł niekwestionowany znaczący wkład w rozwój bolszewizmu - tej oryginalnej odmiany europejskiego marksizmu.

Już w latach 1915-1916 Bucharin dowodził, że rewolucja socjalistyczna w Rosji jest nieunikniona. W marcu 1917 r. przepowiedział, że już wkrótce władza będzie musiała przejść z rąk słabej burżuazji rosyjskiej w ręce proletariatu - i że będzie to dopiero pierwszy krok. Jego poglądy, wiarygodnie autorytetem Lenina, niewątpliwie wpłynęły na decyzję przesadzającą wybuch powstania przeciwko Rządowi Tymczasowemu.

Mimo swej niekwestionowanej pozycji i powszechnej sympatii, jaką się cieszył /nazywany był "beniaminkiem kierownictwa bolszewickiego" i "ulubieńcem partii"/, Bucharin formalnie wszedł do ścisłego kierownictwa dopiero w pięć lat po rewolucji. Po XI zjeździe w kwietniu 1922 r. został wybrany

/obok Mołotowa i Kalinina/ kandydatem do Biura Politycznego. W skład Politbiura weszli wówczas: Lenin, Kamieniew, Trocki, Stalin, Zinowiew, Rykow i Tomski. Bucharin był najmłodszy w tym gronie, miał zaledwie 34 lata.

21 stycznia 1924 roku zmarł Lenin, który w swoim "testamencie politycznym" wystawił jak najlepsze /z pewnym zastrzeżeniem ideologicznym/ świadectwo Bucharinowi, nazywając go "najcenniejszym i największym teoretykiem partii". W tym momencie Bucharinowi pozostało jeszcze 14 lat życia, ale już tylko 5 lat w roli wpływowego członka najwyższego kierownictwa i "ulubieńca partii". Jego kariera partyjna i życie znalazły się w rękach Stalina, który z całą bezwzględnością w wybranym przez siebie momencie przeciął najpierw to pierwsze, potem drugie.

Można z całkowitym przekonaniem przyjąć założenie, że w każdym przypadku Bucharin byłby skazany na śmierć. Gdyby nie akurat ten, to inny powód z pewnością by się znalazł. Stalin bowiem z żelazną i okrutną konsekwencją likwidował kolejno wszystkich rywali, którzy mu stali na drodze - rywali rzeczywistych, tylko potencjalnych, a nawet po prostu wymyślonych przez siebie. Ten niewątpliwie genialny manipulator, z równą zręcznością manipulujący ludźmi, jak pojęciami, którym sam nadawał obowiązujące "jedynie słuszne" znaczenia, na każdego potrafił zastawić pułapkę. Bucharin sam mu wpadł jak mucha w sieć pająka.

Bucharin był głównym ideologiem i entuzjastą tzw. NEP-u, czyli nowej polityki ekonomicznej. Tak nazywał się krótki okres liberalizacji w stosunkach społecznych i ekonomicznych, owocey zwłaszcza na wsi, okres, który nastąpił po komunizmie wojennym i na tym tle mógł sprawiać wrażenie istnego rajy na ziemi. Bucharin, którego ze względów taktycznych Stalin początkowo popierał, głosił pogląd, że rozwój ekonomiczny kraju należy oprzeć na rozwoju wsi i rolnictwa, że należy umożliwić chłopom zwiększanie produkcji i rozwijać wymianę rynkową. Mając temperament publicysty, Bucharin często używał sformułowań emocjonalnych. 17 kwietnia 1925 r., w szczytowym okresie sukcesów NEP-u, wypowiedział do chłopów słynne słowa: "Bogaćcie się, rozwijajcie swoje gospodarstwa i nie bójcie się, że was przycisną". W niespełna cztery lata później Stalin wykorzystał te słowa do sformułowania teorii o "przestępczym prawicowym odchyleniu" w partii, czyniąc Bucharina jego inspiratorem i organizatorem.

Bucharin był zbyt inteligentnym człowiekiem, aby od początku nie wiedzieć, z kim ma do czynienia. A jednak pozwalał Stalinowi manipulować sobą w rozgrywkach wewnątrzpartyjnych, tworzył nawet wspólny z nim front przeciwko Trockiemu i Zinowiewowi. Jeszcze w 1928 r., kiedy już nie mógł mieć żadnych złudzeń co do kierunku, w którym konsekwentnie zmierzał Stalin, Bucharin oświadczył: "Tworzymy i stworzymy taką cywilizację, przy której cywilizacja kapitalistyczna będzie wyglądać jak 'psi walc' przy bohaterskich symfoniach Beethovena".

W grudniu Stalin ogłosił koniec NEP-u i początek tzw. odgórnej rewolucji, tzn. przymusową kolektywizację, fizyczną lik-

widację kułactwa jako klasy oraz forsowne uprzemysławianie kraju. Był to początek upadku Bucharina. Potem wydarzenia następują szybko. W lutym 1929 r. na wspólnym posiedzeniu Biura Politycznego i Centralnej Komisji Kontroli Bucharin został oskarżony o "brak pryncypialności". W kwietniu 1929 roku Komitet Centralny zdejmuje Bucharina ze stanowiska redaktora "Prawdy" i przewodniczącego Kominternu, którym był od 1926 r. W listopadzie 1929 r. Bucharin został wykluczony z Biura Politycznego. Od tej chwili rozpoczyna się jego śmierć cywilna, za którą czai się już widmo śmierci fizycznej.

Ale nawet w tym okresie powolnego umierania czyni swemu katowi jeszcze jedną ważną przysługę. Układa mianowicie tekst konstytucji, zwanej konstytucją stalinowską, która legalizuje totalitarny charakter państwa sowieckiego. Pisze tę konstytucję /z czego jest niesłychanie dumny!/ w atmosferze rozpętanego na niebywałą skalę fanatycznego kultu Wodza, czemu towarzyszą pierwsze pomruki zbliżającego się Wielkiego Terroru. Gdy skończy pisać, stanie się już niepotrzebny. Póznostaną mu tylko dwa lata życia.

A gdy nadejdzie jego chwila, Stalin osobiście wyda rozkaz aresztowania i osobiście będzie nadzorował śledztwo, zerkając przez ukryte okienko. I szantażem wymierzonym w rodzinę zmusi go do przyznania się do winy, choć nie do zaparcia się poglądów. Bucharin umrze z rozkazu Stalina, z jego rozkazu zostanie wyklęty i zapomniany. A razem z nim umrze nigdy nie sprawdzona alternatywa "socjalizmu z ludzką twarzą".

Historia kariery i upadku "ostatniego prawdziwego bolszewika" napiętnowana jest złośliwą ironią losu. Trudno oprzeć się wrażeniu, że Bucharin, opracowując wspólnie z Leninem teoretyczne podstawy rewolucji, a później stając w rządzie jej przywódców i uczestnicząc w budowaniu zrębów państwa sowieckiego opartego na przemocy, sam kręcił bicz na własną skórę. Ten przenikliwie mądry człowiek od początku musiał wiedzieć, ku czemu to wszystko zmierza. Nie mógł przecieżyć nie widzieć, że jego partia po trupach kroczy do władzy. Zresztą wszystkie jego przewidywania z okresu emigracyjnych studiów teoretycznych sprawdziły się co do joty. Stworzona przezeń przerażająca wizja współczesnego "rozbójniczego państwa imperialistycznego, żelaznej organizacji, która trzyma w swoich lepkich, chciwych szponach żywy organizm społeczeństwa" znalazła pełne ucieleśnienie właśnie w państwie, które sam pomagał budować. /Notabene ani Bucharin, ani Lenin nie potrafili przewidzieć, jaki kształt państwa wyklucze się z rewolucji bolszewickiej. Bucharin wyobrażał sobie, że państwo rewolucyjne będzie spełniało funkcję "aparatu do poskramiania obalonej sfery klas". Lenin natomiast sądził, że będzie to państwo "niebiurokratyczne", które natychmiast zacznie obumierać. Bliższy prawdy był, jak się okazało, Bucharin./ Przecież ta wizja mogła się urzeczywistnić tylko w warunkach

bezwzględnej dyktatury. A Bucharin nigdy nie kwestionował zasady jednopartyjnej dyktatury - tej dyktatury, o której jego uwielbiany nauczyciel, Lenin, bez ogródek mówił, że "nie oznacza nic innego, jak niczym nie ograniczoną, żadnymi prawami, absolutnie żadnymi zasadami nie skrepowaną, bezpośrednio na gwałcie opierającą się władzę".

Mimo swych "liberalnych" poglądów w pewnych kwestiach /takich jak np. rola gospodarki chłopskiej/ Bucharin nie był i zresztą nie mógł być demokratą. W szeregach rewolucji socjalistycznej dla demokratów miejsca nie ma. Dlatego gdy opowiadał się za bardziej liberalnym czy humanitarnym wariantem komunizmu rosyjskiego, to przecież był równocześnie za zachowaniem właściwych mu cech autorytarnych, prowadzących nieuchronnie ku totalitaryzmowi.

Jak względny jest ów cały, przypisywany dziś Bucharinowi "liberalizm", niech świadczy taki oto /jeden z wielu/ przykład. W 1925 r., w czasie gdy święciły sukcesy popierane przezeń liberalne prądy NEP-u, Bucharin, jako główny ideolog partii, wystąpił na naradzie moskiewskiego komitetu, poświęconej sprawom inteligencji. Wystąpił ze znamienym pouczeniem, które miało wagę oficjalnej wykładni ideologicznej. Bucharin mówił:

"Swoboda nauczania jest sofistyką. Takie kategorie jak 'narod', 'dobro', 'wolność' są to słowne 'znaki-zupiny'".

"Jest nam potrzebne, aby kadry inteligencji były ideologicznie wytrenowane w określonym kierunku /tzn. w kierunku marksizmu/. Tak, będziemy inteligentów sztancować, będziemy produkować ich taśmowo. Steru nie wypuścimy".

Liberał, który chce "sztancować" inteligentów!

Dziś jego niektóre poglądy interpretuje się jako chęć przeciwstawienia się fatalnemu rozwojowi wydarzeń w Rosji bolszewickiej. Być może, jako wrażliwy intelektualista chciał uniknąć okrutnych skutków rewolucji, ale jako członek kierowniczego gremiumu obiektywnie przykładał do tego rękę. Dlatego, podobnie jak inni twórcy państwa sowieckiego, Bucharin ponosi odpowiedzialność za wszystko, co nastąpiło po rewolucji. Również za zbrodnie reżimu stalinowskiego.

Taką opinię formułuje w swej książce S.H. Cohen. I trudno się z nią nie zgodzić. Co nie przeszkadza, że rację ma być może również ten rosyjski antykomunista, który - jak cytuje Cohen - powiedział, że "Bucharin był zapewne jedynym bolszewikiem, którego może ktoś w Rosji dobrze wspomnieć". Być może, ale czy nie jest słuszniej wrzucić ich wszystkich do jednego worka, tak jak oni to czynili bezwzględnie ze swoimi przeciwnikami?

KAT

P.S. Jako pendant do "Upadku ostatniego bolszewika" przedrukujemy z tego samego źródła fragment dotyczący stalinowskiego "wielkiego skoku". Jest to syntetyczny opis wydarzeń, dla których Bucharin mógłby ewentualnie stworzyć alternatywę.

Mógliby, gdyby w ogóle rzeczywiście chciał. Gdyby nie Stalin i jemu podobni. I gdyby nie sprawdzony historycznie fakt, że rewolucja komunistyczna z jednakową żarłocznością zjada swoje dzieci, jak i swoich ojców.

Stephen H. Cohen

Koniec ostatniego bolszewika

W pewnym sensie bucharinowska doktryna humanistyczna nie wyróżniała się niczym szczególnym: w zasadzie wyrażała ona oczekiwania typowe dla wczesnego socjalizmu. Jednakże w Związku Radzieckim, w warunkach lat trzydziestych, urastała do rangi radykalnej krytyki, prawdziwego manifestu, wezwania do urzeczywistnienia humanistycznego socjalizmu, które w dwadzieścia lat później podchwycone zostanie przez humanistycznych reformatorów.

Na tle stalinowskiej "odgórnej rewolucji", wśród oficjalnej gloryfikacji tego, co Bucharin nazwał "elementami drylu wojskowego", w obliczu zhierarchizowanej, biurokratycznej władzy i okrutnego prowincjonalnego prymitywizmu, przypominał on partii /na łamach "Izwestij" - przyp. red./, że misja socjalizmu polega na stworzeniu nowej kultury, zachowującej i rozwijającej najcenniejsze osiągnięcia i wartości współczesności. Wydawało się, że chce powiedzieć, iż faszyzm na równi ze stalinizmem stanowi zagrożenie tych wszystkich wartości, ponieważ opiera się na przymusie i ma w pogardzie zdobycze ludzkości, pogardzie znajdujący wyraz w wypowiedzi nazistowskiego poety: "Kiedy słyszę słowo kultura, odbezpieczam swój brauning". Bucharin przypominał partii, której sposób rozumowania i światopogląd zostały zdeformowane w toku wieloletniej wojny domowej, okrutnych walk wewnętrznych oraz przymusowego uprzemysłowienia i kolektywizacji, że "celem najwyższym jest twórcze, szczęśliwe społeczeństwo" /"Izwestija", 8 XII 1935 - przyp. red./.

MIMO WSZYSTKO ŻYWIŁ NADZIEJĘ...

Jak wspominał kiedyś w rozmowie prywatnej, nade wszystko niepokoił go deprawujący wpływ kolektywizacji na partię - "mordowanie z zimną krwią absolutnie bezbronych ludzi, z kobietami, dziećmi włącznie". Jedni komuniści przyjmowali to obojętnie, inni protestowali, jeszcze inni - wśród nich żona

Stalina Nadieżda Allilujewa - na znak protestu popełniali samobójstwo. Jednakże bardzo wielu przywykło do przemocy i podporządkowało się, uważając to za normalną metodę rządzenia; przekształcili się oni w "trybiki tej strasznej maszyny /.../ 'żelaznej stopy'" /1/. Propagowanie humanizmu socjalistycznego Bucharin uważał zapewne za sposób ostrzeżenia partii przed groźbą takiej patologii.

Nadal żywił nadzieję, że członkowie partii czynią zło "nie dlatego, iż są źli z natury, lecz dlatego, że są w złej sytuacji /.../ Należy ich przekonać, że kraj wcale nie jest nastawiony przeciwko nim, że muszą tylko zmienić taktykę". Dlatego też w artykułach z lat 1934-1936 apelował do nich, aby zaprobowali przynajmniej niektóre reformy: zaprzestanie terroru na wsi i zrezygnowanie z systemu kartkowego, przeznaczenie dużych środków na rolnictwo, produkcję artykułów powszechnego użytku i zabezpieczenie socjalne, odwilż w dziedzinie kultury, zapowiedzianą pierwszym zjazdem związku literatów, umocnienie praworządności i demokracji deklarowanych w nowej konstytucji. Reformy te będą gwarancją "początku rozwoju humanizmu socjalistycznego", wyznacznikiem chwili, w której "ideologia może już być realizowana w praktyce". Zapewne w ten sposób starał się przekonać innych, że nie stalinizm, a socjalistyczny humanizm powinien "stać się osią ideową naszych czasów".

Trudno powiedzieć na ile uzasadniony był optymizm Bucharina co do możliwości przeprowadzenia zasadniczych reform i przeciwstawienia się stalinizmowi, trudno też stwierdzić, w którym momencie miejsce optymizmu zajęła rozpacz. Powrót do metaforycznych porównań z "żelazną stopą", zawsze symbolizującą wszechmocny despotyzm - mający swe źródło w warunkach socjalnych - wskazuje, że w istocie rzeczy nigdy nie pozbył się pesymizmu. Nawet w okresie sukcesów oraz popularności haseł reform i antyfaszyzmu, na każdym kroku miał przecież do czynienia z przejawami rzeczywistych zamiarów Stalina i bezprawiem.

Zabójstwo Kirowa /2/ w grudniu 1934 roku wywołało szok u Bucharina; bardzo prawdopodobne, że już wówczas podejrzewał, kto stał za tym morderstwem /3/. W każdym razie wiedział na pewno, że w ciągu następnych tygodni Stalin bez żadnych hamulców rozstrzeliwał niewinnych ludzi we własnych celach politycznych; słyszał też najprawdopodobniej o tajnych dyrektywach /niektóre zawierały pośrednie oskarżenia pod jego adresem/, wymierzonych przeciwko "wrogom" ukrywającym się w partii. Późniejsze wydarzenia 1935 roku - pierwsze procesy Kamieniewa /4/ i Zinowiewa /5/, zlikwidowanie Stowarzyszenia Starych Bolszewików, usunięcie z bibliotek książek autorstwa kilku byłych opozycjonistów - wyraźnie wskazywały na niebezpieczeństwo grożące frakcji umiarkowanych oraz dawnej partii bolszewickiej.

Ponadto - mimo że los polityczny znowu się doń uśmiechnął - Stalin osobiście nadal oceniał Bucharina "na trzy z minusem". Jak się wydaje, jedyny jego kontakt z otoczeniem sekretarza generalnego sprowadzał się do przyjaźni z młodą żoną wodza. Jej probucharinowskie poglądy w kwestii kolektywizacji i samobójstwo w listopadzie 1932 roku pogorszyły jeszcze bardziej sytuację Bucharina. Nie mógł też najprawdopodobniej podzielać

optymistycznego poglądu umiarkowanych członków w Biurze Politycznym, że "kadzenie Stalinowi" pomoże zdobyć jego zaufanie. Podobnie jak w 1928 roku dostrzegał psychiczną i polityczną obsesję sekretarza generalnego. Stalin - jak mówił - jest wręcz "nieszczęśliwy z tego powodu, że nie może przekonać wszystkich, nawet samego siebie, iż wszystkich przewyższa /.../ już za samo to swoje 'nieszczęście' nie może nie mścić się na ludziach, wszystkich ludziach, a zwłaszcza na tych, którzy są w czymś lepsi od niego, przewyższają go".

Bucharin zdawał sobie sprawę, że jego własna pozycja w partii czyni go głównym celem owej mściwości i że grożące mu niebezpieczeństwo zwiększa się wraz ze wzrostem popularności prezentowanego przezeń kierunku politycznego. Przy świadkach Stalin zachowywał się względem niego niekiedy wręcz przyjaźnie, jak np. podczas bankietu w 1935 roku, kiedy wniósł toast: "Wypijmy, towarzysze, zdrowie Nikołaja Iwanowicza Bucharina, którego wszyscy kochamy i znamy; kto wspomni o przeszłości niechaj osłepnie". Jednakże w tym samym czasie agenci służb bezpieczeństwa przygotowywali już dossier, dotyczące "przeszłości" Bucharina, a 10 lutego 1936 roku organ stalinowców, "Prawda", po raz pierwszy od kilku lat zaatakował jego obecne poglądy, co było złośliwe.

OSTATNIA PODRÓŻ

W dwa tygodnie później, "wiedząc z całą pewnością, że on /Stalin/ poźre nas wszystkich", że Stalin tylko czeka na dogodny moment, Bucharin udał się z żoną do Paryża - w swoją ostatnią podróż zagraniczną. Wchodził w skład trzyosobowej delegacji, mającej za zadanie przejęcie unikalnego archiwum rozbitej niemieckiej partii socjaldemokratycznej. Archiwum to, zawierające m.in. rękopisy Marksa, przechowywał mienszewik, historyk Borys Nikołajewski, przebywający na emigracji w Paryżu, który pomagał w wywiezieniu dokumentów z hitlerowskich Niemiec. Bucharin spędził za granicą dwa miesiące /w tym czasie zatrzymał się w Pradze i Berlinie oraz zrobił wycieczkę do Kopenhagi/. Wkrótce okazało się, iż wybrał się w tę podróż /która - jak podejrzewał - będzie ostatnią w jego życiu/ "z myślą o przyszłym nekrologu".

I z przyjaciółmi, i z przeciwnikami politycznymi rozmawiał z uderzającą otwartością, lekceważąc partyjne tradycje dyskrecji politycznej. Podczas mało przezornej wizyty u przywódcy działającej na emigracji partii mienszewików, Fiodora Dana, mówił o Stalinie z nieukrywaniem "strachem i złością" /"to mały, zły człowiek; nie, nie człowiek, a szatan"/. Spacerując z André Malraux po Place de l'Odeon powiedział "zrezygnowanym głosem: «a teraz on mnie zabije»".

Bucharin wybrał Nikołajewskiego, aby "z myślą o przyszłym nekrologu" /podzielić się z potomnymi własnymi poglądami na temat faktów historycznych. Mimo że Nikołajewski był mienszewikiem, miał dość zaufanie. Być może z uwagi na jego opinię archiwisty i historyka marksistowskiego, lecz także dlatego, że był on przez żonę spokrewniony z Rykowem. Z początku Bu-

charin prowadził ostrożną rozmowę na temat wspólnych znajomych, odległych wydarzeń i kwestii filozoficznych. Jednakże owe prywatne pogawędki, ciągnące się przez cały marzec i kwiecień, stawały się coraz bardziej intymne i wreszcie Bucharin - niekiedy z pewnym wahaniem, uciekając się do aluzji - opowiedział o najważniejszych aspektach walki toczącej się w radzieckim kierownictwie po "sprawie Riutina", o roli jaką sam odgrywa i podzielił się własną opinią o polityce wewnętrznej oraz zagranicznej.

Na podstawie owych rozmów /być może także opierając się na późniejszych informacjach przekazywanych przez Bucharina/ Nikołajewski po upływie ośmiu miesięcy anonimowo opublikował skryny "List starego bolszewika", dokument wielkiej wagi, stanowiący źródło większości posiadanych przez nas informacji o walce politycznej, toczącej się w Związku Radzieckim w latach trzydziestych. Zarówno Nikołajewski, jak niektóre inne osoby /łącznie z dawnym towarzyszem z Kominternu, który namawiał Bucharina, by pozostał za granicą i wydawał gazetę antystalinowską/ odniosły wrażenie, że nie ma on żadnych iluzji co do własnego losu i przyszłości Związku Radzieckiego pod władzą Stalina. Dlaczegoż wobec tego wraca? - pytali. Z odpowiedzi można było wynioskować, że zdecydował się na odegranie do końca swojej politycznej i symbolicznej roli w partii: "Jak to nie wrócić? Zostać emigrantem? Nie, nie mógłbym żyć tak jak wy, emigranci; niech będzie, co ma być...".

TESTAMENT POLITYCZNY

Bucharin powrócił do Moskwy w końcu kwietnia 1936 roku, kiedy stalinowskie przygotowania do wielkiego terroru były na ukończeniu. Terror miał być zapoczątkowany procesem, a następnie zgładzeniem Zinowiewa i Kamieniewa, już aresztowanych pod zarzutem zorganizowania "trockistowsko-zinowiewowskiego ośrodka terrorystycznego", który zamordował Kirowa oraz przygotowywał zamachy na członków stalinowskiego kierownictwa.

W pierwszym artykule zamieszczonym w "Izwiestjach" po powrocie z zagranicy Bucharin starał się zwrócić uwagę "zainteresowanych" na rozpaczliwą sytuację. Artykuł ów, z pozoru będący wkładem w ogólnonarodową dyskusję nad nową konstytucją, zaczynał się cytatem z Machiavellego /według znanego już sposobu posługiwania się przerośnią/, a następnie podejmował właściwy temat: wszystkie reżimy faszystowskie funkcjonują za parawanem "fikcji politycznej, oszukańczych deklaracji ideologicznych".

W dniu 18 czerwca zmarł - w dość zagadkowych okolicznościach - Gorki, będący wpływowym przeciwnikiem nadciągającego terroru. W nekrologu Bucharin opłakiwał zgon "wielkiego humanisty proletariackiego" i "piewcy rozumu". W ciągu następnych tygodni oskarżeni "w sprawie" Zinowiewa i Kamieniewa zaczęli w śledztwie przyznawać się do nie popełnionych przestępstw.

W dniu 6 lipca Bucharin wydrukował artykuł, który - jak zapewne wiedział - będzie jego ostatnią publikowaną wypowiedzią. Tytuł owej publikacji /"Drogi historii - głośne rozmyślanie"/

budził ciekawość czytelników. Artykuł miał wyjątkowe znaczenie, albowiem był swojego rodzaju testamentem Bucharina. Kilkakrotnie powracał w nim do rzeczywistego kierunku rozwoju wydarzeń w kraju i za granicą. Zaczął od analizy. "Wszyscy mówimy teraz o konstytucji stalinowskiej", jednakże rzeczywiste znaczenie ma zakulisowe "zjednoczenie się, konsolidacja" reżimu stalinowskiego i zbliżająca się likwidacja wszystkich, którzy okazują mu sprzeciw. Aby nikt nie odniósł mylnego wrażenia, że jego teza o "zwierzęcym okrucieństwie, wyzysku, przemocy i wojnie" cechujących faszyzm dotyczy wyłącznie Niemiec, Bucharin pisał: "Skomplikowana sieć dekoracyjnego fałszu /w słowach i czynach/ jest niezwykle istotną cechą reżimów faszystowskich wszelkiego rodzaju i zabarwienia".

Testament polityczny powinien wszakże zwracać się ku przyszłości. W tym względzie - obok rozpaczy z powodu aktualnej sytuacji - Bucharin żywił zapewne nadzieję, że przyszłe wydarzenia przyjmą szczęśliwszy obrót. Z Europy wracał w dwójnasób przeświadczony o stabilności hitlerowskich Niemiec i niebezpieczeństwie, jakie z ich strony zagraża, a także o konieczności proangielskiej orientacji radzieckiej dyplomacji. Dawał do zrozumienia, że Stalin gotów jest już obecnie do zrezygnowania ze stanowiska antyfaszystowskiego także w polityce zagranicznej; jednakże jego "awanturnicze iluzje" nie mogą zapobiec nieuniknionemu starciu z Niemcami. Wbrew wszystkiemu, Związki Radzieckie są sędzone jest wystąpić w charakterze siły walczącej "przeciwko faszystowskiej wojnie i faszystowskiej kontrrewolucji". W zbliżającym się "wielkim, historycznym dramacie", każdy obywatel radziecki powinien zachować wierność socjalizmowi i wiarę w jego przyszłe zwycięstwo w Związku Radzieckim; zwycięstwo, któremu - jak zapewne nadal sądził Bucharin - stalinizm nie może zaszkodzić.

Reżymy typu stalinowskiego - wynikało z tekstu Bucharina - są z góry skazane, jak wszystkie "paradoksy historii". Opierają się one na "ideologii nienawiści do mas /.../ masy to dla nich - «Untermenschen», «podludzie», «druga kategoria», ale "masy już wkroczyły na scenę historii i nie ma sposobu na to, aby całkowicie zepchnąć je do podziemi". Dlatego też reżymy takie muszą "tworzyć złudzenie udziału mas w sprawowaniu władzy /.../ jednakże byłoby rzeczą nader krótkowzroczną nie dostrzegać historycznych granic tego zorganizowanego oszustwa /.../ wcześniej czy później oszustwo to musi się ujawnić". Rewolucja rosyjska zbudowała "podwaliny socjalizmu" i spowodowała ogromne zmiany "w całej strukturze wewnętrznej kraju i w jego życiu". Mimo reżimu stalinowskiego prości ludzie osiągnęli już dojrzałość polityczną, ekonomiczną i kulturalną, przestają być zwykłymi "instrumenta vocalia" /jak zwano w Rzymie niewolników/, stają się "świadomą masą świadomych ludzi". Stanowi to gwarancję socjalizmu, albowiem "żywą historię" tworzą "żywi ludzie, miliony owych żywych ludzi".

Wiedząc, że wkrótce zginie, Bucharin zachował wiarę w lud i historię. Jak powiedział do Nikołajewskiego: "Człowieka ratuje wiara, że rozwój zawsze postępuje do przodu /.../ jak

strumień /.../ Płynie w miejscach najbardziej niedogodnych, a mimo wszystko przebija sobie drogę do przodu /.../ Również lud rośnie, męziejnie i buduje nowe społeczeństwo".

PRZYGRYWKA

Proces Zinowiewa, Kamieniewa i czternastu współoskarżonych rozpoczął się 19 sierpnia i wkrótce nie było wątpliwości, że - poza siedzącymi na ławie podsądnych - Stalin wybrał już nowe ofiary. Oskarżeni - dobrze poinstruowani przez oficerów śledczych - natychmiast złożyli zeznania obciążające Bucharina, Rykova /7/, Tomskiego i wielu byłych trockistów o dokonanie "przestępstw kontrrewolucyjnych". 21 sierpnia stalinowski prokurator Wyszyński, manipulując w sądzie odpowiednio wyreżyserowanym przyznaniem się do winy podsądnych, powiadomił o rozpoczęciu śledztwa w sprawie Bucharina i innych osób, skompromitowanych zeznaniami oskarżonych.

Kiedy Tomski - były przywódca radzieckich związków zawodowych i wciąż jeszcze kandydat na członka KC - przeczytał o tym nazajutrz w gazecie, popełnił samobójstwo. Postanowił uniknąć zniewag i poniżenia, których ofiarami byli Zinowiew i Kamieniew. Jak pisał przebywający za granicą jego przyjaciel: wybrał "godną śmierć". W dniu 24 sierpnia wszystkich szesnastu oskarżonych w procesie Zinowiewa uznano za winnych i po kilku dniach rozstrzelano. Tymczasem prasa nieustannie drukowała "żądania ludzi pracy" domagających się pełnego ujawnienia kontaktów Bucharina "z fizycznie unicestwionymi dwulicowcami, mordercami i szpiegami, zażartymi wrogami klasy robotniczej".

Przeciwnicy terroru w Biurze Politycznym, przede wszystkim Ordżonikadze /8/, a prawdopodobnie także Kosior, Czubar i Paweł Postyszew, podjęli ostatnią próbę przeciwstawienia się Stalinowi. W swoim czasie wyrazili zapewne niechętnie zgodę na proces Kamieniewa i Zinowiewa, dwukrotnie już skazanych na karę więzienia, ponieważ Stalin obiecał, że podsądni nie zostaną rozstrzelani. Cynicznie oszukani, postanowili ratować Bucharina i Rykova, którzy byli ludźmi znacznie bardziej popularnymi i mieli większe znaczenie polityczne. Na przełomie sierpnia i września, podczas kilku posiedzeń kierownictwa /być może KC, najprawdopodobniej jednak Biura Politycznego/ doprowadzili do podjęcia pewnych ważnych decyzji. W czasie jednego z posiedzeń sankcjonowano - jak się wydaje - ingerencję Związku Radzieckiego w wojnę domową w Hiszpanii; decyzją następnego przerwano śledztwo w sprawie Bucharina i Rykova. 10 września "Prawda" ogłosiła, że resort Wyszyńskiego zamyka tę sprawę z "braku przesłanek prawnych".

Aczkolwiek Bucharin pozostawał na wolności i mógł nawet swobodnie podróżować po kraju, należy wątpić czy ów okres wytchnienia był dlań pocieszający. Wiedziak naturalnie, że jest pierwszy wśród tych, których - jak wiele lat później pisał poeta Jewtuszenko - "nazaczył wyrok śmierci, jak białe krzyże na drzwiach hugonotów". Wprawdzie do 16 stycznia 1937 roku był formalnie redaktorem "Izwestij", jednakże utracił kontrolę nad gazetą /najprawdopodobniej w sierpniu/ i już jej nie odzy-

skał /9/.

Intrygi stalinowskie nie ustały wraz z zakończeniem ślewa. Pod koniec września Stalinowi udało się usunąć szefa NKWD, Jagodę - jego związki z bucharinowcami w latach 1928-1929 stanowiły pewien hamulec w skierowanej przeciw nim akcji przesładowań; Jagodę zastąpił zwolennikiem terronu - Jeżowem. On właśnie miał być realizatorem frontalnego ataku sekretarza generalnego na partię w latach 1937-1938.

Nominacja Jeżowa przyspieszyła przygotowania do drugiego pokazowego procesu starych bolszewików; tym razem wśród oskarżonych znaleźli się przyjaciele Bucharina - Piatakow i Radek /10/. Im również zarzucano działalność szpiegowską i dywersyjną.

Wokół Bucharina panowała teraz atmosfera "niesłabnącego terronu", którą kierował genialny specjalista "od dozowania" /tzn. Stalin - przyp. red./. Kiedy 7 listopada Bucharin wraz z żoną oglądali odbywające się uroczystości nie z trybuny honorowej na Mauzoleum, przeznaczonej dla władz wyższych, lecz z miejsc dla publiczności, podszedł do nich wartownik. Żona Bucharina opowiadała o tym wydarzeniu: "Byłam przekonana, że powie N.I., aby opuścił to miejsce lub że przyszedł go zaaresztować, jednakże wartownik zasalutował i rzekł: «Towarzyszu Bucharin, towarzysz Stalin prosił, by wam przekazać, że zajmujecie niewłaściwe miejsce, prosi, byście weszli na Mauzoleum». Ale już po upływie miesiąca Bucharina nie włączono w skład komisji mającej się zająć opracowaniem ostatecznej wersji konstytucji i prasa ponownie czyniła aluzje na temat związku łączącego go z "wrogami ludu".

Proces Piatakowa, Sokolnikowa, Radka i czteremastu innych oskarżonych rozpoczął się 23 stycznia 1937 roku. Posađni, podobnie jak ich poprzednicy, natychmiast złożyli z góry wyreżyserowane zeznania demaskujące Bucharina i Rykowa; tym razem zarzucano im działalność dywersyjną i zdradę ojczyzny oraz udział w dokonywaniu zabójstw. Po siedemnastu dniach kłamliwych oskarżeń oraz fanatycznych samooskarżeń, sąd uznał winę wszystkich oskarżonych i ogłosił wyrok - tylko Radek, Sokolnikow i dwie inne osoby nie zostały /na razie/ skazane na śmierć.

W ciągu kilku następnych tygodni wielu wybitnych zwolenników Bucharina "poddano odpowiedniej obróbce" w lochach NKWD, a ich zeznania przekazano Bucharinowi. Był to rodzaj "moralnej tortury". Będąc już prawdopodobnie jeńcem w własnym /kremlofskim/ mieszkaniu, rozpoczął głodówkę. Ów rozpaczliwy akt protestu miał podtrzymać na duchu przeciwników terronu zasiadających w KC, przygotowujących się do obrony tej ostatniej pozycji.

DECYDUJĄCE STARCIE

Było to najbardziej znaczące plenum Komitetu Centralnego od 1917 roku. Zwołano je na 23 lutego 1937 roku. Przeciwnicy terronu zdawali sobie sprawę, że aby mu zapobiec nie mogą

dopuszczyć do usunięcia z partii i aresztowania Bucharina, co wciąż jeszcze leżało w gestii KC. Gdyby napiętnowano go jako wroga narodu, nikt inny nie mógłby się czuć bezpieczny.

Z tego samego względu również Stalin starannie przygotował się do decydującego starcia. Na pięć dni wcześniej najbardziej wpływowi dotąd przeciwnik terroru, Ordżonikidze, został zgładzony lub zmuszony do samobójstwa. Tak więc po rozpoczęciu plenum znacznie mniej liczna frakcja liberalna musiała walczyć o wpływ na zastraszoną większość KC z wyraźnie ośmielonymi stalinowcami. Planowano przedyskutowanie kilku spraw, jednakże "w rzeczywistości na porządku dnia znajdował się tylko jeden punkt - usunięcie z partii Bucharina i Rykowa". Obaj byli jeszcze kandydatami na członków KC i brali udział w toczących się obradach plenarnych.

Po wręczeniu delegatom przygotowanych przez NKWD materiałów dotyczących sprawy Bucharina i Rykowa, Stalin oraz jego zausznicy zażądali ich aresztowania jako "najemnych zbrodniarzy, sabotażystów i dywersantów, pozostających w służbie faszystwu". Stalin wraz ze swymi sojusznikami dowodzili, że wysunięta przezeń dziesięć lat temu teza o zaostrożeniu się walki klasowej w miarę zbliżania się do socjalizmu, znajduje wymowne potwierdzenie w zdemaskowaniu owych spiskowców, "zaszkaniających się legitymacją partyjną i podających się za bolszewików".

Żądanie, aby Bucharin przyznał się do winy spowodowało godny odnotowania dialog między nim a Mołotowem. Bucharin: "Nie jestem ani Zinowiewem, ani Kamieniewem i szkalować sam siebie nie będę". Mołotow: "Jeżeli się nie przyznacie, dacie tym dowód, że rzeczywiście jesteście faszystowskim najmitą; toć przecież piszą oni w swojej prasie, że nasze procesy są prowokacją. Zresztą aresztujemy was - to się przyznacie".

Wiedząc, że nie uniknie aresztowania, po powrocie z obrad plenum do domu, Bucharin napisał list - "Do przyszłego pokolenia przywódców partii" - i poprosił żonę, by nauczyła się go na pamięć.

"Czuję się absolutnie bezbronny - pisał - w konfrontacji z piekielną machiną, dysponującą gigantyczną siłą, fabrykującą fałszywe oskarżenia, działającą bez żadnych hamulców, z absolutną pewnością siebie". Stalinowskie NKWD - kontynuował - to "zwyczajna organizacja bezideowych, zdemoralizowanych, dobrze wynagradzanych urzędników, którzy wykorzystują dawny autorytet CzK /.../ zaspokajając chorobliwą podejrzliwość Stalina /.../ każdego członka KC, każdego członka partii owe «cudotwórcze organy» mogą zetrzeć w pył, zrobić z niego zdrającą, terrorystę, dywersanta, szpiega".

Bucharin oświadczał, że jest całkowicie niewinny, że nazwanie go wrogiem rewolucji i agentem kapitalizmu brzmi równie absurdalnie, jak np. stwierdzenie, iż ostatni car "całe swoje życie poświęcił walce z kapitalizmem i monarchią, walce o rewolucję proletariacką". Zwracał się do przyszłych przywódców partii, "których historyczną misją jest rozwikłanie tego przerażającego splotu przestępstw, coraz bardziej ogromniejszego w tych strasznych dniach, rozprzestrzeniającego się jak ogień i

unicestwiającego partię /.../ W owych, być może ostatnich dniach mego życia, jestem przekonany, że wcześniej czy później historia oczyści mnie z tego błota /.../ Proszę nowe, młode i uczciwe pokolenie przywódców partii, aby odczytali mój list na posiedzeniu plenarnym, zrehabilitowali mnie i przywrócili członkostwo partyjne. Wiedźcie, towarzysze, że na sztandarze, który będziecie nieśli w marszu do komunizmu, jest również kropla mojej krwi".

Kiedy plenum wznowiło obrady, Bucharin odczytał ostre, emocjonalnie sformułowane oświadczenie w imieniu własnym i Rykowa. Według wieści krążących po Moskwie, których większość znajduje potwierdzenie w innych źródłach, Bucharin przyznał, że istotnie istnieje "potworny spisek", ale kierują nim Stalin i Jeżow, dążący do wprowadzenia własnej dyktatury, opartej na policyjnej władzy "nad partią i krajem /.../ Oto dlaczego trzeba nas zniszczyć". Zwracając się do Stalina oświadczył: "Zmusiliście starych członków partii do złożenia «ezenań» wymuszonych terrorem i torturami o niespotykanej dotąd skali /.../ Dysponujecie całą armią płatnych donosicieli /.../ Krew Bucharina i Rykowa jest wam potrzebna po to, aby dokonać przewrotu, który zaplanowaliście już dawno".

Podkreślając, że nie chodzi w tym wypadku o jego własny los, lecz o losy kraju, Bucharin wzywał członków KC, aby "powrócili do leninowskich tradycji i przywołali do porządku policyjnych spiskowców, zasłaniających się autorytetem partii. Krajem rządzi nie partia, lecz NKWD. To nie zwolennicy Bucharina przygotowują przewrót, lecz NKWD".

Kiedy zajął zbadania działalności NKWD, Stalin wtrącił: "No właśnie, jak cię już tam pošlemy, to się dowiesz".

Sytuacja była oczywista i wówczas w imieniu przeciwników terroru zabrał głos kandydat na członka Biura Politycznego, Fostyszew: "Osobiście nie mogę uwierzyć, aby /.../ uczciwy członek partii, mający za sobą drugą drogę nieugiętej walki z wrogiem, walki o partię i socjalizm, stanął teraz po stronie wroga. Nie mogę w to uwierzyć". W tym momencie, jak powiadają, Stalin mu przerwał w tonie tak groźnym, że z determinacji Fostyszewa nie zostało śladu. I on sam, i inni mówcy - podziеляjący dotąd jego pogląd - zaczęli się wycofywać, weryfikować swoje dotychczasowe stanowisko /choć uczynili to zapewne nie wszyscy/. Wówczas Stalin widząc, że ma całkowitą przewagę, zastosował swoją słynną taktykę: stwarzając pozory własnej neutralności pozostawił rozprawienie się z Bucharinem i Rykowem swoim pomocnikom od spraw terroru i wyznaczył komisję, która miała zadecydować o ich losie. Wiodącą rolę odgrywali w niej właśnie ci jego zausznicy.

"ZAARESZTOWAĆ I ROZSTRZELAĆ!"

Komisja ogłosiła swój werdykt na posiedzeniu Komitetu Centralnego w dniu 27 lutego: "Zaareztować, postawić przed sądem, rozstrzelać". Został on zaakceptowany przez większość kandydatów na członków i członków KC, a w ciągu najbliższych

Miesiący 70 proc. z nich zginęło. Bucharin i Rykow zostali od razu aresztowani na sali obrad i przewiezieni na Łubiankę. Po upływie trzynastu miesięcy wystąpili w charakterze głównych oskarżonych na ostatnim i najważniejszym spośród moskiewskich procesów pokazowych.

Niekiedy historia pamięta postacie odgrywające w niej główne role wcale nie z tego powodu, który zasługuje na utrwalenie. Przez wiele lat po śmierci Bucharin kojarzył się zachodniej świadomości politycznej nie z rolą, jaką odgrywał w partii bolszewickiej i radzieckiej historii, a niemal wyłącznie z owym pokazowym procesem z 1938 roku.

Można zrozumieć makabryczną siłę przyciągania, jaką miało widowisko oczerniania jednego z najwybitniejszych twórców republiki radzieckiej i stracenie go jako jej "śmiertelnego wroga". Wrażenie, jakie czyniło to widowisko pogłębiało jeszcze bardziej rozpowszechnione błędne przeświadczenie, jakoby Bucharin chętnie przyszedł się do popełnienia potwornych, niewyobrażalnych przestępstw, wyrzekł się własnych poglądów, wyraził skruchę z powodu swojej walki ze stalinizmem, aby oddać "ostatnią przysługę" partii i jej nieomyślności.

Przeświadczenie takie kształtowała błędna interpretacja zachowania się Bucharina podczas procesu, bardzo popularna zwłaszcza po opublikowaniu w 1940 roku słynnej powieści Artura Koestlera "Ciemność w południe". Zmyślony bohater powieści - Rubaszow, stary bolszewik, który padł ofiarą czystek /w istocie obdarzony wieloma cechami upodobniającymi go do Bucharina/, czyni zadość namowom oficera śledczego /i własnym przemysleniom/, przekonującego go o konieczności przyznania się do winy i słuszności oddania w ten sposób partii "ostatniej przysługi". Głównie sugestywność artystyczna powieści Koestlera spowodowała, że postać Bucharina-Rubaszowa - bolszewika wyrażającego skruchę i inteligenta, który poniósł klęskę moralną - przez dwa pokolenia funkcjonowała w wyobraźni historycznej. W rzeczywistości jednak /jak wiedzieli niektórzy już wówczas, i jak w końcu zrozumiało wielu innych/ Bucharin wcale nie przyszedł się do popełnienia przypisywanych mu przestępstw.

Jego zachowanie w sądzie należy rozważać z uwzględnieniem politycznego znaczenia samego procesu i trudnych decyzji, które musiał podejmować w czasie rocznego śledztwa. Jedenastodniowa parodia rozprawy sądowej była w pewnym sensie po prostu poszerzonym wariantem dwóch poprzednich procesów moskiewskich.

Rozprawa rozpoczęła się 2 marca 1938 roku, w specjalnie przygotowanej do tego celu sali Oktiabrskiej w Domu Związków /dawnej siedzibie Zgromadzenia Szlacheckiego/, w obecności trzyosobowego trybunału Izby Wojskowej Sądu Najwyższego. Role wodzące: przewodniczącego i prokuratora, ponownie przypadły ohydnyim postaciom - Ulrichowi i Wyszyńskiemu, nadającym terrorowi stalinowskiemu formę prawną. Eoza Bucharinem i Rykowem na ławie oskarżonych znajdowało się dziesiętnastu oskarżonych, m.in. usunięty szef służby bezpieczeństwa Jagoda, znani bolszewicy i byli trockiści Nikołaj Krestinski oraz Christian Rakowski, pięciu komisarzy ludowych /tj. ministrów/ i "kapitałów" zarządzających poprzednio przemysłem /nie zamieszanych w

żadną działalność opozycyjną/ oraz trzech działaczy szczebla republikańskiego i ogólnopanstwowego. Pozostali nie odgrywali żadnej większej roli politycznej i byli jakoby tylko narzędziem w ręku spiskowców: agronom, działacz związków zawodowych /pracujący poprzednio w Berlinie/, osobiści sekretarze Jagody oraz nieżyjący Gorkiego i Kujbyszewa, a także trzech bardzo leciwych kremlowskich lekarzy. Torturami zmuszono ich do zeznań, które posłużyły do spreparowania absolutnie niewiarygodnego aktu oskarżenia. Wszystko zostało doskonale wyreżyserowane, w tym także sposób zachowania się około trzystu widzów; z wyjątkiem korespondentów zagranicznych i kilku cudzoziemców-dyplomatów, niemal wszyscy byli funkcjonariuszami służby bezpieczeństwa, mającymi za zadanie udawać oburzonych obywateli.

Jednakże proces ten w istotny sposób różnił się od poprzednich, z uwagi na jego skalę i cel polityczny. Według aktu oskarżenia /przygotowanego pod osobistym nadzorem Stalina, który potem obserwował przebieg rozprawy przez zasłonięte okienko w górnej części sali/, podsądni brali udział w rozgąszczonym spisku przestępczym, obejmującym dosłownie wszystkich byłych i aktualnych opozycjonistów czy też tych, którzy w minimalnych chociażby stopniu odstępowali od oficjalnego stanowiska. Przywódcami jego byli prawicowi bolszewicy na czele z Bucharinem oraz lewicowi bolszewicy, kierowani z zagranicy przez deportowanego Trockiego. Dzięki temu pomysłowi do jednego worka wrzucono reprezentantów różnych odcieni bolszewizmu i nadano procesowi oficjalną nazwę: "Sprawa antysowieckiego bloku prawicowo-trockistowskiego".

AKT OSKARŻENIA

Akt oskarżenia czynił podsądnych odpowiedzialnymi nie tylko za najprzeróżniejsze akcje terrorystyczne i dywersyjne oraz szpiegostwo /co zarzucano także oskarżonym w poprzednich procesach/, lecz również za jeszcze bardziej potworne przestępstwa, jak np. uwieńczony sukcesem spisek mający na celu zabójstwo m.in. Kujbyszewa i Gorkiego, czy bezowocne plany zamachu na Stalina oraz "jego wspaniałych towarzyszy walki", osłabienie siły obronnej Związku Radzieckiego i otwarcie granic kraju dla Niemiec oraz Japonii, oddanie części terytorium radzieckiego różnym obcym mocarstwom, sabotaż gospodarczy i restaurowanie kapitalizmu.

Każdy z punktów aktu oskarżenia miał spełniać określony cel. Jedne przypisywały rywalom Stalina przestępstwa, o których popełnienie on sam był podejrzany /np. zabójstwo Kirowa/. Inne wyraźnie sfabrykowano po to, aby winę za kolosalne błędy rządów stalinowskich po 1929 roku zrzucić na kogoś innego /np. zarzut, że Bucharin i współoskarżeni organizowali powstania kułackie oraz truli bydło w czasie kolektywizacji; zawiązali spisek mający za zadanie pozabawienie ludności miejskiej artykułów żywnościowych, m.in. polecili swoim agentom sypać rozbite szkło do żywności/. Jednakże podstawowym celem oskarżeń i w ogóle całego procesu było zdyskredytowa-

nie i potępienie na zawsze wszystkich koncepcji antystalinowskich, całego dawnego kierownictwa bolszewickiego - z wyjątkiem Stalina /i - niechętnie - Lenina/ - jako "smrodliwego pomiotu ludzkiego", to jest, w istocie rzeczy, ponura koronacja Stalina i stalinizmu.

Słowa wypowiedziane przez Stalina na temat aresztowania Bucharina w 1937 roku, przekształcone zostały /przez rezonator - prokuratora Wyszyńskiego/ podczas owej rozprawy w oskarżenie polityczne: "Historyczne znaczenie procesu polega przede wszystkim na tym, że na procesie tym /.../ dowiedziono /.../ iż prawica, trockiści, mienszewicy, eserowcy, burżuazyjni nacjonalisci itd., itp. są niczym innym, tylko pozbawioną zasad, bezideową /.../ bandą morderców, szpiegów, dywersantów i sabotażystów /.../ Trockiści i bucharinowcy, tj. »blok prawicowo-trockistowski« /.../ to nie żadna partia polityczna czy prąd polityczny, to banda przestępców kryminalnych, na dodatek nie zwykłych przestępców kryminalnych, lecz przestępców zaprzędanych obcemu wywiadowi, przestępców, którymi gardzą nawet kryminalisci, jako najgorszymi, najostatniejszymi, najbardziej zdeprawowanymi spośród zdeprawowanych".

Zgodnie z planem Stalina, Bucharin miał odegrać główną rolę, dostarczając dowodów potwierdzających oskarżenia skierowane przeciwko starym bolszewikom. Był on największym symbolem bolszewizmu przedstalinowskiego i jednym z najwybitniejszych przywódców partii, którzy stanęli przed sądem /Trockiego sądzono i skazano zaocznie/, dlatego też członkowie partii i świadomi rzeczy obywatele uważali go za główną postać tego procesu.

Jego wina, będąca przedmiotem ośmiusetstronicowych akt sądowych, miała symbolizować winy bolszewizmu. Według wspomnień jednego ze świadków ówczesnych wydarzeń, Bucharinowi "przypisano rolę księcia mroku /.../ to on stał za każdą zbrodnią, jego rękę czuło się w każdym spisku. Czerniając samego siebie żaden więzień nie zapominał o oczernieniu także Bucharina /.../ Dokładnie zacierano zachowane dotąd wspomnienia sławnej przeszłości".

Przy pomocy posłusznych podsądnych, Wyszyński wykorzystywał każdą okazję, aby przedstawić całą biografię polityczną byłego "ulubieńca" partii jako "szczyt przerażającej obłądy, wiarokostwa, jezuickiego zakłamania i nieludzkiej podłości". Jak dowodził prokurator, "w obłądzie i zdradzie człowiek ten prześcignął najbardziej perfidne, przerażające przestępstwa, jakie znane były w historii rodu ludzkiego". Wreszcie, wyłącznie Bucharinowi inkryminowano przestępstwo nad przestępstwami: próbę ojcobójstwa - to jest zamiar zamordowania Lenina w okresie dyskusji na temat pokoju brzeskiego w 1918 roku.

Podczas rocznego pobytu Bucharina w więzieniu, Stalin i jego aparat śledczy żądali odeń całkowitej współpracy - przyznania się do winy i aktywnego udziału w rozprawie sądowej, w tym straszliwym spektaklu. Przez cały czas trwania wielkiego terroru, w ogóle do chwili śmierci Stalina, domagano się tego od tysięcy równie niewinnych więźniów. Dla nikogo nie jest już

tajemnicą, dlaczego tak wielu spośród nich do wszystkiego się przyznawało. Już przed rokiem 1937 w radzieckich więzieniach politycznych powszechnie stosowano najokrutniejsze tortury, wielotygodniowe mordercze przesłuchania /"konwejer"/ i niezliczone egzekucje bez sądu. Znęcano się nad mężczyznami i kobietami, bez względu na ich wiek. Jeden z radzieckich historyków nazwał ten okres najstraszliwszą kartą historii Rosji. Wielu aresztowanych nie udało się złamać - zamęczono ich torturami lub rozstrzelano nie wydobywszy z nich przyznania się do winy. Ci, którzy "przyznali się", uczynili to ze zrozumiałego powodu - zmuszono ich torturami lub naciskiem innego rodzaju. Nie wykluczone, że niektórzy bolszewicy przyznali się do winy powodowani motywami podobnymi do tych, którymi kierował się koestlerowski Rubaszow, jednakże - jak twierdzi jedna z ocalałych ofiar tej gehenny - dla ogromnej większości mężczyzn stalinowskich katówni obraz przedstawiony w "Ciemności w południe" "byłby przedmiotem drwiny".

W ROLI SYMBOLU

W takiej właśnie atmosferze Bucharin /którego - jak powiadają - nie torturowano/ przez trzy miesiące trzymał się "niezwykle stanowczo", mimo nieustannych pogroźek i przesłuchań, którymi w myśl wskazań Stalina kierował Jeżow. W końcu - około 2 czerwca - poddał się "pod groźbą śledczego, że zlikwiduje jego żonę i nowo narodzonego syna". Nie była to czcza pogroźka. Bardzo często aresztowano i przetrzymywano w charakterze zakładników "żony wrogów ludu" wraz z dziećmi /zwłaszcza gdy sprawa dotyczyła wybitnych bolszewików, którym zamierzano wytoczyć procesy pokazowe/, skazywano je na wieloletnie więzienie lub rozstrzeliwano.

W czerwcu 1937 roku żonę Bucharina, wraz z rodzinami innych więźniów politycznych, zesłano do Astrachania. Aby uratować ją i tylko co urodzonego syna /następne dwadzieścia lat spędziła w obozach, a syn wychowywał się u przybranych rodziców i w domach dziecka/, zmuszony był "przyznać się" do winy i uczynić to podczas rozprawy sądowej.

Istniał też /lub wkrótce się pojawił/ jeszcze jeden powód wystąpienia Bucharina w sądzie. Sprawa uratowania własnego życia nie odgrywała tu żadnej roli. Dobrze wiedział, że bez względu na to jak się zachowa - dobrze czy źle odegra zleconą mu rolę - i tak zostanie rozstrzelany, z wyroku sądu czy też bez wyroku, albowiem było to przewidziane w stalinowskim scenariuszu. Tak więc - jak starał się pośrednio wytłumaczyć podczas rozprawy - zadał sobie pytanie: "»Jeżeli masz umrzeć, to w imię czego umrzesz?« I wówczas nagle zobaczył przed sobą przerażająco wyraźnie absolutną, czarną pustkę". Zrozumiał, że rozprawa sądowa jest ostatnią okazją publicznego wystąpienia i nadania własnej śmierci jakiegoś sensu, istotnego dla niego i innych. Podejmuje się zatem roli symbolizującej wszystkich bolszewików: "ponoszą odpowiedzialność za blok", tj. za bolszewizm. Wykorzysta każdą nadarzącą się okazję podczas rozprawy sądowej, aby /po raz ostat-

ni, stosując przenośnię/ nadać swej roli sens i "znaczenie historyczne" odmienne od tych, które wyznaczył jej Stalin.

Jak utrzymuje jeden z autorów, bucharinowski plan polegał na tym, aby przekształcić swój proces w sąd nad stalinowskim reżimem /praktyki takie były dobrze znane rosyjskim rewolucjonistom/, a własny akt oskarżenia - w akt oskarżenia Stalina jako kata bolszewizmu. Reasumując - przyjęta przezeń taktyka polegała na tym, że weźmie na siebie całą "odpowiedzialność polityczną" za wszystko, ratując w ten sposób rodzinę i zwracając uwagę na symboliczny charakter roli, w jakiej przyszedł mu wystąpić, a jednocześnie będzie kategorycznie zaprzeczać lub wyrafinowanie obalać swój związek z jakimkolwiek konkretnym przestępstwem; wówczas wszyscy "zainteresowani" doskonale zrozumieją rzeczywisty sens polityczny oskarżeń. Sąd stalinowski automatycznie uzna go za winnego. Ale podczas procesu on, Bucharin, będzie składał zeznania przeznaczone dla innego, nadzwanego sądu, sądu historii i "przyszłego pokolenia", do którego adresował swój ostatni list. Jak powiedział podczas rozprawy: "Historia świata jest światowym sądem" i tylko jego werdykt ma znaczenie.

Ze stalinowskiego punktu widzenia ewentualne ryzyko związane z umożliwieniem Bucharinowi ostatniego publicznego wystąpienia równoważyła zapewne okoliczność, że bez niego zaplanowany proces nie miałby większego sensu. Dlatego też "przygotowanie" Bucharina do udziału w rozprawie sądowej przekształciło się w serię długich i męczących pertraktacji. Spoztrzegłszy poprawki Stalina w treści pierwszej wersji swego przyznania się do winy, uzgodnionej w czerwcu z Jeżowem i stalinowskim emisariuszem Woroszyłowem, Bucharin odwołał ją. Funkcjonariusze śledczy musieli rozpocząć wszystko od początku, pracowali "dzień i noc". Nawet w przeddzień rozprawy wprowadzano jeszcze zmiany do końcowej wersji scenariusza.

Przez cały ten czas agenci stalinowscy starali się zapobiec nieprzewidzianym posunięciom Bucharina. Usiłując na przykład rozwiać wszelkie nadzieje, iż uda mu się w jakiś tajemniczy sposób zwrócić uwagę na bezsensowność ciężących nań oskarżeń, pokazali mu wydaną niedawno książkę Liona Feuchtwangera: /"Moskwa 1937" - przyp. red./, w której pisał o swoich wrażeniach z procesu w 1937 roku i przeświadczeniu o słuszności oskarżeń oraz wiarygodności przyznania się podsądnych do winy. Jednakże najmocniejszym atutem stalinowskim - w ciągu całego śledztwa i podczas rozprawy - był los rodziny Bucharina. Mimo to kategorycznie odmówił on przyznania się do pewnych oskarżeń, zwłaszcza działalności szpiegowskiej i próby zamordowania Lenina, albowiem pozostawały one w sprzeczności z jego zamiarem wystąpienia przed sądem w charakterze bolszewika-symbolu. Tymczasem przygotowywał się w więzieniu do rozprawy, starał się zachować trzeźwość umysłu, pracował. /Bucharin pisał w więzieniu książkę "O naturze człowieka". Nie wiadomo, czy jej rękopis się zachował. - przyp. red./

PROCES I WYROK

Proces rozpoczął się w oślepiającym blasku reflektorów, rankiem 2 marca. Od razu stało się jasne, że Wyszyński chce odwiec składanie zeznań przez głównego oskarżonego tak długo, jak to tylko będzie możliwe; miał ku temu wiele powodów. Trzy dni zajęło mu reżyserowanie zeznań innych podsądnych, oskarżających samych siebie i piętnujących Bucharina. Jak wspomina jeden z obecnych na procesie, dopóki "Bucharin nie brał żadnego udziału w postępowaniu dowodowym", wszystko toczyło się według planu. Kiedy jednak umożliwiono mu zabranie głosu - podczas krzyżowych pytań, które zadawał świadkom oskarżenia i innym podsądnym, podczas przesłuchiwania go przez Wyszyńskiego w dniach 5 i 7 marca i w ostatnim słowie w dniu 12 marca - "sprawa nie potoczyła się tak gładko". Stosując oszałamiającą ilość przenośni, wybiegów, zakodowanych określeń, zawołanych aluzji, kombinacji logicznych i kategori- cznych sprostowań, Bucharin nieustannie przejmował inicjatywę od Wyszyńskiego, coraz bardziej zbijając go z tropu i nie pozostawiał kamienia na kamieniu z oskarżeń rzeczywistego prokuratora - Stalina.

Strategia Bucharina stała się oczywista w momencie, kiedy zaczęto go przesłuchiwać: "Czuję się winny /.../ wszystkich przestępstw dokonanych przez tę kontrrewolucyjną organizację, niezależnie od tego, czy wiedziałem o nich, czy też nie, czy orałem, czy nie brałem bezpośredniego udziału w tym lub innym czynie". Na wypadek, że ktoś mógł nie spostrzec, iż druga część owego oświadczenia podkreśla nonsensowność pierwszej, Bucharin później jeszcze raz pozbawił jakiegokolwiek wartości swoje przyznanie się do winy stwierdzeniem: "Przyznanie się oskarżonych to średniowieczna zasada prawa". Podczas trwania procesu przyznawał /aby ratować rodzinę/ własną niedorzeczną odpowiedzialność za "wszystkie przestępstwa bloku", jednocześnie jednak w różny sposób negował swój udział w którymkolwiek z nich konkretnie. Jak wynika z przytoczonego niżej dialogu /11/ najbardziej nonsensowne oskarżenia odrzucał natychmiast.

Wyszyński: Z nim /oskarżonym Ikramowem/ także rozmawialiście o sabotażu?

Bucharin: Nie, nie rozmawiałem.

Wyszyński: A w latach późniejszych rozmawialiście z Ikramowem o sabotażu i dywersji?

Bucharin: Nie, nie rozmawiałem.

/.../

Wyszyński: Powtarzam, opowiedzcie o związku łączącym waszą grupę spiskowców z kołami białogwardzistowskimi za granicą i z faszystami niemieckimi /.../

Bucharin: Nic o tym nie wiem. W każdym razie nie pamiętam.

/.../

Wyszyński: Oskarżony Bucharin, przyznajecie się do działalności szpiegowskiej?

Bucharin: Nie przyznaję się.

Wyszyński: A co mówi Rykow, co mówi Szarangowicz?

Bucharin: Ja się nie przyznaję.

/.../

Wyszyński: Pytam raz jeszcze, na podstawie tego, co zeznано tu przeciwko wam: czy nie chcecie przyznać przed radzieckim sądem, jaki wywiad was zwerbował - angielski, niemiecki czy japoński?

Bucharin: Żaden.

Wyszyński: A w sprawie zabójstwa towarzyszy Stalina, Lenina i Swierdłowa?

Bucharin: W żadnym wypadku.

Wyszyński: Istniał plan zamordowania Władimira Iljicza?

Bucharin: Zaprzeczam.

/.../

Bucharin: Kategoriecznie zaprzeczam, jakobym brał jakikolwiek udział w zamordowaniu Kirowa, Menżynskiego, Kujbyszewa, Gorkiego i Maksima Pieszkowa.

Niektóre oskarżenia i zeznania musiał obalać w sposób bardziej finezyjny. W czasie krzyżowego przesłuchania jednego z podsądnych, którego zeznania inkryminowały Bucharinowi udział w działalności dywersyjnej, zmusił go do podania dat - pozostawały one w sprzeczności z aktem oskarżenia. Natomiast o oskarżonych Iwanowie i Szarangowiczu, przysięgających, że Bucharin kierował dokonywanymi przez nich aktami sabotażu, powiedział, iż są to po prostu "dwaj prowokatorzy".

Pewnego razu z więziennej katowni doprowadzono "dziwnego, podobnego do trupa" świadka, starego eserowca Władimira Karelina, aby złożył zeznanie na temat spisku, mającego na celu zgładzenie Lenina. Gdy Wyszyński zapytał, czy zna tego świadka, Bucharin zrezygnując napomknął, że człowiek ów załamał się podczas tortur: "zmienił się tak bardzo, iż nie mógłbym powiedzieć, że jest to Karelin".

W innym wypadku podważył najistotniejszy punkt oskarżenia - wersję spisku, na której opierał się cały proces, twierdząc, że nigdy nie widział, ani nie słyszał o pięciu spośród rzekomych współspiskowców, a przecież "członkowie bandy rozbójników powinni się znać nawzajem, jeżeli mają być bandą". Uczynił też uwagę na temat tego, co Wyszyński "nazywa logiką": "to właśnie to, co w elementarnej logice nazywa się tautologią, to jest uznanie za udowodnione tego, co należy udowodnić".

Głównym celem Bucharina było uratowanie historycznej spuścizny bolszewizmu drogą obalenia aktu oskarżenia. Chciał także wykorzystać swoje zeznania podczas rozprawy, aby przekazać ostatnie polityczne oświadczenie, dotyczące dwóch najważniejszych

problemów, w których obliczu stoi kraj - wojny z Niemcami i ponownego stalinowskiego terroru. Oskarżyciel z aprobatą przyjął jego komentarze na temat pierwszego punktu, tak że w tym wypadku nie napotkał trudności. "Z przypadkowych strzępów informacji o aktualnych wydarzeniach", które docierały do celi, Bucharin mógł wywnioskować, że kryzys w Europie pogłębia się, a wybuch wojny staje się coraz bliższy. Dlatego też zabierając głos w sądzie, tak jak dawniej apelował do obywateli radzieckich, aby otrząsnęli się z defetyzmu i bronił Związku Radzieckiego, będącego "wielkim, potężnym czynnikiem" walki z niemieckim faszyzmem. Sprawa wyboru między stalinowską Rosją a hitlerowskimi Niemcami stawała się zupełnie jednoznaczna.

Jednakże mówiąc w imieniu bolszewizmu i zwracając się do przyszłych pokoleń, Bucharin uważał za niezbędne obalenie tworzonych podczas procesu mitu, jakoby Stalin był rzeczywistym spadkobiercą, a stalinizm kulminacją rewolucji. Niejednokrotnie dawał do zrozumienia, że używane przezeń określenia: "blok antyradziecki", "organizacja kontrrewolucyjna" czy też "siły kontrrewolucyjne", w istocie rzeczy oznaczają dawny ruch bolszewicki lub partię, a "nielegalna", "podburzająca" i "spiskowa" działalność - opozycję w stosunku do Stalina lub po prostu nieoficjalne spotkania. Tak więc bez trudu udawało mu się podczas całego procesu zwracać uwagę na rzeczywisty "sens historyczny" stalinowskiej czystki, w wypadku której toczącej się właśnie proces jest zaledwie wierzchołkiem góry lodowej; polega on na zniszczeniu partii bolszewickiej, co określano jako "wewnętrzne rozbitcie sił kontrrewolucyjnych".

Znacznie trudniej było mu nakreślić prawdziwe ideały oraz program bolszewizmu, bowiem Ulrich i Wyszyński nieustannie przerywali jego dygresje na temat "ideowo-politycznych założeń przestępczego bloku prawicowo-trockistowskiego". Mimo to Bucharinowi udało się powiedzieć: "w kwestii gospodarki - kapitalizm państwowy, gospodarny chłop-rolnik indywidualny, ograniczenie kołchozów, koncesje zagraniczne, ustępstwa w dziedzinie monopolizacji handlu zagranicznego, a rezultat - kapitalizacja kraju..." Wyszyński momentalnie uniemożliwił podjętą przez Bucharina próbę "otworzenia nawiasu jednej formuły - czym jest odrodzenie się kapitalizmu", jednakże i tak była ona dostatecznie wymowna. Sam Bucharin i bolszewizm byli zwolennikami przechodzenia do socjalizmu za pośrednictwem NEP-u. Narzucona odgórnie rewolucja, "wojskowo-feudalny wyzsk chłopów" wraz z wynikającymi z nich następstwami - wszystko to nie było ani bolszewizmem, ani leninizmem, lecz stalinizmem.

W świetle powyższego trudno pojąć, że ten kto czytał codzienne relacje z sali sądowej publikowane w prasie, lub stenogram procesu wydany w wielkim nakładzie w językach obcych, mógł nie dostrzec dramatycznej walki prowadzonej przez Bucharina. Stalin i Wyszyński wiedzieli naturalnie, że kieruje się on jakimś "systemem, taktyką", że usiłuje nadać procesowi "szczególny sens". Aby uratować scenariusz procesu,

Wyszynski i Ulrich - zaniepokojeni i rozżłoszczeni jego "cyrkową akrobacją" - zastosowali wszystkie dostępne im środki zastraszenia, w pewnym momencie w ogóle zagrozili, że pozbawią go prawa głosu, jeżeli "nie zrezygnuje z określonej taktyki /.../ zaśmiania się potokiem słów, wykręcenia bronięcia, wycofywania w dziedzinę polityki, filozofii, teorii itd."

Informacje przekazywane przez świadków wydarzeń przekonywająco dowodzą, że Bucharin "walczył o swoją opinię na świecie i o swoje miejsce w historii". Miał czterdzieści dziewięć lat, ale wyglądał znacznie starszej, jego mała bródka posiwiała, z wyglądu i sposobu zachowania "był zdumiewająco podobny do Lenina". Wyszynskiego traktował z nieukrywana pogardą; "wyraźnie upajał się swoją bojowością" i "był nieustannie aktywny, wtrącał uwagi, odczytując je z notatek, które skrupulatnie prowadził podczas trwania całego procesu", pod adresem swoich oskarżycieli kierował "atakami olśniewającej logiki i potoku pogardy, wprost oszałamiające sąd". A kiedy Wyszynski zreasumował już oskarżenia /określając przy okazji Bucharina jako "przeklęte skrzyżowanie lisa ze świnią"/, wygłosił swoje ostatnie słowo. Ponownie przyznając się do przypisywanych mu win, począł następnie "kruszyć je jedną za drugą; tym razem nie przerywano mu, a Wyszynski - nie mogąc przeszkodzić - siedział w swoim fotelu niespokojny, skonfundowany i udawał, że ziewa".

Gdy Bucharin skończył mówić, amerykański korespondent zanotował: "Jeden tylko Bucharin, który wygłaszając swoje ostatnie słowo doskonale zdawał sobie sprawę, że jest skazany na śmierć, przejawiał męstwo, dumę i niemal zachwycenie. Spośród pięćdziesięciu czterech osób, które stanęły przed sądem w ciągu ostatnich trzech procesów pokazowych oskarżone o zdradę stanu, on jeden nie upokorzył się w ostatnich chwilach rozprawy /.../ W całym wystąpieniu Bucharina nie było śladu pompatyczności, sarkazmu czy taniego krasomówna. Było to wspaniałe przemówienie, ogłoszone w tonie spokojnym, pozbawionym zbędnej emocji, o ogromnej przekonywającej sile. Ostatni raz wkroczył na światową scenę, na której niejednokrotnie w przeszłości odgrywał dużą rolę, i czynił wrażenie człowieka wprost wielkiego, nie odczuwającego żadnego strachu, starającego się przekazać światu własną wersję wydarzeń".

W trzydzieści lat później amerykański specjalista napisze, że proces Bucharina, "poniżający z każdego względu, z pełnym przekonaniem można określić jako czas jego najwyższej chwały". Bucharin miał nadzieję, że właśnie taki będzie werdykt historii, wiedział też, iż sąd wyda inny wyrok. Żądanie Wyszynskiego, aby jego i innych oskarżonych rozstrzelać "jak plugawe psy" powtarzano w codziennych artykułach redakcyjnych "Prawdy" poświęconych procesowi: "Po zlikwidowaniu bez żadnej litości szpiegów i prowokatorów, sabotażystów i dywersantów, kraj radziecki jeszcze szybciej będzie kroczył drogą wytyczoną przez Stalina, jeszcze bardziej rozkwitnie socjalistyczna kultura, jeszcze radośniejsze stanie się życie ludu radzieckiego".

Zgodnie z tym żądaniem Ulrich, spędziwszy - dla stworzenia pozorów przyzwoitości - sześć godzin w pokoju obrad sądu, 13 marca, o godzinie wpół do piątej rano, wznowił rozprawę i od-

czytał wyrok: Bucharina, Rykowa i szesnastu innych oskarżonych skazano na karę śmierci przez rozstrzelanie.

W dniu 15 marca 1938 roku rząd radziecki ogłosił, że wyrok wykonano. Ponura ironia losu sprawiła, że wiadomość o śmierci Bucharina została odsunięta na dalszy plan wieścią o wtargnięciu trzy dni przed tym Hitlera do Austrii.

Nie ma wiarygodnej relacji o wykonaniu wyroku i śmierci Bucharina. Według wieści krążących po Moskwie, "Bucharin i Rykow umarli rzucając przekleństwo na Stalina. Umarli stojąc, a nie czokając się po podłodze lochu i nie prosząc ze szlachem o litość".

Nie wiadomo, czy wersja ta odpowiada prawdzie, w każdym razie była ona pocieszeniem dla tych, którzy - w Związku Radzieckim i poza jego granicami - opłakiwali śmierć Bucharina i rosyjskiego bolszewizmu.

Przypisy:

1/ Zapożyczona z powieści Jacka Londona pod tym samym tytułem metafora despotycznej władzy państwowej, omnipotencji państwa nad obywatelem i społeczeństwem.

2/ Kirow Siergiej, sekretarz Komitetu Leningradzkiego WKP(b), członek Biura Politycznego KC, sekretarz KC, zamordowany 1 grudnia 1934 r. na rozkaz Stalina w wyniku akcji spiskowej zorganizowanej przez szefa NKWD, Jagodę. Zabójstwo Kirowa potrzebne było Stalinowi jako pretekst dla uruchomienia fali terroru, która zmiotła z powierzchni ziemi wszystkich ewentualnych przeciwników jego polityki.

3/ Bucharin opublikował w "Izwestijach" trzy artykuły na temat zabójstwa Kirowa. Szczególnie interesujący jest ostatni artykuł z 22 grudnia 1934 r. Aczkolwiek musiał formalnie wspomnieć o ewentualności istnienia związku między opozycją partyjną a tym przestępstwem, w końcowej części artykułu odnajdujemy zupełnie inną nutę. Celem zabójstwa - pisał Bucharin - było niedopuszczenie do reform, zerwanie dotychczasowego "wewnętrznego kursu". Problem polega na tym, "w czym interesie" leżało to morderstwo. Być może Bucharin dowiedział się, jakie były rzeczywiste kulisy przestępstwa od szefa służby bezpieczeństwa Jagody, jednego z niewielu, którzy znali prawdę /w tym czasie zapewne pozostawał z nim jeszcze w dobrych stosunkach/.

4/ Kamieniew Lew Borisowicz, właśc. I.B. Rosenfeld, działacz rosyjskiego ruchu robotniczego, publicysta, dyplomata sowiecki. Po rewolucji członek kierownictwa partii bolszewickiej; zaliczany do tzw. nowej opozycji wraz z Zinowiewem i Trockim /1925 r./. Usunięty z partii w 1927 r.; w następnym roku przyjęty ponownie. Poseł sowiecki we Włoszech /od 1927 r./, później pierwszy dyrektor Instytutu Marksa-Engelsa-Lenina. W 1934 r. aresztowany pod zarzutem organizowania akcji

terrorystycznych, sądzony i stracony /25 VIII 1936 r./.

5/ Zinowiew Grigorij Jewsiejewicz, właśc. G.J. Radomylski, działacz rosyjskiego i międzynarodowego ruchu robotniczego. Członek kierownictwa partii bolszewickiej 1917-26, przewodniczący Komitetu Wykonawczego Międzynarodówki Komunistycznej 1919-26. Po śmierci Lenina sprzymierzył się z Trockim, przeszedł na jego pozycje /doktryna "parmanentnej rewolucji"/ i zaczął uprawiać działalność frakcyjną w partii. Aresztowany w 1934 r. pod zarzutem działalności antypaństwowej, skazany i stracony /25 VIII 1936 r./.

6/ Istniał też inny взгляд. Wprawdzie będąca w ciąży żona wyjechała za granicę razem z Bucharinem, ale jako zakładnicy pozostali: stary ojciec, pierwsza żona - Łukina, kobieta, z którą był przez pewien czas związany - Estera Guriewicz, ich córka oraz jego brat - Władimir. Troje ostatnich spędziło potem długie lata w obozach i na zesłaniu. Ojciec Bucharina zmarł na początku lat czterdziestych. Łukinę aresztowano w 1937 roku - zginęła w roku 1940. Władimir zmarł w 1979 roku.

7/ Rykow Aleksiej Iwanowicz, działacz rosyjskiego ruchu robotniczego, publicysta, członek kierownictwa partii bolszewickiej i władz państwowych. Po rewolucji październikowej ludowy komisarz spraw wewn. /1917/, przewodniczący Najwyższej Rady Gospodarki Narodowej /1918-21/, przewodniczący Rady Komisarzy Ludowych - premier rządu /1924-29/. W 1929 r. uznany wraz z Bucharinem za inicjatora i przywódcę "odchylenia prawicowego" w partii, sprzeciwiającego się przymusowej kolektywizacji i forsownej industrializacji. W 1929 r. usunięty z Biura Politycznego, KC i rządu; w 1937 r. usunięty z partii. W 1938 r. sądzony za udział w tzw. spisku prawicowo-trockistowskim, skazany i stracony /15 III 1938 r./.

8/ Ordżonikidze Grigorij pseud. Serfo, działacz rosyjskiego ruchu robotniczego, w 1917 r. jeden z organizatorów zbrojnego powstania w Piotrogradzie; od 1930 r. członek Biura Politycznego KC WKP/b/. Zajmował wiele wysokich stanowisk partyjnych i państwowych; przeciwnik stalinowskiej polityki terroru; został zmuszony przez Stalina do samobójstwa /1937/.

9/ Ostatni podpisany przez niego artykuł ukazał się 6 lipca. Ton gazety zmienił się w sposób zasadniczy podczas trwania procesu Zinowiewa, w połowie sierpnia, aczkolwiek Bucharin i jego koledzy jeszcze do końca września mogli napisać jakiś artykuł redakcyjny zawierający ostrożną krytykę stalinowskiej polityki zagranicznej. W każdym razie 7 listopada Bucharin miał jeszcze przepustkę "Izwiestij", upoważniającą do wejścia do budynku.

10/ Radek Karol, właśc. Karol Sobelson, działacz polskiego i międzynarodowego ruchu robotniczego, publicysta, od 1917 r. w partii bolszewickiej, dyplomata sowiecki /brał udział w rokowaniach pokojowych z Niemcami w 1918 r./.. W latach 1919-24 członek KC partii bolsz. i członek Prezydium Komitetu Wykonawczego Międzynarodówki Komunistycznej. Redaktor "Frawdy" i "Izwiestij". W 1927 jeden z przywódców opozycji trockistowskiej, wydalony z partii /w 1929 przyjęty ponownie/. Aresztowany w 1936 r., oskarżony o działalność antypartyjną, skazany na 10

lat więzienia w 1937 r. /przeżył w więzieniu 2 lata/.

11/ Sudiebnyj otczot po dieżu antisowietskogo "prawo-trockistskogo błoka". Połnyj tiekst stienograficzeskogo otczota, Moskwa 1938.

Stalinowski „wielki przełom” 1929 – 1939

Związek Radziecki w jego obecnej postaci /biurokratyczno-ustrojowej i militarno-przemysłowej/ został ukształtowany w procesie stalinowskiej "odgórnej rewolucji". Przybierając różne formy trwała ona całe dziesięciolecie - od początku przymusowej kolektywizacji w 1929 roku do roku 1939, kiedy to zakres krwawej, stalinowskiej czystki zaczął się zmniejszać. Według wszelkich kryteriów oceny zmian społecznych w okresie tym nastąpił kolosalny przełom, który radykalnie zmienił nie tylko ekonomiczne i socjalne podstawy społeczeństwa radzieckiego, lecz także samą istotę ustroju politycznego ZSRR.

W latach 1929-1936 - w okresie pierwszej i drugiej pięcioletki - stalinowski "wielki przełom" sprowadzał się przede wszystkim do rewolucji gospodarczej, będącej mieszaniną niewolniczego przymusu, wyjątkowego bohaterstwa, katastrofalnych pomyłek i wspaniałych sukcesów. Spośród zaplanowanych przedsięwzięć pierwszej pięcioletki tylko nieliczne zostały zrealizowane w ustalonym terminie, jednakże to, czego wówczas dokonano, utrwalone i rozwijane w drugiej pięcioletce /bardziej pragmatycznej i skromniejszej/, stało się fundamentem społeczeństwa przemysłowego. W 1937 roku poziom produkcji przemysłu ciężkiego przewyższył poziom osiągnięty w 1928 roku trzyścieciokrotnie /zależnie od zastosowanych wskaźników/: produkcja stali wzrosła czterokrotnie, węgla i cementu - ponad trzykrotnie, ropy naftowej - ponad dwukrotnie; produkcja energii elektrycznej wzrosła siedmiokrotnie. Rozbudowywano i modernizowano stare fabryki. Powstawały - często w regionach dawniej zacofanych - nowe miasta, nowe gałęzie przemysłu, elektrownie, huty. Wdrażano nowe technologie. Dwukrotnie zwiększyła się liczba robotników zatrudnionych w zakładach przemysłowych oraz ludności miejskiej. Ogólna liczba uczących się wzrosła z 12 do ponad 31 milionów. Do 1939 roku zlikwidowano analfabetyzm wśród ludności, która nie przekroczyła 50 roku życia.

Równie zdumiewające jak te osiągnięcia była koszty owego przeskoku do współczesności w dziedzinie gospodarczej. Dla entuzjastów - głównie członków partii, lecz również wielu

zwykłych obywateli - był to okres szczerego zapału, gorączkowych wysiłków i dobrowolnej ofiarności. Dla większości były to lata strachu, represji i nędzy. Wiele milionów ludzi objęły deportacje, obozy przymusowej pracy i śmierć.

Koncentracja środków w przemyśle ciężkim, likwidacja prywatnej wytwórczości i handlu, praktyczna rujnacja rolnictwa w okresie kolektywizacji, epidemia niegospodarności spowodowana fatalnym zarządzaniem i chronicznym dewastowaniem majątku trwałego, wykorzystywanie maszyn bez konserwacji i remontów aż do całkowitego zniszczenia, niewłaściwe ich użytkowanie przez niedostatecznie wykwalifikowanych robotników - wszystko to odcisnęło zgubne piętno na egzystencji społeczeństwa radzieckiego. W miastach, które przecież mniej ucierpiały, znacznemu pogorszeniu uległy warunki mieszkaniowe, a spożycie mięsa, tłuszczów i drobiu /na osobę/ wynosiło w 1932 roku zaledwie 1/3 poziomu odnotowanego w 1928 roku. Robotnicy utracili prawo zmiany miejsca pracy bez oficjalnego pozwolenia i byli surowo karani za absencję. Na początku lat trzydziestych realne płace uległy obniżeniu o około 50 proc. System kartkowy i kolejki były zwykłym zjawiskiem, prawie zupełnie zniknęły artykuły powszechnego użytku; niemal do zera ograniczono sferę usług dla ludności.

W znacznie gorszej sytuacji znalazła się wieś, poddana okrutnym represjom w okresie czteroletniej wojny domowej, określanej mianem kolektywizacji. Ofiarą wielkich rewolucji niemal z reguły pada jakaś klasa społeczna - w tym wypadku było to 25 milionów rodzin chłopskich. Większość z nich nie chciała rozstać się ze swymi małymi kawałkami gruntu, inwentarzem żywym i martwym po to, by zostać kołchoźnikami. Byli do tego zmuszani siłą przez partię-rząd, która poza przymusem podatkowym i administracyjnym nieustannie stosowała konfiskaty, masowe aresztowania, deportacje oraz zbrojne napaści z udziałem aktywistów wiejskich, przysyłanych z miast robotników, milicji, a nawet oddziałów wojskowych. Chłopi bronili się, często prowadząc zacięte boje z władzą, niekiedy wniecając masowe powstania zbrojne, na ogół jednak stosowali tradycyjną chłopską formę protestu - niszczyli plony i wyrzynali bydło.

W styczniu i lutym 1930 roku pod naciskiem poleceń Stalina oraz czystki, która dotknęła "prawicę", lokalne władze zaczęły stosować masowy terror zarówno wobec kułaków, jak też chłopów średnio- i maźorolnych. Do marca skolektywizowano połowę gospodarstw rolnych /około 10 milionów rodzin chłopskich/. Rozmiar spustoszenia zmusił jednak Stalina do zarządzenia przerwy, którą ogłosił w godnym uwagi artykule, oskarżającym lokalne władze o "przejęcia" oraz "zawrót głowy od sukcesów". Zaczęło się masowe występowanie z kołchozów - od marca do czerwca liczba gospodarstw skolektywizowanych zmniejszyła się z 57 do 23,6 proc.

Jednakże ów odwrót nastąpił zbyt późno, aby mogło to zapobiec katastrofie. Opublikowane w 1934 roku dane wskazują, że straty w inwentarzu żywym wyniosły: ponad połowę z 33 milionów koni, 26 milionów trzody chlewnej, dwie trzecie z 146 milionów owiec i kóz. W jednym z oficjalnych opracowań historycz-

nych tragiczny okres stycznia-lutego 1930 r. lekceważąc nazywano "szarzą kawaleryjską". Kraju rolniczego nie mogło spotkać większe nieszczęście. W dwadzieścia lat później pogłowie była wciąż jeszcze nie osiągało poziomu z 1928 roku.

W latach trzydziestych władze znowu przystąpiły do ofensywy, działając wprawdzie tym razem z większą przeczornością, ale nie rezygnując ani na jotę z przymusu. W 1933 roku nadal szalały na wsi represje o "nadzwyczajnym rozmachu". W 1931 roku skolektywizowano 50 proc. gospodarstw, w 1934 roku osiągnięto wskaźnik 70 proc. Wkrótce uległy kolektywizacji pozostałe gospodarstwa chłopskie. Nierówna walka skończyła się; gdy opór chłopów został złamany sztucznie wywołanym głodem w latach 1932-1933, jednym z najstraszliwszych w historii Rosji. W 1932 roku władze skonfiskowały skromne plony i odmówiły dostaw ziarna dla chłopów. Świadkowie ówczesnych wydarzeń opowiadają o wyludnionych wsiach, spalonych chatach, bydłęcych wagonach, w których wywożono zesłanych na Północ, tłumach głodnych wieśniaków żebrzących o kawałek chleba, wypadkach kanibalizmu, nieopgrzebanych zwłokach zmarłych z głodu mężczyzn, kobiet i dzieci. Relacje świadków mówią o całkowicie zrujnowanej i spustoszonej wsi. W wyniku kolektywizacji zginęło co najmniej 10 milionów /nie wykluczone, że o wiele więcej/ chłopów. Z owej liczby około połowa zginęła podczas głodu w latach 1932-1933.

Kiedy wszystko to się skończyło, zamiast 25 milionów gospodarstw chłopskich funkcjonowało 250 tys. kółchozów, pozostających pod nadzorem państwa i zmuszonych do dostarczania mu dużej części swych znacznie mniejszych niż poprzednio plonów po bardzo niskich cenach. Przymusowa kolektywizacja stanowiła rdzeń stalinowskiej rewolucji gospodarczej, była wielką innowacją Stalina. Nigdy nikt z bolszewików nie domagał się czegoś takiego, co choćby minimalnie przypominało wydarzenia z lat 1929-1933. Wszyscy oni uważali, że kolektywizacja doprowadzi do powstania nowej formy wysokoproduktywnej gospodarki rolnej, której rozwój będzie związany z późniejszymi etapami uprzemysłowienia kraju. Nikt z nich nie wyobrażał sobie jej jako metody gwarantującej przymusowe zaopatrywanie miast w produkty rolne oraz prymitywnego środka przyspieszającego uprzemysłowienie. Chyba każda inna polityka rolna byłaby znacznie bardziej produktywna i przyczyniła niepomniernie mniej szkód. Ale Stalin mógł teraz pochwalić się jednym osiągnięciem: podporządkował kontroli państwa samodzielnych niegdyś chłopów, stanowiących większość ludności, i stworzył warunki dla czegoś w rodzaju najprawdziwszego "wyzysku wojskowo-feudalnego". Nader wymowne są w tym względzie dane statystyczne z 1933 roku: aczkolwiek plony zbóż były o 5 milionów ton mniejsze niż w 1928 roku, ich dostawy dla państwa wzrosły dwukrotnie.

W 1934 roku przerwano stosowanie najskrajniejszych metod uprzemysłowienia i kolektywizacji. Następane dwa lata były okresem względnego wytchnienia i umacniania gospodarki. Jednocześnie jednak na początku lat trzydziestych nastąpiły znaczne zmiany polityczne, których kierunek nasuwa skojarze-

nie z aforyzmem Kluczewskiego, dotyczącym historii Rosji carskiej: "Państwo potężniało, a lud marniał". Stosowaniu przymusu i militarystyki towarzyszyło powstawanie coraz do nowych centralnych instytucji biurokratycznych, powołanych do zarządzania rozrastającym się państwowym sektorem gospodarki, nadzoru nad szybko zwiększającą się liczbą ludzi zamkniętych w obozach pracy przymusowej, kontroli działalności i przemieszczania się obywateli /ponownie wprowadzono system paszportowy/ oraz ograniczenia swobody życia intelektualnego i kulturalnego. Rozpoczął się proces dosyć dziwnej transformacji ideologii partii-państwa oraz polityki społecznej, po zakończeniu której ostatecznie oficjalnie zrezygnowano z rewolucyjnego eksperymentowania lat 1917-1929, postępowego prawodawstwa oraz egalitaryzmu w dziedzinie oświaty i prawa, w stosunkach rodzinnych, płacach i w ogóle w sferze życia społecznego. Zostało to zastąpione tradycyjnymi, autorytarnymi normami. Paradoksalny był rezultat stalinowskiej "odgórnjej rewolucji": ukształtowano społeczeństwo bardzo konserwatywne i stratyfikowane. Coraz bardziej dostrzegalne stawały się również inne cechy dojrzałego stalinizmu, takie jak kult Stalina, fałszowanie historii partii, oficjalny renesans rosyjskiego nacjonalizmu, wybielanie imperialnej przeszłości oraz odejście od wielu założeń marksistowskich.

Jednakże mimo wszystkich tych symptomów nie nastąpiły jeszcze zmiany polityczne, w skali swej porównywalne z rewolucją gospodarczą lat 1929-1933. Rdzeń systemu nadal stanowiła partia bolszewicka, jej najważniejsze organy i tradycje, wciąż jeszcze pozostawali na scenie jej najwybitniejsi działacze /wprawdzie wielu z nich zdegradowano, ale w dalszym ciągu zajmowali dość wysokie stanowiska/ oraz w przeważającej części przedstalinowskie kadry kierownicze. Z tego punktu widzenia krwawa czystka lat 1936-1939 stanowiła drugi, polityczny etap stalinowskiej "odgórnjej rewolucji".

Terror wprowadzony przez Stalina i jego świtę, a realizowany przez NKWD, trzyletni okres masowych aresztowań i wyroków śmierci, zadał ciężkie rany społeczeństwu radzieckiemu. Aresztowano co najmniej 7-8 milionów ludzi. Spośród nich około 3 miliony zostało rozstrzelanych lub zginęło na skutek nieludzkiego traktowania. Do końca 1939 roku liczba przebywających w więzieniach oraz odległych obozach koncentracyjnych wzrosła do 9 milionów /porównajmy: 30 tysięcy w 1928 roku, 5 milionów w latach 1933-1935/. Co druga rodzina poniosła ofiarę. Represje dotknęły wszystkie warstwy rządzącej elity: polityczną, gospodarczą, wojskową, intelektualną i kulturalną.

Najsilniejsze ciosy dotknęły partię. Spośród 2,8 miliona członków i kandydatów /taki był stan liczebny partii w 1935 roku/ aresztowano co najmniej milion /zarówno antystalinowców, jak i prostalinowców/, 2/3 z tej liczby rozstrzelano. Doszczętnie zlikwidowano dawne kierownictwo partyjne wszystkich instancji. Zlikwidowano całe komitety wszystkich szczebli - miejskie, obwodowe i republikańskie. Spośród 1966 delegatów na XVII zjazd /który odbył się w 1934 roku/ aresztowano 1108 - większość z nich rozstrzelano. Spośród 139 członków i kandyda-

tów na członków Komitetu Centralnego, wg stanu na 1934 rok, 110 rozstrzelano lub doprowadzono do samobójstwa. Po zamordowaniu Trockiego w 1940 roku /w Meksyku/, spośród współpracowników Lenina pozostał przy życiu tylko Stalin.

Oficjalnie uzasadnienie konieczności stosowania terronu sprowadzało się do tego, że wszystkie jego ofiary były wrógami ludu, uczestnikami rozgałęzionego spisku antyradzieckiego, stosującymi sabotaż, dywersję, zamachy i dopuszczającymi się zdrady państwa. Owe z gruntu kłamliwe oskarżenia szczególnie inscenizowano podczas pokazowych procesów starych bolszewików w roku 1936, 1937 i 1938; najważniejszy z nich był ostatni - proces Bucharina.

Krwawa czystka stalinowska była rewolucją "równie głęboką jak każdy inny poprzedni przewrót w Rosji, aczkolwiek przebiegała w formie zamaskowanej". Miejsce zlikwidowanej partii bolszewickiej zajęła nowa partia, w nowym składzie, o nowym obliczu duchowym. W następnym zjeździe partii, w 1939 roku, uczestniczyło tylko 3 proc. delegatów biorących udział w poprzednim zjeździe, który odbywał się przed czystką. W 1939 roku 75 proc. członków partii stanowiły osoby, które wstąpiły do niej po 1929 roku, tj. w okresie sprawowania władzy przez Stalina, a zaledwie 3 proc. było w jej szeregach od 1917 roku.

Pod koniec lat trzydziestych radziecki ustrój polityczny przestał być w jakimkolwiek sensie rządami czy też dyktaturą partii. Kryjąc się za fasadą dziedzictwa organizacyjnego, oficjalnie szermując kłamstwem, Stalin stał się samodzierżąca, a partię sprowadził do roli jednego z instrumentów swej osobistej dyktatury. Po 1939 roku główne organy partyjne - zjazdy, posiedzenia Komitetu Centralnego, a w końcu nawet Biura Politycznego, odbywały się bardzo rzadko. Cóż tu można jeszcze dorzucić: do śmierci dyktatora w 1953 roku partia dysponowała mniejszą władzą niż policja i mniejszymi oficjalnymi uprawnieniami niż administracja państwa.

Przekład: M.K.

=====
ANKIETA "KULTURY"

=====
ANKIETA "KULTURY"

=====
"/.../ Gorbaczow świadom jest ogromnego niebezpieczeństwa jakie niesie ewentualny transfer kryzysu z metropolii na terytorium kolonii. Gorbaczow pamięta lekcję z 1956 roku i konwulsje, jakie spowodował tajny raport Chruszczowa w Polsce i na Węgrzech. Gorbaczow wie, że każda głośność w krajach podległych wyzwała automatycznie hasła nacjonalistyczne, to znaczy antysowieckie i niepodległościowe. Otóż na to właśnie Gorbaczow nie może i nie chce zapewne sobie pozwolić. W tej dziedzinie nie ma doktryny Gorbaczowa, jest ciągle wiążąca doktryna Breżniewa."

Leopold Unger

JOSIF BRODSKI

HERB

Smokowaleczny święty Jerzy
w zażartej alegorii bierze
udział bez kopii; jeno miecz
i koń mu został: z ich pomocą
bestię dla innych niewidoczną
z litewskich granic pędzi precz.

Kogóż to, miecz ściskając w dłoni,
chce dopaść? Przedmiot tej pogoni
za obręb herbu gdzieś się skrył.
Kogóż to? Giaura? Pogan plemię?
Cały świat? Jeśli tak, nie w ciemię
bity nasz książę Witołd był.

/Z "Divertimenta litewskiego", 1971/

KOLEDA STANU WOJENNEGO

Wiktorowi Woroszyłskiemu
i Andrzejowi Drawiczowi

Topnieją Świąt biele,
wilgoć flagi plami.
Polscy przyjaciele
wszyscy za kratami,
niczym zera w nawias
ujęci w ścian żebra:
logika bezprawia
prostsza niż algebra.

Narody jak dzieci
moresu się uczą:
znów władców podnieci
brzęk kajdan i kluczy.
Jeden ruch stalówki
minus w plus przemienia,
skreślając los ludzki
krzyżem krat więzienia.

Z czoła upartego
szkarłat kapie w obrus
świętecznego śniegu.
Twarz naszego globu
oszepecona więzień
i łagrów węgrymi,
zwraca się ku gwieździe,
chłodni jak my sami.

Głodne twarze. Szarość.
Niczym nie speszony
sąd skazuje naród -
ludzi, powalonych
nie tyle przez tanki
szturmujące bramy,
ile przez te banki,
w których konta mamy.

Głębszy od otchłani,
którą myśl sonduje,
jest sen rozstrzelanych
ciał w kopalni Wujek;
wyższa niż podatek
jest dłoń, co potrafi
utrwalić upadek
jak na fotografii.

Słowo tutaj na nic.
Przecież od łzy lepsze,
gdy przez druty granic
tam stara się przedrzeć,
gdzie polskich przyjaciół
serca, mrozem ścięte:
znow proces się zaczął.
Znow kończą się Święta.

x x x

Cichotworzenie moje, moje nieme
stworzenie pociągowe, ciągle - w jaką stronę,
powiedz, mamy się zwrócić ze swoim istnieniem,
komu poskarżyć się na jarzmo i postronek?
To tak, jakby dostrzegłszy w nocy za portierą
księżyc, przy świetle zapałki, w pośpiechu
własnoręcznie strzepywać na kartkę papieru
obłąkany pył jego żółtego uśmiechu.
Tę pisaninę, gęstsza od miodu, lecz ciekłą,
jak chcesz rozmazuj, ale z kim w potrzebie
przełamać w łokciu i w kolanie cienką
odciętą kromkę, moje cichotworzenie?

/Z "Części mowy", fragment
1975-1976/
Tłum.: Stanisław Barańczak

Andrzej Julicki

Pierestrojka zamiast reformy?

Kompleks niższości cywilizacyjnej, o którym za panowania cara Mikołaja I pisał jeden z najwnikliwszych i najinteligentniejszych obserwatorów, którzy kiedykolwiek mówili o Rosji i Rosjanach - Astolf de Custine, był i pozostaje największym ciężarem, przytłaczającym naród, prawem paradoksu przeświadczony od zarania swych dziejów o swoim powołaniu do narzucania innym własnych, tak dalece niedoskonałych obyczajów, form rządzenia, sposobów gospodarowania. Ktoś może powiedzieć: niewdzięczny cudzoziemiec, któremu niepotrzebnie zaufano i pozwolono odbyć niezwykłą podróż po niezmiernych obszarach imperium. Nawiasem mówiąc, praca bystrego Francuza, wyklęta od początku, nie ma, oczywiście debitu w Rosji Sowieckiej. Nawet w encyklopediach /także w Polsce/ nie figuruje jego nazwisko. Lecz, mało o tym kto pamięta, była wszakże raz jeden opublikowana za panowania Mikołaja II.

"List filozoficzny" Piotra Czaadajewa - głośny pamflet piętnujący nędzę materialną i duchową Rosji z początków XIX wieku, a więc Rosji carskiej - także jest na indeksie. Nie tylko nigdy nie był wydany w Rosji Sowieckiej, lecz praktycznie jest dostępny jedynie b. nielicznej garstce "wtajemniczonych". Jest w tym prawdziwym krzyku rozpaczy i gniewu znamienne passus:

"Nigdy nie sześliśmy razem z innymi narodami /.../ Nie należymy do żadnej wielkiej rodziny ludzkiej, ani do Zachodu, ani do Wschodu, nie mamy tradycji ani jednego, ani drugiego. Istniejemy jak gdyby poza czasem i wszechświatowe wychowanie rodu ludzkiego nie tknęło nas /.../ Przyszliśmy na świat jak nieprawe dzieci, bez dziedzictwa, bez związku z ludźmi, którzy nas poprzedzali /.../ Rośliśmy, lecz nie dojrzewamy...".

Myli się ten, kto sądzi, że hasło Włodzimierza Lenina: "Dognać i pierognąć Ameryku!" nie powstało również w tym samym kontekście "cywilizacyjnego kompleksu".

A dziś...

Dziś profesor A.G. Agenbegan, czołowy doradca Michaiła Gorbaczowa, twierdzi z przekonaniem: "Sądzę, że za piętnaście, dwadzieścia lat dołączymy do czołowych krajów kapitalistycznych". Dopiero? Dwadzieścia parę lat temu ten sam Agenbegan

doradzał Nikicie Chruszczowowi, który opowiedział rodakom i światu:

"Zwyciężając w ekonomicznym współzawodnictwie z USA, zakończymy tylko pierwszy etap budownictwa komunistycznego..." Kiedy? "Partia uroczyście oświadcza, że jeszcze obecne pokolenie ludzi radzieckich będzie żyło w komunizmie!" A konkretnie? "Po wykonaniu siedmioletniego planu rozwoju gospodarki narodowej /na lata 1959-1965/, a być może wcześniej, ZSRR wysunie się na pierwsze miejsce w świecie zarówno pod względem absolutnych rozmiarów produkcji, jak i w produkcji w przeliczeniu na 1 mieszkańca".

Wcześniej, jak wiadomo nie udało się. Później - również.

Luka cywilizacyjna, luka technologiczna, a nade wszystko luka psychologiczna - to prawdziwa zbrodnia Rosjan, to ciężar nie do udźwignięcia, to kompleks rozpaczy! Wydaje się, że drużyna Gorbaczowa jest w pełni świadoma, iż stoi na przegranej z góry pozycji, że gra w niedościganie. Ale grać musi według nieznacznie tylko zmodyfikowanych reguł, na tym samym boisku /wyboistym i pełnym pułapek/, posługując się przestarzałym sprzętem, mając na sobie stare, sprane, wypłowiałe stroje.

Przede wszystkim jednak brak jej jakichkolwiek liczących się wyników w najważniejszej dziedzinie - w gospodarce. W przemyśle dynamika wzrostu na poziomie 3-3,5 proc., co stanowi połowę najniezbędniejszego minimum dla nieodzownej restrukturyzacji kosztornie zacofanego przemysłu, z jego poważnie zdezastrowanym parkiem maszynowym. W rolnictwie, gdzie 70 lat temu zaczęła się "rewolucja" i gdzie najwcześniej nastąpiło kompletne zaakamowanie, tegoroczny urodzaj szacuje się na 205-210 mln ton, a więc o 40 mln ton mniej, niż zakładał plan. Rynek wewnętrzny jest niesłychanie ubogi, handel zagraniczny zaś, ze względu na spadek podaży surowców /ropy/ i spadek cen, także stał się niewralgicznym punktem tej rzekomo "niezależnej" ekonomiki, samowystarczalnej gospodarki.

Wszystkie próby z samodzielnością przedsiębiorstw i pierestrojką centralnego układu sterowiczego, stanowią w istocie rzeczy grę pozorów, gdyż z jednej strony biurokracja nie zamierza zrezygnować ze swoich "zdobyczy" i niekontrolowanej władzy; z drugiej zaś klasa robotnicza, a i chłopstwo kołchozowe również, wykazują minimalne zainteresowanie pierestrojką w skali mikroekonomicznej; w skali makro w ogóle nie nauczyli się nigdy rozumować i dyskutować tak, aby powstały rezonans mógł spowodować liczące się i dostrzegalne zmiany.

"Rzeczywiście, nie ma obecnie, jak się wydaje, ani jednego poważnego ekonomisty, który negowałby wagę prawa wartości w warunkach socjalizmu bądź poddawałby w wątpliwość konieczność wykorzystania stosunków towarowo-pieniężnych oraz umocnienia przesłanek planistycznych w naszej ekonomice. Niemniej jednak, jeżeli abstrahować od pewnych szczegółów, łatwo zauważyć, iż linia podziału pomiędzy adwersarzami przebiega właśnie na obszarze interpretacji takich podstawowych kategorii, jak: plan i prawo wartości". Cytat z aktualnych

publikacji w "Nowym Mirze" lub na łamach gazety "Moskowskie Nowosti" - wiodących publikatorów pierestrojki? Niestety, jest to cytat z głośnej pracy G.S. Lisiczkina pt. "Plan i Rynek" z... 1966 roku, pracy, która zżamała karierę młodego ekonomisty, powołującego się /oczywiście/ na stosowne myśli Lenina z czasów poprzedzających NEF, aczkolwiek termin ów nie został odpowiednio zaprezentowany w pracy.

Dzisiaj Tatjana Zasiławszaja, Paweł Bunicz, Nikołaj Szmielow, wspomniani już A.G. Aganbegan, nie mówiąc już o Aleksandrze Jakowlewie, bądź co bądź sekretarzu KC i członku Politbiura, znowu podejmują takie tematy, jak rynek, stosunki produkcyjne, prawo własności - krytycznie wobec istniejących dogmatów i bez większych zahamowań względem przyszłości, chociaż /w części postulatycznej/ w sposób dość mglisty. Wiedzą oni wszelako, iż bez reform społecznych i politycznych reformy ekonomiczne są skazane na jałowość i upadek. Charakterystyczne przy tym, że nie używa się nawet terminu "reforma", by nie narazić się na zarzut "odchylenia reformistycznego". Stąd termin-wytrych: PIERESTROJKA. Nie rynek - weryfikator każdej działalności gospodarczej, lecz "socjalizm z rozliczaniem kosztów" - dziwolog zarówno semantyczny, jak i ekonomiczny. Wymowną ilustracją tych "podchodów" wokół rynku, samodzielności, samofinansowania przedsiębiorstw, kosztów i cen - kiedy wszyscy wiedzą dobrze, o co chodzi, ale nikt na dobrą sprawę nie ma odwagi powiedzieć tego wyraźnie i do końca - stanowią słowa Tatiany Zasiławskiej: "Uchwalone ustawy bardziej przypominają kompromis ze starym systemem, niż słowa wypowiedziane przez Michała Gorbaczowa". Niejednokrotnie m.in. proponowano u nas w drugim obiegu administratora Michała Gorbaczowa /z szeregu opozycji!/, aby nie pRAWILI się w zachwycie nad pewnymi śmiałymi partiami jego referatów i wystąpień, lecz uważnie porównywali treść wystąpień genseka z uchwałami KC, Zjazdu, z rozporządzeniami resortów, z "wyjaśniającą" interpretacją tych postanowień przez lokalne kierownictwa partyjne i administracyjne. Może wówczas mniej byłoby nieporozumień i zawiedzionych daremnych oczekiwań.

W miesięczniku "Nowy Mir" /bodajże nr 5 z br./ ukazał się artykuł pt. "A gdzie są pyszne pierogi?" pióra Lidii Popkowej. Rzecz krótka, lecz znamienna w treści.

Autorka stwierdza /właściwie dosłownie/, że nie ma i nie było w Rosji Sowieckiej żadnych odchyłeń i wypaczeń w budownictwie socjalistycznym, w tworzeniu modelu ekonomicznego, który był i jest taki, jaki mógł powstać w konkretnym miejscu, w określonym czasie; że inicjatywa i przedsiębiorczość z b y t d ł u g o były złamszone nawet na Zachodzie, co stanowi - jej zdaniem - konsekwencję stosunków postfeudalnych; że cały "spór" zwolenników i przeciwników rynku, z powoływaniem się na takie czy inne wypowiedzi Lenina, są zajęciem dość jałowym, gdyż u Lenina /przy jego wyjątkowej płodności pisarskiej/ można znaleźć w s z y s t k o "na wsie słuczaje ziźni", czyli na wszystkie okoliczności. Lidia Popkowa stwierdza /dość pogardliwie/, że na pytanie, czy ona należy do tego czy innego "obozu", odpowiada, iż "naukowiec przede wszystkim musi być obiektywnym"; odrzuca tedy kanon "ideologizacji" nauki jako takiej.

W tym miejscu przypominają się słowa Henry Kissingera, który mówił o fermencie intelektualnym w Rosji Sowieckiej: "To dużo, iż oni potrafili to dostrzec; to odważnie, że o t y m mówią... i co dalej?". Właśnie, c o d a l e j ?

Ktoś trafnie zauważył, iż "cechą wyróżniającą kulturę europejską jest zdolność do samokrytycyzmu", a więc i do autoregulacji czy samoregulacji, jak kto woli. Natomiast Rosjan od dawien dawna, o czym mówiliśmy wyżej, cechuje przemienne pragnienie "naprawiania innych" i skrzytne ukrywanie własnych niemocy i braków. Profesor Jan Kucharzewski zwraca uwagę, że " optymizm Hercena co do Rosji, obok równoczesnego pesymizmu co do przyszłości Zachodu, rzuca snop światła na genezę i cechy rewolucji rosyjskiej, od chwili pierwszego sformułowania jej dążeń przez jej wielkiego teoretyka. Stajemy wobec legendy o zgniłym Zachodzie, w wydaniu rewolucyjnym".

To bardzo niebezpieczne w tym kraju zawołać: "Król jest nagi!". W obronie "króla" powstawali zazwyczaj i zgodnie w s z y s c y lub prawie wszyscy, którzy na co dzień uczestniczą w wielkim, narodowym spisku przeciwko prawdzie.

Kiedy reformatorzy chińscy rozwiązali komuny ludowe /bez uprzednich dyskusji teoretycznych/ i zaproponowali chłopom przejście na "gospodarkę zagrodową", czyli quasi-farmerską, chłopci wnet zrozumieli "skąd wiatr", odczuli zabrali się do pracy "na swoim" i w ciągu trzech lat podwoili produkcję rolną!

Dziś kołchoźników sowieckich mamy się "siemiejnym podriadom", czyli - w istocie rzeczy - proponuje się tę samą formułę, co w Chinach. I co? Mizernie. Jest daleko posunięta rezerwa samych zainteresowanych; jest i obstrukcja "niezainteresowanych", czyli administracji kołchozowej i władzy lokalnej. Tatiana Zaskawska zaś powiada: "Kolektywne formy własności są już głęboko zakorzenione w świadomości naszego społeczeństwa. Ludzie tak myślą: Nie wykluczone, że kolektywne formy własności są mniej wydajne - nie żyjemy jednak gorzej niż inne narody...". Tyle przeinaczeń, pokrętnych myśli i bałamuctwa w trzech liniijkach!

Już sam fakt, iż reformy /lub próby reformy/ nie nazwano po imieniu, lecz wymyślono termin "pierestrojka", nakazuje co najmniej ostrożny stosunek do przemian zachodzących w Rosji Sowieckiej. Przekonują nas co do tego sami Rosjanie, czołowi teoretycy i orędownicy radykalnych zmian, którym wszakże chodzi o jedno, o u t r z y m a n i e s t a r y c h m e c h a n i z m ó w w n o w e j j a k o ś c i o w o s y t u a c j i. Są oni w pełni świadomi, iż wprowadzenie mechanizmów rynkowych, układów samoregulacji, uwolnienie producentów od uciążliwej i kosztownej kurateli biurokracji partyjnej i państwowej, stanowi p o c z ą t e k k o ń c a u t o p i i u w ł a d z y. Przy kapitalizmie - powiadają oni - rynek pozostaje jedyną formą więzi między producentami, wówczas kiedy w naszych warunkach kontakty między socjalistycznymi producentami mogą mieć inne

formy, jak np. plany, które poprzedzają stosunki rynkowe, mogą dokonywać bilansu produkcji na długo, zanim towar znajdzie się na rynku. Taki układ jest niemożliwy przy kapitalizmie. Całe szczęście!

Jeszcze Adam Smith nauczał: "Mając na celu swój własny interes, człowiek często popiera interesy społeczeństwa skuteczniej niż wtedy, gdy zamierza im służyć rzeczywiście".

W społeczeństwie "realnego socjalizmu" nikt nie wie, gdzie leży jego /jednostki/ interes, a gdzie interes ogółu. Nie do podważenia jest teza, iż wolność gospodarstwa jest zasadniczym warunkiem wolności politycznej. Przecież w USA nastąpił dynamiczny wzrost produkcji rolnej po zniesieniu niewolnictwa, a Tatiana Zaskawska twierdzi, że chłop chce pozostać w kołchozie... Obawiam się wszakże, iż ona częściowo ma rację, gdyż chłop rosyjski nigdy nie wiedział, że można i należy gospodarować inaczej; jego wielką szansą miała być reforma Piotra Stożypina, który pragnął oprzeć siłę Rosji i dobrobyt jej mieszkańców przede wszystkim na wolnym producencie rolnym.

Utopia zaczyna się już w momencie głoszenia, że się jest właścicielem wszystkich, gdyż w tym układzie nikt nie jest właścicielem niczego, ze wszystkimi oplakanymi konsekwencjami tego stanu rzeczy.

Dylemat pierestrojki czy innej reformy w jakimkolwiek kraju znajdującym się w orbicie imperium sowieckiego sprowadza się dziś do wyboru: rynkowa efektywność czy biurokratyczna aprobatą?

To tylko w "krajnie czarów", gdzie trafiła Alicja, może być tak, że "każdy wygrał i wszyscy muszą mieć nagrodę!". W rzeczywistości ktoś musi przegrać, a jego prześladowcy nadal siedzą w Związku Literatów. Achmatowa zaś, jedna z największych poetek Rosji, całe życie mieszkała w "komunalkach", czyli w kołchozowym mieszkaniu w Leningradzie... Natomiast z zainteresowaniem odnotowałbym fakt wydania tam książki pt. "Wolny wybór" Milтона i Rose Friedmanów, fragment z której pozwolę sobie zacytować zarówno zwolennikom, jak i przeciwnikom rynku w Rosji Sowieckiej.

Mało mnie obchodzi, że w Rosji Sowieckiej wydają /ciągle jeszcze "w druku"/ "Doktora Żiwago" Borysa Pasternaka. Nie wzruszam się szczególnie z powodu wydania "Requiem" Anny Achmatowej. Pasternaka zaszczyt na śmierć, a jego prześladowcy nadal siedzą w Związku Literatów. Achmatowa zaś, jedna z największych poetek Rosji, całe życie mieszkała w "komunalkach", czyli w kołchozowym mieszkaniu w Leningradzie... Natomiast z zainteresowaniem odnotowałbym fakt wydania tam książki pt. "Wolny wybór" Milтона i Rose Friedmanów, fragment z której pozwolę sobie zacytować zarówno zwolennikom, jak i przeciwnikom rynku w Rosji Sowieckiej.

"Doskonałość nie jest cechą tego świata. Zawsze będą buble, szarlatani i oszuści. Ale lepiej przed nimi będzie chronić konkurencja, aniżeli coraz bardziej przygniatające rynek mechanizmy rządowe".

Andrzej Julicki

Lęki sztywniejącego mastodonta

Przedpotopowe dinozaury umierały powoli. Już od momentu, kiedy było wiadomo, że nie są w stanie zaadaptować się do zmieniających warunków otoczenia. Wyrok natury był nieubłagany. Podobnie jest z komunizmem. Ten ideologiczny i społeczny mastodont wyrok historii ma już za sobą. Trwa jeszcze ten system i będzie trwał jeszcze jakiś czas, ale jego los jest już przesądzony. Komuniści, ci najbardziej roztropni, skonstruowali śmierć ideologii i próbują temu zaradzić, usiłując reformować skamieniałą, komunistyczną rzeczywistość. Czy jest wszakże możliwa taka odmiana organizmu mastodonta, aby mógł on uzyskać nowy witalizm w szybko rozwijającym się świecie?

Obecne reformatorskie czy reformistyczne usiłowania Gorbaczowa wprowadzają pewne zamieszanie w niektórych głowach. Oto rewizjonizm oficjalny, to, o co chodziło wielu reformatorom w komunizmie. Oto modernizacja doktryny, od dawna oczekiwana przez życzliwych krytyków. Oto próba nie oddolna /bo oddolna w komunistycznym systemie zawsze skazana jest na zagładę/. Oto próba zainicjowana przez ścisłe centrum imperialnego zarządu.

Pomińmy na razie nie takie znowu bez znaczenia pytanie: czy istotnie cała imperialna centrala przeświadczona jest o konieczności reformowania komunistycznej doktryny i rzeczywistości oraz zadajmy inne. Jakie zmiany w komunistycznym porządku rzeczy można nazwać reformami? Jakie modyfikacje systemu mogą stworzyć warunki dla jakościowych i ilościowych zmian w mobilności społeczeństw, żyjących w zasięgu komunistycznej doktryny?

Można bowiem zarządzić akustyczny szum i obwieścić go jako reformatorstwo par excellence, choć w istocie będzie to wymuszona kosmetyka mastodonta, sprowadzająca się do oskrobania jego grubej skóry. Skóry, która nawet oczyszczona z zewnętrznej powłoki brudu i tak nie przepuści do organizmu niezbędnych, życiodajnych substancji.

Dwa są filary na jakich zasadza się komunistyczny system. Monopol polityczny oraz monopol w dysponowaniu środkami produkcji. Oba wspierają się nawzajem i jeden nie mógłby istnieć bez drugiego. W każdym ra-

zie w takim kształcie, jak to ma miejsce w systemie sowieckim. Lokalne korektury nie mają tu nic do rzeczy: tzw. narodowe drogi db socjalizmu są adaptacją formuły podwójnego monopolu do lokalnych warunków. Tak więc kryterium każdej reformy komunistycznej rzeczywistości jest kwestią zgody i autentycznej gotowości komunistów do podzielenia się ze społeczeństwem władzą, bądź gospodarką. A prawdę mówiąc i jednym, i drugim. Wszelkie inne zabiegi, korygujące niedogodności systemu, jego - niejako założony - brak logiki, jego gospodarczą niewydolność, wszelkie tego typu zabiegi kosmetyczne reformą być nie mogą. I nie są. Już choćby z tego powodu, że nie wywołują zamierzonego efektu - dynamiki ludzi i zbiorowości w procesie wytwórczym.

Dotychczasowe próby reform systemu, z obecnie rysującą się właśnie, odbywały się pod takim oto hasłem, skierowanym do przeciętnego mieszkańca imperium: dobrze pracując dla kraju, pracujesz dla siebie. I wszystkie dotychczasowe próby kończyły się fiaskiem, gdyż hasło reformy musi brzmieć odwrotnie: dobrze pracując dla siebie, pracujesz dla kraju. No ale taka formułka reformy musi naruszyć jeden z filarów. Monopol gospodarczy - ze wszystkimi tego faktu politycznymi konsekwencjami. Z podziałem władzy właśnie.

Jest generalnym założeniem ustroju komunistycznego, że władza centralna wyznacza całość celów i form gospodarki, i że gospodarka ta podporządkowana jest jednolitemu planowaniu, ustalananemu przez tę władzę. To w gruncie rzeczy dość banalne stwierdzenie rodzi ważną konsekwencję. Przecież gospodarka, to nie tylko przedmioty, park maszynowy, kapitał, system bankowy, czy surowce i materiały. W pojęciu gospodarki zawarty jest nieodmiennie element siły roboczej, a więc konkretni ludzie. Tak z powyższego założenia wynika, że w komunistycznej rzeczywistości ludzie władzy są jedyną aktywną siłą społeczną, zdolną organizować pracę i życie innych ludzi. Ten podział jest podziałem sztywnym. Ci z sektora gospodarki, a więc siła robocza, dobrze wiedzą, że ich ewentualne miejsce w systemie, aspiracje, dążenia, potrzeby wreszcie, określane są gdzie indziej. Ze decydują o nich nie oni - anonimowa i amorficzna siła robocza - ale wyłącznie władza. Był Gomułka przeciwnikiem motoryzacji, to i nie mieli Polacy popularnego samochodu. Gierek był bardziej europejski i Polacy mają małego fiata. Przy najmniej niektórzy.

Otóż reforma, prawdziwa reforma komunistycznego systemu, musiałaby dotyczyć tego generalnego założenia. To właśnie omnipotencja i wszechmoc władzy wymaga zmiany i nowej formuły. A to w istocie rzeczy oznacza nową jakość systemu. Ta nowa jakość, to zgoda na udział społeczeństwa w określaniu sposobów podziału tego, co ono samo wytworzy. A więc rezygnacja z monopolu. Wszakże kto wówczas zagwarantuje, iż samo społeczeństwo nie rozdzieli środków wyłącznie tym, co je sami wytworzyli? I że tym samym nie wróci do zwalczanej, zapomnianej i anachroni-

cznej zasady, że własność przysługuje temu, kto ją wytworzył i wypracował? Prywatna własność środków wytworzonych jest zaś wstępnym warunkiem kolejnej, wiążącej dzieło zasady: prywatnej własności środków produkcji. A to jest już śmierć mastodonta.



Na temat systemu gospodarowania w komunizmie napisano wiele i jedno dowodu nie wymaga. To mianowicie, że jest to system krańcowo nieefektywny. Jego totalną nieefektywność zacierza wszakże fakt wzajemnych powiązań obu systemów gospodarczych. System wolnego rynku, istniejący obok imperium komunistycznego, od chwili powstania komunizmu wspomaga ten system, alimentuje i ratuje raz po raz od totalnego krachu. Robi to nie z miłości, ale dla i n t e r e s u. Podobno swojego.

Nie trzeba wielkiej wyobraźni i przenikliwości, aby zobaczyć obraz gospodarki centralnie sterowanej bez kapitalistycznych subwencji, kredytów, powiązań, podpierających konsorcjów i spółek, bez sprzedawanych i wykradanych wynalazków i technologii. Ileż bardziej niż obecnie różniłaby się Moskwa, Warszawa czy Budapeszt od Londynu, Paryża czy Genewy, gdyby tych powiązań nie było. Tymczasem system międzynarodowego wspomagania trwa i jego skutki u niektórych wywołują szczątkową nadzieję na to, że gdyby tak zreformować w komunizmie to i owo, systemów stałyby się gospodarczo bardziej efektywne. To złudne przesądzenie istnieje od zarania także w oświeconych sferach komunistycznego establishmentu.

Ekonomiści wschodnioeuropejscy, wcale nie posledníj miary, często uważani słuchani jako wykładowcy zachodnich uniwersytetów, sporządzają od czasu do czasu, najczęściej po spektakularnych załamaniach gospodarczych i towarzyszących im politycznych wstrząsach, raporty formułujące koncepcje reformy. Niejednokrotnie nawet rozmiar polityczny krachu jest tak wielki, iż sama władza przystaje na reformę, upatrując w tym sposób na odzyskanie utraconej popularności /w znacznej mierze teoretycznej/. Jednakże żywot każdej próby reformatorskiej jest krótki i inny być nie może. Albo bowiem reforma ma złe intencje i jest propagandową próbą zorganizowania nowego kłamstwa, albo ma istotnie intencje reformatorskie, lecz wówczas rychło rozbija się o skamieniałe oielsko mastodonta.

Nie przeczy temu ani przykład węgierski, ani nowinki obwieszczane przez Gorbaczowa. Nowinki, umożliwiający sowieckiemu człowiekowi prowadzenie prywatnej taksówki, prywatne zelowanie butów czy prywatne szycie spodni.

Komuniści dobrze wiedzą, że prywatne jest skuteczniejsze od socjalistycznego, że jest lepsze, wydajniejsze, bardziej mobilizujące do wysiłku. Ale wiedzą także, że w społeczeństwie wypracowującym dobra i dzielącym te dobra samodzielnie, nie ma miejsca na budowanie

socjalizmu. A oni istnieją właśnie po to, wyłącznie po to, aby ten socjalizm zbudować. Po to jednak, aby być w ciągłej gotowości do budowania, muszą istnieć i ich istnienie nie może być wystawione na niebezpieczeństwo. Dlatego zgoda na wypuszczenie niewielkiej ilości kapitalizmu /czytaj: energii społecznej, zaradności, wydajnego wysiłku/ jest odruchem samoobrony. Alain Besançon w "Anatomii widma" dawno już przewidział w Moskwie prywatnych szewców, krawców, fryzjerów, prywatne stołówki, tak-sówki i niedługo prywatne małe sklepy. Należy bowiem wprowadzić tyle kapitalizmu, by komunistyczne centrum nadal mogło bez obawy przed buntem społeczeństwa rozmyślać o tym, jak zbudować socjalizm. Bowiem socjalizm może się narodzić pod tym jednym jedynym warunkiem, iż go obecna władza zbuduje w przyszłości. To ona bowiem jest - jej zdaniem - jedynym gwarantem, że kiedyś zaistnieje ustrój sprawiedliwości społecznej. Natomiast wraz z jej odejściem zniknie nadzieja i ostatnia szansa. Końcowe konwulsje mastodonta będą oznaczały początek prawdziwej reformy.



Alain Besançon zadaje fundamentalne dla tych rozmyślań pytanie: kiedy jakiś rząd typu sowieckiego podejmuje zmiany gospodarcze na większą lub mniejszą skalę, to wedle jakiego kryterium ocenić można, czy mamy do czynienia z autentyczną reformą, z wprowadzeniem gospodarki rynkowej? Co jest przeciwieństwem równoznaczne z rezygnacją z socjalistycznej wizji rozwojowej. Przeciwnie Jugosławia toleruje u siebie gospodarkę niby rynkową, zezwala na inwestycje zagraniczne, dopuszcza emigrację zarobkową ludności, posiada oficjalne bezrobocie i strajki, niekoniecznie kończące się strzelaniami do ludzi. A więc istnieje tam taki jak gdyby kapitalistyczny sztafaż. Więc może nie jest to już państwo socjalistyczne, gospodarka socjalistyczna?

Otóż nie. Kryterium Besançona jest precyzyjne: gospodarka jest socjalistyczna bez względu na to, jakie "kapitalistyczne" pozory mogą jej towarzyszyć, dopóty, dopóki decyzja o zawarciu kompromisu z wolnym rynkiem czy jego częścią i decyzja o wprowadzeniu do gospodarki zasad sprzecznych z duchem socjalizmu, zostaje podjęta dla zachowania władzy. To decyduje. Bowiem władza, efektywnie sprawowana, jest jedyną szansą dla zaprowadzenia socjalizmu w przyszłości. W bardziej s p r z y j a j ą - c y c h okolicznościach.

Kompromis z wolnym rynkiem, swobodnym kapitałem, dobrowolną wymianą dóbr i usług jest tylko próbą reanimacji mastodonta. Nieskutecznej reanimacji, gdyż istota rzeczy pozostaje bez zmian. I reformie nie podlega.

Życiodajne procesy fotosyntezy nie mają zastosowania w organizmach z definicji do nich nie dopasowanych. Bariery immunologiczną, powodującą odrzucanie wszelkich przeszczepów, jest bariera lęku przed śmiercią. Lęku, dodajmy, zupełnie uzasadnionego.

/A.C./

Manewry

Każdy ustrój polityczny ma wbudowane w swoją strukturę podstawowe zasady sprawowania władzy, dzięki którym może zachować optymalną stabilizację. Jedną z podstawowych zasad realnego socjalizmu jest systematyczna dezinformacja i mitologizacja rzeczywistości. Instytucja cenzury rewolucyjnej chroni władzę przed skutkami politycznymi, jakie nastąpiłyby, gdyby społeczeństwo poznało całą prawdę zarówno o genezie tej władzy, jak i skutkach jej władania przez 42 lata. Nieprawdą jest, że istnieją białe plamy w naszej historii XX wieku. Prawdą jest, że cała oficjalna historia jest jedną, wielką czarną plamą, na tle której widnieją rzadkie, białe poletka prawdy historycznej. Oficjalnie zafałszowano wszystkie wypadki dziejowych, demaskowałoby agenturalny charakter "władzy ludowej", zainstalowanej przez Stalina na okrojonym terytorium przedwojennej Polski.

Utajniono zbrodnie popełniane na milionach Polaków na zagarniętych Kresach, na setkach tysięcy AK-owców, zafałszowano rzeczywisty przebieg referendum "3xTak", wyparto się gangsterskiej rozprawy z legalną partią PSL, złamano wszystkie obietnice zawarte w "manifestie lipcowym", a nawet ukryto, że dokument ten został sporządzony w Moskwie i przywieziony w teczce "Komitetowi Lubelskiemu".

A historia kariery Bolesława Piaseckiego, szefa faszystowskiej Falangi, zwerbowanego w 1945 r. przez sowieckiego generała NKWD do rozbiłackiej, antykościelnej roboty, ukoronowanej najwyższym stanowiskiem w Radzie Państwa PRL - jest do ruszenia w oficjalnym obiegu?

Poza zasięgiem informacji pozostaje praktycznie wszystko, co ma istotny wpływ na sytuację gospodarczą i polityczną kraju: wydatki na zbrojenia i struktura przemysłu wojennego, budżet MSW, zatrudniającego - według szacunkowych obliczeń - 1.200.000 ludzi w służbach mundurowych i tajnych, świadczenia gospodarcze na rzecz ZSRR, zwane oficjalnie "stosunkami handlowymi", rzeczywiste liczby dotyczące gospodarki surowcowej, energetycznej, budownictwa, rolnictwa, służby zdrowia ita. GUS otrzymuje tylko takie dane, jakie są w danej chwili wygodne autorytarnym władcom PRL, podobnie tylko takie liczby występują w ujawnianych wynikach ankiet rozmaitych instytucji badania opinii. Te prawdziwe - są utajnione.

Aby utrzymać ów system dezinformacji i mitologizacji, władza musi zabezpieczyć się formalnie i nieformalnie przed każdą próbą społeczną stworzenia aparatu kontroli niezależ-

nej. Funkcję taką w każdym ustroju demokratycznym spełnia opozycja parlamentarna oraz prasa z tą opozycją związana. W USA zakres tej kontroli przybiera nawet kształt karykaturalny, ingerując w najtańsze operacje, stanowiące o bezpieczeństwie państwa; np. afera Irangate, która obiektywnie osłabiła pozycję USA wobec ZSRR.

W realnym socjalizmie władza dąży do utajnienia wszystkiego, co w praktyce sprzeczne jest z jej oficjalnymi deklaracjami lub z socjalistyczną doktryną "sprawiedliwości społecznej". Co pewien czas prawda jednak wychodzi na jaw. Ci, którzy ją poznają, dzielą się z czasem na dwie grupy: większą, która goździ się z okrutnym losem, uwzględnia "położenie geopolityczne" i mordercze zagrożenie ze strony Największego Przyjaciela i jakoś żyje dalej w schizofrenicznym rozdzieleniu; mniejszą - która nie może dalej milczeć i postanawia działać, aby zmienić zakłamany, skorumpowany, nieudolny system drogą mniej lub bardziej radykalnych reform. Tak powstawały grupy opozycyjne w latach kryzysów politycznych PRL. Władzy ludowej udało się rozprawić z opozycją "rewizjonistyczną" lat 1956-57, zdławić "komandosów" '68, spacyfikować robotników Wybrzeża 1970 mirażem gierkowskim, odizolować od społeczeństwa grupę KOR w latach 1976-80.

Dopiero powstanie "Solidarności" i wielomilionowy ruch opozycji robotniczej przeciw systemowi realnego socjalizmu nie dały się spacyfikować ani stanem wojennym, ani długotrwałą kampanią dezinformacji propagandowej. Kampania ta spaliła na panewce również dlatego, że najwartościowsza, najbardziej wiarygodna grupa intelektualistów, uczonych najrozmaitszej profesji, pisarzy, aktorów, dziennikarzy oraz innych ludzi sztuki - opowiedziała się jednoznacznie po stronie ideałów "Solidarności", przeciw kolejnym mirażom reformatorskim władzy. Kiedy zabrakło autorytetów moralnych oraz intelektualnych w opiniotwórczych środkach masowego przekazu - nastąpił w społeczeństwie znany i do zdumienia opisywany w podręcznikach psychologii "efekt bumerangowy": zjawiska potępiane w DTV zyskiwały sympatię, a popierane - wrogość. Wiarygodność oficjalnej informacji i propagandy sięgnęły dna, o czym otwarcie już mówiono w Radzie Konsultacyjnej.

Dziś, gdy piszę te słowa /październik '87/ jesteśmy świadkami wielkiego manewru taktycznego władzy: nie mogąc zwalczyć, postanowiła kupić sobie opozycję. Proponuje się zatem "moraatorium" /nie ważne, skąd się przychodzi itd./ i stawia sprawę tak, jakby władza okazywała niewyobrażalnie wielką i postępową wielkoduszność w stosunku do "zblakanych owieczek". Daje się przedstawicielowi opozycyjnych dziennikarzy, Andrzejowi Bobrowski, okienko telewizyjne do przeprowadzenia "szczerzej, pryncypialnej rozmowy" z wicepremierem Gorywodą, z czego nic absolutnie nie wynika, ale jakże to spektakularne!

Musimy sobie uświadomić, że sens istnienia opozycji nie polega na tym, aby wespółdziałała, ale na tym, aby kontrolowała rządzących. Nie chodzi o to, aby doradcy "Solidarności" zostali wchłonięci przez najrozmaitsze ciała typu Rady Konsultacyjnej czy innych klubów dyskusyjnych przyczepionych do różnych

'szczepbli władzy. Nie chodzi o to, aby dziennikarze wyrzuceni po 13 grudnia 1981 r. na bruk, opluwani i poniżani przez byłych kolegów - mieli prawo powrotu do grona tychże kolegów na poprzednie stanowiska. Tak to sobie władza ludowa wymarzyła: co było, to było, teraz mamy wspaniały projekt reformy, rewolucyjny II etap, a więc kochajmy się, zapomnijmy o urazach i radośnie pohukując ciągnijmy zgodnie ten wózek na świetlistej drodze.

Jeśli to by nastąpiło - historia powtórzy się po raz kolejny, aż do następnego, niewyobrażalnie już groźnego wybuchu. Realny socjalizm obciążony jest bowiem wadą genetyczną, która uniemożliwia organizmowi społecznemu normalny rozwój. Błędem tym jest, oparta na marksizmie-leninizmie, doktryna kierowniczej roli partii. Narzucona społeczeństwu z zewnątrz i utrzymywana siłami aparatu represji, zasada systemowa omnipotencji grupy rządzącej, samopowielającej się dzięki mechanizmowi nomenklatury i decydującej w najważniejszych dla losu ludzi podległych państwu sprawach - to właśnie jest wbudowany w system hamulec rozwoju.

Wszystkie systemy parlamentarne powstałe drogą naturalnej ewolucji społeczeństw wytwarzają mechanizmy eliminujące zarówno niezdolne jednostki z agend władzy, jak i fatalne w skutkach programy partii politycznych. Inna sprawa, jak skutecznie owe mechanizmy funkcjonują, ale jednak, na dłuższą metę, żadne państwo rządzone demokratycznie nie popadło w stan takiej ruiny gospodarczej, jak kraje - strony Paktu Warszawskiego ze Związkiem Radzieckim na czele. Każdy kryzys w państwach demokratycznych bywa szybko przezwyciężany, m.in. dzięki alternatywnym programom, wypracowanym przez opozycję. Nikt tam nie pyta, czy zastosowane rozwiązanie jest kapitalistyczne i zgodne z jakąś doktryną, tylko - czy jest skuteczne. W realnym socjalizmie partia rządząca najpierw rozważa, czy jakieś rozwiązanie jest "socjalistyczne", czy jest zgodne z doktryną, a dopiero potem, czy jest skuteczne. Bo propozycje "antysocjalistyczne" są z definicji - paskudne, moralnie ohydne i godne potępienia, niezależnie od ewentualnych skutków gospodarczych, społecznych czy politycznych. Widzimy ostatnio żalosne próby przyczepienia etykiety "socjalistyczne" do rozwiązań gospodarczych zdroworoządkowych, a więc pieniężno-rynkowych, wyklinanych dotąd z najwyższych trybun. Ale koncepcje "uzdrowienia realnego socjalizmu" wprowadzeniem w jego organizm elementów liberalnych, bez zreformowania systemów sprawowania władzy - przypomina próbę przeszczepienia wronie zajęczych nóg, aby szybciej biegała.

Jeżeli dzieje się coś dobrego w realnym socjalizmie, jeśli następuje jakiś proces liberalizacji, czyli rezygnacji z tradycyjnych metod represjonowania opornych wobec dyktatu władzy ludowej - to dzieje się tak nie z przyczyny jakiegś przemiany intelektualno-etycznej rządzącej grupy, jakiegś "iluminacji" lub przełomu moralnego, gdyż mało czerwonego obchodzi, jak ludzie żyją, jeśli milczą. Dzieje się tak z powodu ustawicznego nacisku sił opozycyjnych w społeczeńst-

wie na grupę rządzącą; widome powszechnie oznaki wymówienia poskuszeństwa i lekceważenia aparatu represji, manifestowana niewiara w jakiegokolwiek kolejne, puste obietnice - oto źródło reformatorskich ciągów aparatu władzy.

Póki nie nastąpi instytucjonalna możliwość niezależnej od partii rządzącej kontroli społecznej jej działania, póty nie może być nawet mowy o jakimkolwiek postępie społecznym w PRL.

Zadajmy partii pytanie: dlaczego tak panicznie boi się kontroli i krytyki niezależnej? Co ma do ukrycia?! Czy rzeczywiście nie wyobraża sobie sprawowania władzy bez korupcji i tajnej puli przywilejów dla "swoich", czy rzeczywiście nie wybiera sobie realnego socjalizmu w powiązaniu z praworządnością, sprawiedliwością, selekcją pozytywną w karierach zawodowych i politycznych, stosowania w praktyce tych wszystkich zasad, które głosi z okazji swoich świąt samouwielbienia: 1 Maja i 22 Lipca? Co tu właściwie jest grane? I po co mieszać do systemu panującego nam miłościwie słowo "socjalizm"? Przecież wystarczy nazwać ten ustrój REALNYM i wtedy każda forma dyktatury będzie usprawiedliwiona.

Jan Omłot

=====

ANKIETA "KULTURY"

=====

=====

ANKIETA "KULTURY"

=====

"O 'demokratyzacji' nie ma co mówić, nic nie wskazuje na razie na ruch w tym kierunku. Co do całości wewnętrznej i zewnętrznej polityki 'modernizacyjnej', to nie wydaje mi się, by miała ona w intencji rozszerzyć autonomię sowieckich protektoratów w Europie. Jeśli ekipa Jaruzelskiego cieszy się faworami sowieckiego wodza, to nie z powodu relatywnie rozluźnionej na razie polityki wewnętrznej, ale z innych racji. Myślę, że przeciwnie, Gorbaczow będzie usiłował utrzymać kraje podległe w posłuchu, aby mu nie przysparzały kłopotów w polityce wewnętrznej lub zagranicznej. Może nalegać na różne kroki 'modernizacyjne', lecz nie ma powodu przypuszczać, by chciał zwiększyć niezależność tych krajów albo osłabić w nich kontrolę partii /w Polsce, pewien jestem, chciałby ją wzmocnić/."

Isszek Kożakowski

• • •

"Kaźda liberalizacja stosunków wewnątrz ZSRR jest korzystna z punktu widzenia interesów polskich, ponieważ stwarza możliwość także liberalizacji stosunków w PRL, pod warunkiem jednak, że społeczeństwo w kraju będzie wywierać w tym kierunku stały nacisk na reżim w myśl koncepcji ewolucji pod naciskiem."

Rowmund Piłsudski

• • •

Każdy ma swoją odpowiedź

Z HANNĄ KRALL O HANNIE KRALL

- Gdzie jest Pani afiliowana?

Hanna Krall: - Nigdzie. Nie czuję się związana z żadną partią, obozem czy ugrupowaniem i chociaż dziś Polska składa się z kilku światów - Kościoła, opozycji i władzy, co najmniej, to nie utożsamiam się z żadnym z nich. Co można uznać za pychę, albo za kalektwo.

- A za co Pani uważa ten - powiedzmy - rys osobowości?

- Za nic. To nie jest wybór, ale cecha organizmu.

- I ona nie przeszkadza?

- Może przeszkadzać w życiu, ale nie w pisaniu. W życiu jest czasami smutno, ale dla pisania lepiej, gdyż przynależność do któregoś z owych światów oznacza w praktyce reporterskiej, że pisze się tylko o tym swoim, niechętnie przyjmując do wiadomości istnienie pozostałych. A na współczesną Polskę składają się wszystkie te "światy" i ambicją reportera powinno być przenikanie do nich. I chęć zrozumienia wszystkich... Kiedy pisałam o wydarzeniach radomskich w 1976 r., wybrałam optykę sekretarza komitetu wojewódzkiego partii, który czeka w swoim gabinecie na nadchodzący tłum demonstrujących robotników. I myślę, że dowiedziałam się wtedy wiele o owym dniu, choć nie dowiedzieli się tego - niestety - czytelnicy, bo reportaż został przez cenzurę skonfiskowany i dotychczas nie ukazał się.

- Słowem, nigdy nie miała Pani poczucia związku z żadną grupą? Przez 30 lat pracy reporterskiej w renomowanych pismach? W ciągu tych lat przeszliśmy w Polsce kilka krwotocznych etapów, w czasie których ludzie nigdzie nie przypisani dokonywali wyborów i łączyli się w któryms z tych obszarów tak wyraźnych i odrębnych dziś.

- Niedawno w Poznaniu studenci spytali mnie o to samo: co myślę o kolegach, którzy zostali po "tamtej stronie", a ja nie mam poczucia, że zmieniłam strony z "tamtej" na "tą". Moje miejsce społeczne było zawsze to samo, zawsze jeździłam gdzieś, patrzyłam, wracałam i pisałam reportaże. Potem dawałam go ludziom, którzy byli moimi szefami, więc wiedzieli lepiej, co z nim zrobić.

I co robili?

- Czasem, zanim jeszcze oddałam tekst, dzwoniły telefony z terenu informujące o mojej wizycie i że na pewno napiszę nie o tym, co trzeba i nie tak, jak należy. Wtedy w redakcji sugerowano, jak mam pisać, a czasami w ogóle odradzano pisanie. Częściej - oddawałam tekst, a wtedy mówiono, co dobrze byłoby w nim zmienić. Niektórzy spośród tych, którzy wiedzieli lepiej, są dziś w rządzie, inni w opozycji, czyli - jakby powiedzieli moi rozmówcy z Poznania - są po "tej" stronie, natomiast - jak powiedziałam - moja strona nie zmieniła się. Nadal jeżdżę, parzę, opisuję.

- Jak reagowała Pani na konfiskatę tekstów?

- Coś odpuszczając, o coś kłóciłam się, czasami się obrażałam, trzaskałam drzwiami. A później wracałam, bo coś mogłam zrobić? Bardziej przeżywałam perypetie z książkami, bo reportaże w gazecie żyje dzień, w tygodniku - tydzień lub dwa, a książka zawsze ma szansę na przetrwanie. Więc kiedy mi tę szansę odbierano, było mi przykro, a w sumie mam tyle samo książek wydanych, co zatrzymanych - po trzy. Pierwszą wycofano już po podpisaniu do druku, 10 lat temu, a ostatnią przemielono w zeszłym roku, już po wydrukowaniu.

W pewnym momencie straciłam ochotę na wszystkie te rozmowy. Na zmianę zdań, słów, na wyważanie i udawanie. Mój organizm odmówił posłuszeństwa i wówczas odeszłam z "Polityki".

- I była to tylko zmiana organizacyjna?

- Tylko. Jeśli czytam moje dawne teksty, nie mam poczucia, że merytorycznie napisałabym je inaczej. Byłam czasem zażenowana ich skąpością warsztatową, ale nie sposobem opisywania świata. I jeśli mam sobie coś do wyrzucenia, jako błąd w sztuce, to fakt, że przegapiłam pokolenie młodych robotników tworzących "Solidarność", Bujaka i Frasińskiego na przykład, a był to błąd o tyle dziwny, że od dawna towarzyszyło mi przeświadczenie, iż ci młodzi robotnicy z maturą, aspiracjami i odmienną świadomością muszą zmienić oblicze świata. Myślałam zresztą, że to się stanie w Rosji, a ten ostatni moment przed polskim Sierpniem umknął mi. Nie opisałam go.

- Ale samo opisanie nie wystarcza. To, co się pisze, musi być wydawane. Teraz jest drugi obieg.

- Więc jest pierwszorzędnie.

- A gdyby go nie było?

- Brałabym relikwiarz i chowałabym teksty.

- Nie wierzę, że pisałaby Pani do szuflady.

- Pisanie jest formą życia.

- Samo dla siebie? Też nie wierze. To można powiedzieć, bo ładnie brzmi, ale Pani, pracując w "Życiu Warszawy" czy w "Polityce", była przyzwyczajona do wielkiej widowni, teraz ta widownia z konieczności zmniejszyła się, ale ma ją Pani nadal, więc nie jest to pisanie dla siebie. Poza tym publikuje Pani zagranicą ze świadomością, że i tam są czytelnicy.

- Drugi obieg traktuję jako sposób fizycznego przetrwania książki. To jest stan tymczasowy, forma zastępcza do normalnego wydania, w normalnym nakładzie i sprzedaży w księgarniach.

- Za naszego życia?

- Oczywiście! Jestem pewna, że doczekam normalnego wydania moich książek, także i ostatniej - "Okna" - którą niedawno skończyłam i oddałam do druku w niezależnym obiegu, nie zwracając tym razem głowy nikomu w "legalnych" wydawnictwach. Ale uważam, że nie jest to prawdziwa publikacja. O tyle ma pani rację, że jestem rozpaskudzona nakładem "Polityki", czy tych moich książek, które ukazały się, bo jeśli sąsiedzi skarżyli się, że dziecko przed maturą zapisało się po "Zdążyć przed Panem Bogiem" w kolejce bibliotecznego na 60-tej pozycji, to było prawdziwe istnienie książki. Książka była w bibliotece, nauczyciel zalecał jej przeczytanie, czułam, że ta książka naprawdę jest. A "Sublokatorkę" wydano w Paryżu. I kto ją czyta?

- Ten, kto jeździ do Paryża i jego znajomi.

- Ale ja nie piszę dla elity i znajomych. Kontakt z czytelnikiem musi być anonimowy. Kiedyśjechałam pociągiem, czytałam w jakimś piśmie artykuł o getcie i jadący ze mną chłopak - jak się okazało, gitara klasyczna w zespole "Waży Jagiellońskie" - polecił mi lekturę mojej własnej książki. I tylko takie spotkanie z czytelnikiem - z gitarą klasyczną w przedziale kolejowym jest prawdziwie ważne.

- Czy myślała Pani o tym odchodząc z "Polityki"? O tym, że zmieni się i zmniejszy krąg czytelników?

- Nie. Mówiłam, że była to decyzja podjęta poza mną, dokonana przez mój organizm. Wspominam tamte lata nostalgicznie, ale, co też mówiłam, ufam, że moje dzisiejsze pisanie przetrwa do normalnych czasów.

- Pani książki są o przetrwaniu. Pasja przetrwania w "Sublokatorce", drugą wynikający z cudu przetrwania u Edelmana. Pomówmy o tym - jak przetrwać?

- Trzeba to sobie przyrzec. Człowiek musi podjąć decyzję o przetrwaniu.

- Dosłownie tak to Pani napisała w "Sublokatorce".

- To niedobrze, bo w "Oknach" też. Ale taka jest prawda. Trzeba postanowić, że się przeżyje i wtedy człowiek przeżywa.

- Samo postanowienie, to mało.

- I trochę szczęścia, naturalnie, ale od postanowienia trzeba zacząć.

- A cel przetrwania? Po co?

- Jak to - po co? Każdy ma swoją odpowiedź, a mnie cieszą rzeczy najprostsze, słońce, deszcz, Narew, życie mnie cieszy. Myślę, że niewiele ludzi ma tę stałą świadomość życia, a ja ją mam. I zrozumiałam to od razu, kiedy wojna skończyła się,

a ja miałam siedem lat. Zrozumiałam, że przetrwałam, a choć słowo to było dla dziecka za trudne, to radość, którą wtedy poczułam, niosę do dziś. I w mojej hierarchii wartości nie ma spraw ważniejszych niż podstawowe, dotyczące życia i śmierci.

- A mówiono mi, że załamывała się Pani z powodu pracy, na przykład.

- Skąd! Było mi przykro, bo napracowałam się, byłam zła, bo jestem próżna, ale tylko tyle. W istocie mój próg ważności spraw jest taki, że codziennością nie przejmuję się. Kolejką po mięso też nie.

- Między kolejka a śmiercią jest jeszcze parę możliwości wyboru.

- Nie chciałam o tym mówić, to niedobrze kiedy reporterka mówi o sobie. Opisuję świat zewnętrzny, więc może o nim?

- Jak go Pani opisuje można przeczytać w reportażach. Ale pisze się przez swój pryzmat, dlatego pytam o Panią. Skąd wzięła się na przykład obsesyjność przetrwania i taka skala wartości?

- Z wojny, dzieciństwa, z czasu, gdy była nade mną śmierć. Z tego okresu wyszłam ukształtowana psychicznie.

- Dziecko nie rozumie śmierci.

- Nie zna realiów, nie wie, że są Polacy, Żydzi, Niemcy, a le zna zagrożenie i lęk. Żyłam w nieprzyjaznym świecie, zamieszkałym przez ludzi, przed którymi należało mieć się na baczności.

- Co z Pani jest w "Sublokatorce", w postaci tak dojrzałego dziecka?

- Wszystko i nic. Nie ma dosłownego zapisu mnie samej, ale jestem po ośści i w dziewczynce "jasnej" i w "ciemnej", a wszystkie dzieci były wtedy dojrzałe. Na przykład dla mojej mamy byłam najwyższym autorytetem w dwu sprawach: przyprowadzenia czerwonego barszczu i przeżycia. Mama zawsze pytała mnie o to; czy ktoś jest dobry, czy można prosić go o pomoc. A ja mówiłam: "można" albo "lepiej nie" i nigdy nie popełniłam omyłki. Jak widać - byłam ekspertem w sprawie przetrwania. I przetrwałam.

- A potem?

- Dom dziecka, studia, praca, rodzina. Normalnie.

- Pisanie?

- Może dlatego, że w dzieciństwie byłam zamykana w mieszkaniach, odizolowana od świata, była we mnie straszna ciekawość tego, w czym nie mogłam uczestniczyć, ciekawość patrzenia, słuchania, a z tymi cechami można tylko zostać reporterem. Poza tym stwierdziłam, że ci, którzy tylko żyją - dzielą świat, a ci, którzy go opisują - łączą. Pamiętam takie zdarzenie w Mykenach, kiedy trumny turystów z całego świata wzajem pytały siebie o różne pamiątki, groby itp. hasłami: Agamemnon? Orestes? I to było nadzwyczajne, że wszyscy mogliśmy się porozu-

mieć tymi imionami. A dzięki komu? Dzięki ludziom, którzy opisali świat, a w nim Agamemnona czy Crestesa. Uważam, że to jest wspaniałe: opisanie swojej części świata i zawiadomienie o niej innych.

- Wróć jeszcze do punktu odniesienia. Pani pisał o "częstce" świata, dokonuje wyboru, pisze o sobie, w myśli swojej skali wartości, a przecież nie dla każdego jest ona taka sama. I nie zawsze zagrożone jest życie.

- Dla mnie sprawy ważne zaczynają się od zagrożonego życia, ale inni ludzie mogą mieć inne ważności. W końcu o czymkolwiek się pisze, pisze się o sobie, albo o tej częstce siebie, która jest w innym człowieku. Kiedyś w "Polityce" ówczesny sekretarz redakcji, Darek Fikus, zarzucił mi, że każdy tekst piszę dla intelektualisty i estety - Michała Radgowskiego. Na moje pytanie - dla kogo mam pisać?, odpowiedział - dla tego, kto nad ranem drzemie w poczekalni dworca Koluszek. Istotnie, ja piszę dla tej części Michała, która jest w drzemiącym na dworcu w Koluszkach, a kto tej części nie ma, nie musi mnie czytać.

Natomiast rozumiem i to, że do siły przeżywania nie jest konieczna aż wojna, bo każdy ma swoją skalę ważności i swoją "wojną". Nie wiem, czy pamięta pani taką sceneczkę w "Sublokatorce", gdy znajoma opowiada "czarnej" dziewczynce o tym, jak gestapowiec uderzył w twarz jej ojca-oficera i jaka to była tragedia. Otóż kiedyś ta historia śmieszyła mnie, bo na mojej skali honor uderzonego oficera był bardzo odległy, a dziś rozumiem, że istnieje skala oierpienia bez względu na jego przyczyny. I przyczyna nie jest najważniejsza, ważne jest, ile dzięki niej człowiek wytwarza odwagi, radości, cierpliwości czy cierpienia właśnie. W "Sublokatorce" ta scena jest ważna, bo jest to książka o obowiązku walki o przetrwanie. I o obowiązku walki z poniżeniem, którym za przetrwanie zapłaciło się. Poniżenia były duże, ale podejmując decyzję, należało się na nie godzić. I Edelman mówi, że zawsze ginęli ładni, dobrzy i delikatni, a zostawali brzydsi, gorsi, ale zacięci i nieustępliwi.

- A potem, w kolejnych pokoleniach, z tych brzydkich i twardych, ocalonych, rodzili się piękni i dobrzy? Dziwna mutacja.

- Nieprawda. Ludzie są dzisiaj brzydsi.

- Skąd Pani wie?

- Choćby porównując z dawną fotografią, ale i na naszych oczach ludzie brzydną. Mam nawet estetyzującą koncepcję końca świata.

- Zbrzydnie do cna?

- Nie. Pan Bóg ubrzydza świat, aby go zniszczyć bez żalu.

- Czy to znaczy także, że świat staje się gorszy?

- Brzydszy w każdym razie, a Bóg jest esteta. To pewnie. Przy czym, myśląc o brzydocie myślę o twarzach, nie o uli-

cach czy wystawach.

- W twarzach odbija się wszystko.

- Wszystko, pani Ewo, da się zracjonalizować, ale zapewniam, że nie warto.

- Ale czy wobec końca brzydkiego świata warto podejmować decyzję o przetrwaniu? Czy w Pani nowej książce "Okna" też jest ten problem, pazerność i mania życia?

- W tej książce bohaterka ma manię dziękowania za wszystko Stwórcy. Za wszystko, co ją otacza.

- A Pani dziękuje za to Bogu?

- Nie będę się zwierzała. Mogę mówić tylko o postaciach z książek.

- Dobrze. Więc dlaczego fikcja u reporterki? "Sublokatorka" w swej formie, była zaskoczeniem. A "Okna"?

- Są łączeniem fikcji z dokumentem, bo czyste uzależnienie od faktów staje się w końcu dla reportera dolegliwe. Jako reporterka mam prawo opisać tylko to, co zdarzyło się naprawdę, a to jest czasem nudne, albo w ogóle inne niż powinno być. Z kolei sama fikcja uzależnia od własnej, niebogatej wyobraźni, zatem połączenie obu form wydaje mi się najwygodniejsze. W "Oknach" bohaterka jest wymyślona: żyje, kocha się, starzeje, natomiast sceneria jej wymyślonego życia jest autentyczna ze ścisłością wręcz dokumentalną. A co się tyczy "Sublokatorki", to jej forma była zwykłą koniecznością. Pisałam o sprawach intymnych, wstydlivych - przeżycie jest sprawą wstydlivą - a więc musiałam wymyśleć formę, która oddali mnie na bezpieczną odległość od postaci książkowej. Dla mnie jest to oczywiste, a wielu ludziom to się ogromnie nie podobało. Może za mało czytają? W ogóle za mało się dziś czyta, a jeśli, to głównie rzeczy polityczne.

- Myszę, że jest inaczej. Pani przyzwyczaiła czytelników do siebie jako reporterki, która nie oszczędza swoich bohaterów, obnaża ich. Tak Panią identyfikują. I nagle Pani zaczyna kreować bohaterów i chowa się za nich na bezpieczną odległość, maskując się i dystansując. W tej rozmowie też.

- Tak. Naturalnie, że też.

Rozmawiała:
Ewa Szemplińska

Podróżnik po lesie rzeczy

Z RYSZARDEM KAPUŚCIŃSKIM
ROZMAWIA BILL BUFORD^{x/}

- "The Emperor" / "Cesarz" / to Pana pierwsza książka po angielsku, wydana cztery lata temu. Pisał Pan już trzydzieści lat, zanim Pana dwaj tłumacze, Amerykanin i Polak, zajęli się przełożeniem tej książki i oddali ją amerykańskiemu wydawcy. Co, Pana zdaniem, powinniśmy wiedzieć o latach przed napisaniem "Cesarza"?

R.K.: - Między innymi zajmowałem się zbieraniem książek, gazet i fotografii o Pińsku. Pińsk, to miasto, gdzie się urodziłem i mieszkalem do siódmego roku życia, kiedy ta ziemia, polskiego rodowodu, przeszła pod kontrolę Rosjan.

- Zbiór ten, to materiał jakby autobiograficzny, czy tak?

R.K.: - Nie wiem, być może. Ale chyba po prostu część krajobrazu, z którego się wywodzę. Jest to krajobraz ziemi równinnej, błotnistej. Pińsk, prowincjonalne miasto z brudnymi drogami, odcięty od świata, był w gruncie rzeczy zbiórkiem przedziwnie kosmopolitycznym. Wielu założycieli państwa Izrael pochodzi z tego miasta. Żyli w nim Żydzi, Polacy, Białorusini, Ukraińcy, Ormianie - ludzie różnych religii, od judejskiej do katolickiej i islamskiej. Żyli oni wszyscy razem i nie tworzyli narodu, a nazywali się Poleszucami, co znaczyło "ludzie urodzeni na Polesiu". Trzeba też dodać, że choć Pińsk był tak międzynarodowy, jednocześnie był bardzo biedny.

- Jak to?

R.K.: - Biedny, jeżeli chodzi o najbardziej elementarne rzeczy. Podczas wojny jadaliśmy prymitywne ciasto - mąka z wodą. Nie mieliśmy butów i okręcailiśmy nasze nogi korą. Pamiętam, jak ojciec opowiadał mi o wojsku po pierwszej wojnie światowej. Były trzy pułki w Pińsku, butów natomiast starczyło na jeden. W niedzielę tylko jeden pułk mógł uczestniczyć w mszy. Natychmiast po zakończeniu mszy pułk wychodził,

^{x/} Jest to tekst wywiadu przeprowadzonego przez amerykańskiego dziennikarza i pisarza Billa Buforda dla "Granta - The Story Teller" i zamieszczonego w numerze 21/87 tego czasopiśma. Tytuł pochodzi od redakcji "Mostu". /red./

aby natychmiast zdjąć buty i oddać ludziom z następnego pułku, czekającym na zewnątrz.

- To tłumaczy pańska fascynację, jeżeli chodzi o buty, widoczna w pańskich pracach.

R.K.: - Tak, buty to moja obsesja, ponieważ para butów to było marzenie mojej młodości, były one wtedy sprawą prestiżu i dumy.

- Przypominam sobie Pana relację o "Soccer War", konflikcie między Hondurasem a Salvadorem o mecz futbolowy. Omal nie został Pan zabity na boisku, śledząc poczynania jakiegoś poborowego z Hondurasu, który zaczął sciągać buty z nieżyjących żołnierzy, aby zabrać je do domu, dla rodziny. Rozumiem, jak dalece Pińsk, środowisko, z którego Pan pochodzi, miały wpływ na Pana pisarstwo.

R.K.: - Tak, Pińsk, choć tyle wiał z Europy, nie był jej częścią. Dopiero gdy miałem lat siedem, zobaczyłem po raz pierwszy w życiu pociąg. Dostałem telefon, gdy miałem lat 30 i ciągle się uczę, jak się nim posługiwać. Ludzie jeszcze mnie muszą powstrzymywać, gdy jestem już przy drzwiach, w drodze do kogoś, kto daleko mieszka, ponieważ nie zawsze przychodzi mi do głowy po prostu nakręcić numer. Technologia mnie oneśmiela. Natomiast w Trzecim Świecie nie czuję się nieswojo. Często odwiedzałem Pińsk w Afryce, Azji i Ameryce Łacińskiej. W Etiopii czuję się, jak u siebie w domu, zawsze czuję się jak w domu wśród biedy, bo wiem, co to jest życie. Poleska, plemienna, feudalna społeczność przygotowała mnie do Afryki.

Często pytano mnie, czy opuszczę Polskę, czy wyemigruję. Na pół żartem zawsze odpowiadałem: - nie muszę emigrować, już to uczyniłem. Jestem emigrantem z Pińska, z innego świata.

- Opuścił Pan Pińsk w 1940 r., ukrywając się przed Rosjanami, a potem Niemcami. Jak Pan się czuł wyładowawszy w Warszawie, gdy wojna się skończyła?

R.K.: - Byliśmy wszyscy szczęśliwi z tego powodu i zjednoczeni, choć niepewni, nie wiedząc, co przyszłość przyniesie. Warszawa kompletnie zrujnowana, budynki wypalone do samej ziemi. Pamiętam, jak chodziłem po ulicach, pełnych ludzi niosących tobołki, idących w różnych kierunkach. Szli i szli. Znaleźliśmy małe pomieszczenie w wypalonym budynku. To pomieszczenie stało się naszym domem.

- Jak w warunkach, w których główną sprawą była sprawa przeżycia, udało się Panu zdobyć wykształcenie?

R.K.: - Szkoła średnia miała gorsze pomieszczenie niż nasz dom. Po prostu cztery ściany, bez szyb w oknach, bez podłogi, ściany szczerniałe od ognia. Było nas w klasie 50 chłopców, mieliśmy jedną książkę, z której po kolei czytaliśmy. Przypomirało mi to Pińsk, gdzie podczas wojny w naszej klasie też była tylko jedna książka: "Problemy leninizmu" - z tej to książki uczyliśmy się alfabetu rosyjskiego.

- Dlaczego wybrał Pan historię jako kierunek studiów?

R.K.: - Moim zamiarem było studiowanie filozofii, ale w tym czasie nie było takiego wydziału, ponieważ tradycyjna filozofia została wyrugowana jako przejaw burżuazyjny. Istnieli świetni wykładowcy, ale nie można było ich angażować, ponieważ nie wolno było im wykładać filozofii burżuazyjnej, a marksistowska jeszcze się nie rozwinęła.

- Na ile był Pan świadomy machinacji rządu w tym czasie, jak dalece członkowie rządu zostali wycwiczeni w Moskwie podczas wojny i jak się odbyły narzucone wybory w 1947 r.?

R.K.: - W tym czasie byłem aktywistą. Wszyscyśmy byli: Kożakowski, inni pisarze, intelektualści, ci, którzy później wyemigrowali. Nie przychodzi mi do głowy nikt, kto nie byłby aktywistą. Sam wstąpiłem do organizacji młodzieżowej w 1948 r.

- Komunizm uważany był za dobrą rzecz?

R.K.: - Oczywiście, młodzież tak myślała, byliśmy wszyscy bardzo zaangażowani, pełni entuzjazmu i nadziei.

- Co spodziewaliście się osiągnąć, co rząd mógł przynieść, czy to, że ziemia będzie ponownie rozdzielana, lub...?

R.K.: - Spodziewaliśmy się wszystkiego, byliśmy pełni ufności, niech Pan nie zapomina, że byliśmy młodzi. Trudno to wytłumaczyć młodym ludziom w Polsce teraz, ponieważ oni są daleko bardziej poinformowani, niż to było możliwe w naszym przypadku. Mają dostęp do historii, do informacji i do wiadomości, to czegośmy nie mieli. Nie mieliśmy tradycji, żadnych książek, byliśmy biedni, niedoświadczeni i niewykształceni, a wiedza którą mieliśmy, pochodziła z tekstów stalinowskich. Proszę nie zapominać, że ja wstąpiłem na uniwersytet w 1950 roku, roku szczytu stalinowskiej ery.

- Zainteresowanie filozofia, wiadomości historyczne - to nie były chyba najodpowiedniejsze dyscypliny, żeby wykształcić korespondenta wojennego. Czy Pana nie kusiła kariera akademicka?

R.K.: - Proszono mnie, abym pozostał na uniwersytecie, żeby wykładać, ale dla mnie nauczanie było żmudne i uciążliwe. Wtedy już zajmowałem się pisaniem. Wydrukowano właśnie mój pierwszy wiersz w "Słowie Powszechnym" oraz kilka wierszy w innych czołowych czasopiśmie. Skończyłem uniwersytet w 1955 r., w wieku 23 lat i zacząłem pisać dla "Sztandaru Młodych".

- Najważniejsze "kawalki" w tej gazecie były wtedy pisane przez Pana.

R.K.: - To nazywało się "Jaka jest prawda o Nowej Hucie". Naszej gazecie udało się umieścić mój artykuł, który był - powiedzmy - bardzo polemiczny. Nowa Huta była pokazową fabryką stali, wybudowaną blisko Krakowa. Była zamierzona jako nasz pokazowy "tryumf ekonomiczny". Pracowałem tam jako student, znałem straszne warunki życia i pracy. W momencie, kiedy artykuł się ukazał, zrobił się wielki szum, musiałem się skryć...

- Skryć się, jak to?

R.K.: - Tak, robotnicy, którzy byli moimi przyjaciółmi, chronili mnie, choć usunięto mnie z gazety. Szum, w każdym razie, trwał długo. W końcu wyznaczono komisję do zbadania moich stwierdzeń, która potwierdziła wszystko, co powiedziałem i... przyznano mi Złoty Krzyż Zasługi. Miałem lat dwadzieścia trzy.

To przeżycie mnie podbudowało. Dowiedziałem się, że pisanie, to ryzyko - ryzyko wszystkiego, a w istocie rzeczy polega nie na tym, co się publikuje, ale na konsekwencjach. Jeżeli zamierza się opisywać rzeczywistość, wtedy pisanie wpływa na rzeczywistość.

- W wieku 23 lat napisał Pan artykuł, który wpłynął na politykę rządu. Miał Pan wtedy napisać serię reportaży na temat życia wsi w Polsce. Pański "Busz po polsku" to książka, która stała się bestsellerem. Ale wydaje się, że resztę kariery pisarskiej spędził Pan na "unikaniu Polski". Dlaczego?

R.K.: - Nie unikałem Polski, inni o niej piszą i to piszą dobrze. Mój temat, temat który mnie fascynuje, to co innego. Niedługo po tym, jak mnie przywrócono do łask, poprosiłem o wyjazd za granicę. Chciałem poznać świat. Zapytano mnie, gdzie chcę jechać. Powiedziałem, że chciałbym zobaczyć coś innego i egzotycznego.

- Na przykład...

R.K.: - Na przykład Czechosłowację...

- Czechosłowację?

R.K.: - Tak, bo Czechosłowacja, to był już dla mnie duży świat. Ale redakcja wysłała mnie do Indii.

- Czy gazeta ta wysyłała już kiedyś korespondenta za granicę?

R.K.: - Nigdy. Byłem pierwszy. Musi Pan sobie zdać sprawę, że dla mojej generacji świat daleki jakby nie istniał. Indie, Afryka - to był świat bajek. Po Indiach pojechałem do Pakistanu i Afganistanu. Moje reportaże spodobały się. Posłano mnie następnie na Daleki Wschód, do Japonii i Chin, gdzie przez jakiś czas byłem korespondentem-rezydentem swojej gazety, następnie pojechałem do Afryki. Odkrywałem świat i z tego powodu później, w 1968 r., zebrałem kilka artykułów, które miały być opublikowane jako "The Soccer War" /"Wojna futbolowa" - przyp. red./ w chronologicznym porządku, tak, jak były napisane. Gdy się pisze o Afryce, z początku jest się przerażonym, potem zdziwionym, a następnie odkrywa się fascynację. Pamiętam, że kiedy kompletowałem tę książkę, gdy już byłem w Ameryce łańskie, brakowało mi Afryki...

- Dlaczego?

R.K.: - Częściowo dlatego, że Afryka, to moja młodość. Tak więc równocześnie brak mi było mojej młodości, kiedy to odnalazłem się jako korespondent, ponieważ ciążyły na mnie różne obowiązki. Pisałem wtedy dla PAP, Polskiej Agencji Prasowej.

Zgodziłem się na to ze specjalnych względów, ponieważ pod każdym innym względem praca dla agencji jest czystym niewolnictwem.

- Stwardniali, cyniczni ludzie - jak Pan ich opisuje w "Cesarzu" - którzy wszystko widzieli i przeżyli i są przyzwyczajeni do przewyższania tysięcy przeszkód, żeby tylko wykonać swoją pracę?

R.K.: - Żaden dziennikarz, który pracuje dla gazety lub telewizji, nie musi przeżywać okropieństw kondycji korespondenta agencji prasowej. Pewnego dnia napiszę o nich, o tych anonimowych twórcach wydarzeń, tych ofiarach informacji, pracujących dzień i noc w najgorszych warunkach. Ale ja podjąłem się tej pracy dobrowolnie, wiedziałem bowiem, że pracując dla agencji prasowej zobaczę więcej rzeczy i spotkam więcej ludzi, którzy chętniej udzielają wywiadów korespondentowi agencyjnemu, niż jakiemukolwiek innemu.

Tak więc, pracując dla agencji, mogłem podróżować. Polska, będąc krajem biednym, nie może pozwolić sobie na wielu korespondentów zagranicznych. Poproszono mnie więc, żebym był korespondentem z całego kontynentu afrykańskiego. Mogłem pojechać, gdzie chciałem, bo taka była moja praca. Często mnie pytają, jak to było możliwe, żebym mógł tyle zobaczyć jako dziennikarz. Osobiście byłem świadkiem dwudziestu siedmiu rewolucji. Dokładnie tego właśnie wymagała moja praca. Byłem "odpowiedzialny" za pięćdziesiąt krajów. Przynajmniej raz w miesiącu przypadło mi przeżyć coś w każdym z tych krajów. Byłem wprost n a d z i a n y opowiadaniami.

- Musiał Pan, w moim odczuciu, być bardzo operatywny?

R.K.: - Musiałem, bo moja praca tego wymagała, bo pracując dla biednej agencji, najważniejszym atutem był nie pieniąż, lecz informacja, kontakty. Kogo znałeś, czego się dowiedziałeś.

Dziennikarz, który pracuje dla bogatej agencji, może wynająć samochód lub aeroplant w każdym momencie, ja nigdy nie mogłem. Kiedy rozpoczęły się zamieszki w Zanzibarze, musiałem tam się dostać, choć nie miałem jak. Ale znałem ludzi biorących udział w rewolucji. Jeden z dziennikarzy wielkiej agencji poprosił mnie o pomoc - on miał środek lokomocji, ale nie miał pozwolenia na lądowanie. I zrobiliśmy układ: "nie mam pieniędzy na wynajęcie samolotu, ale jeżeli mnie zabierzesz, ja załatwię pozwolenie na lądowanie".

- Wiem, że nie chce Pan rozmawiać o Aminie, ponieważ jest to temat książki, którą Pan właśnie pisze, ale jak doszło do spotkania z nim?

R.K.: - To było w roku 1962. W Kampali zachorowałem na malarię i byłem nieprzytomny przez trzy tygodnie. Pewnego dnia, kiedy zacząłem odzyskiwać siły, Amin pojawił się przy moim łóżku.

- Był Pan wzorem dziennikarza w filmie Andrzeja Wajdy "Bez znieczulenia". Wajda opisuje Pana jako człowieka, który

nie potrafi usiedzieć spokojnie. Pan odjeżdża i znów wraca, opowiada kilka historii, aby znów zniknąć. Do jakiego stopnia zebrał Pan materiał w czasie swoich podróży, żeby wykorzystać go później w swoim piśarstwie?

R.K.: - Pan mnie nie zrozumiał. Znalazłem się w Afryce, ponieważ mnie coś tam pędziło, uczestniczyłem w ważnym historycznym momencie - wyzwolenia się Afryki, kiedy narody afrykańskie ogłaszały swoją niepodległość. Chciałem przekazać, jaka jest Afryka. Afryka ma swoją własną osobowość, czasami smutną, nieprzenikloną, ale zawsze niepowtarzalną. Jest dynamiczna, agresywna. To mi się podoba. Teraz, gdy się znalazłem w stabilnym, spokojnym środowisku, w Europie, jest mi nudno.

Nie byłem w Afryce po to, żeby kolekcjonować doświadczenia. Byłem tam jako dziennikarz pracujący dla agencji, choć sam widziałem siebie jako pisarza.

- Żyje Pan w kraju, którego obywatele uważają, że mają rząd marksistowski, narzucony wbrew jego woli. Był Pan świadkiem wielu rewolucji, na które patrzył Pan przyjaznym okiem - rewolucji w imię marksizmu. Czy Pan uważa, że możliwa jest uczciwa rewolucja? Czy nie widział Pan zbyt dużo, żeby uwierzyć w szczerą nadzieję, którą ofiarowują rewolucje?

R.K.: - W dziewiętnastym wieku wiara w naukę wywołała analogiczną wiarę w historię. Historia miała prawa, które powtarzały się wedle wzoru. To, w co teraz wierzę, to co innego. Historię trudno przeniknąć i na tym polega jej bogactwo.

Są rewolucje, które zaczynają się w imię sprawiedliwości i przynoszą jakieś reformy. W Portugalii Salazara, na przykład. Są inne, które nie przynoszą sukcesu. Najbardziej interesuje mnie tajemniczość historii, przede wszystkim, dlaczego rewolucja w ogóle ma miejsce. W Etiopii rewolucja rozpoczęła się z powodu podwyżki cen na ropę. Ale przecież cena wzrastała już od lat. Dlaczego nagle rewolucja?

- Łatwo zauważyć analogię między sytuacją polityczną, opisaną w Pana książkach, a Polska - bo skorumpowany dwór Haile Sellasie sugeruje skorumpowaną biurokrację w Warszawie, szaloną, nieracjonalną modernizację, niekontrolowane wydawanie pieniędzy w latach siedemdziesiątych. Czy w czasie podróży po Afryce był Pan świadomy polskich tam odpowiedzialników?

R.K.: - W Afryce są narody walczące o niepodległość, przy zachowaniu swych narodowych tradycji. Nie szukałem zbieżności.

- Czy Pan jest świadom, że czytelnicy w Polsce widzą te analogie i tak czytają Pańskie książki?

R.K.: - Tak, te zbieżności istnieją.

- Jaki związek ma Pan z czytelnikami w Polsce, czy to, że jest Pan pisarzem żyjącym w Polsce, jest sprawą istotną?

R.K.: - Tak, bo tu jest inaczej niż na Zachodzie. Niedawno poproszono mnie o wykład w pewnym mieście w kraju. Wykład miał się odbyć o piątej. Przyjechałem pół godziny wcześniej. Nie mogłem dostać się do środka, sala była zatłoczona. Gdy mi się

udało dojść do podium, miałem już wszystkie guziki powyrywane, koszulę podartą i zgubiłem okulary. Zacząłem wykład o pół do szóstej...

- Jest to ironia, że zachodni pisarze, szczególnie Amerykanie, zawsze zazdrościli pisarzom żyjącym w systemie politycznych reesj, że mają do czynienia, jak to opisał George Steiner, z "muse of censorship" /muza cenzury/. W Panskich pracach tej "muzy" zupełnie się nie czuje. Do tego ma Pan to, co niewielu zachodnich pisarzy posiada: ma pan historię do opowiedzenia i czytelników łaknących ją usłyszeć. Można Pana określić jako gawędziarza najbardziej tradycyjnego, podróżnika powracającego z detalami jego przebieg. Wysyłałem telegram i pozostawałem z uczuciem braku satysfakcji. Zdałem sprawozdanie z wydarzenia, a nie przekazałem głębszej, prawdziwej natury tego, co się działo. To poczucie niezadowolenia pozostawało mi za każdym razem, gdy wracałem do Polski.

R.K.: - Moja praca dziennikarza agencyjnego jest ważna, ponieważ zdobyłem doświadczenie, widoczne we wszystkich moich książkach. Byłem odpowiedzialny za sprawozdanie z jakiegoś wydarzenia. Musiałem podać lokalizację wydarzenia i jak najprędzej przetelegrafować z detalami jego przebieg. Wysyłałem telegram i pozostawałem z uczuciem braku satysfakcji. Zdałem sprawozdanie z wydarzenia, a nie przekazałem głębszej, prawdziwej natury tego, co się działo. To poczucie niezadowolenia pozostawało mi za każdym razem, gdy wracałem do Polski.

Zawsze znajdzie Pan dwie wersje mojej pracy. Pierwsza wersja to to, co piszę, gdy jestem "w toku", wszystko to zawarte jest w telegramach. Druga wersja to to, co piszę później, gdy wyrażam to, co faktycznie czuję. To, co przeżyłem, refleksje, które następują po wiadomościach.

Telegram prasowy jest to bardzo konserwatywny środek przekazywania wiadomości. Jestemy ograniczeni ilością słów, czasem, pieniędzmi. Realia, które mamy przed sobą, są dużo bogatsze, bardziej skomplikowane, niż to można opisać w sprawozdaniu dla gazety.

- Jaki rodzaj opowiadania nie daje się "sprzedać" w gazecie?

R.K.: - Otoczenie, klimat i atmosfera ulicy, plotki krążące po mieście, tysiące elementów stanowiących istotę wydarzenia, o którym napisane jest zaledwie 600 słów w porannej gazecie.

Czasami krytyczna reakcja na moje książki jest zabawna. Tyle skarg! Kapuściński nigdy nie podaje dat, ani nazwisk ministrów lub zapomina o porządku wydarzeń! A to jest właśnie to, czego unikam. Jeżeli takich odpowiedzi się szuka, można pójść do miejscowej biblioteki, tam się znajdzie odpowiedź na wszystkie te pytania - gazety z danego okresu, bibliografię, słowniki.

- Pana poczucie "niewystarczalności" jako sprawozdawcy jest analogiczne do tego, co wielu powieściopisarzy czuło.

gdy mówili, że wymóg tradycyjnego wątku w opowiadaniu przeszkadza im w wyrażeniu istoty rzeczy. Czy Pan się różni od "klasycznego" powieściopisarza?

R.X.: - Gdy dwadzieścia lat temu byłem w Afryce, widziałem rewolucje i zamachy stanu, z jednej wojny szedłem na drugą. Byłem świadkiem tworzenia się historii, prawdziwej współczesnej historii. Nigdy jednak nie spotkałem pisarza, poety czy filozofa, ani nawet socjologa. Gdzie oni byli? Takie ważne wydarzenia i ani jednego z nich!

Wróć więc do Europy i znajdę ich, jak w domu piszą swoje historyjki o chłopcu i dziewczynie. Ich zbliżenia, małżeństwo, rozwód, wszystko to, co pisze się od tysięcy lat. Któregoś dnia czytałem o powieściach, które zdobyły corocznie, francuskie nagrody literackie. Nie do wiary! Żadna z tych książek nie traktowała o istotnych problemach naszego świata...

- Czy Pan uważa, że współczesna literatura jest zaaferowana sama sobą?

R.K.: - Nie. Po prostu nasza literatura jest bardzo tradycyjna, nawet, gdy uważa się ją za awangardową, a jeżeli jest taką, to tylko z powodu swego stylu, jakby tworzonego w warsztacie. Nigdy nie jest awangardowa tematycznie. Pisarz patrzy za siebie, przez ramię, zwracając uwagę na poprzednika. Współczesna literatura, to tylko życie prywatne ludzi.

- Przypomina mi się esej Josifa Brodskiego na temat powieści rosyjskiej, w którym mówi on, że dwudziesty wiek nigdy nie stworzy prawdziwie "rosyjskiej" powieści, ponieważ wyobraźnia literacka jest zdominowana przez państwo. Pańskie książki są najbliższe uwolnienia się od tych nacisków ze strony państwa. Posłuszny Pan jest tylko historii.

R.K.: - Nie wiem. Formułuję manifest, ale na pewno nie chcę okazać się dogmatykiem. Czuję, że piszę nową literaturę. Czuję czasami, że pracuję w nowej dziedzinie literatury, dziedzinie na razie nieobsadzonej i niezbadanej.

- Czy to literatura politycznych przeżyć?

R.K.: - Nie, to nie to. Czasami opisując to, co robię, uciekam się do łacińskiego zwrotu "silva rerum" - las rzeczy. To jest mój świat - las rzeczy, a ja żyję i podróżuję w nim. Żeby pojąć świat, trzeba go przeniknąć tak całkowicie, jak to tylko możliwe.

- Posługuje się Pan opowiadaniem, ażeby ten las rzeczy nabrał sensu, kształtu i spistości? Bo przecież Pańskie pisanie polega na narracji.

R.K.: - Tak, sama konstrukcja, opowiadanie, to początek i połowa osiągnięcia. Nie będzie ono kompletne, póki pisarz nie stanie się jego częścią. Będąc pisarzem, Pan tego doświadczył zapewne i na własnej skórze. To daje opowiadaniu spistość, to właśnie znajduje się w centrum "lasu rzeczy".

Tradycyjnym trickiem literatury jest pozostawienie pisarza w cieniu, opowiadanie poprzez sfabrykowanego narratora, który opisuje sfabrykowaną rzeczywistość. Dla mnie to, co mam do po-

wiedzenia, nabiera wartości przez fakt, że tam byłem i byłem świadkiem wydarzeń. Jest - przyznaję - pewien egoizm, że w tym, co piszę, skarżę się na upał, głód lub ból, który od czuwać, ale fakt, że to wszystko osobiście przeżyłem, nadaje temu autentyczność. Może Fan to nazwać osobistym reportażem, ponieważ autor jest tam zawsze obecny. Czasami nazywam to "literaturą na piechotę".

- Na ile to się różni od Nowego Dziennikarstwa - dzieła Huntera S. Thompsona, Joan Didion czy Toma Wolfe'a, którzy także wysoko cenili reportaż w pierwszej osobie?

R.K.: - To ważne pytanie. Gdy byłem w Afryce nic nie wiedziałem o Nowym Dziennikarstwie. Teraz widzę, że Nowe Dziennikarstwo było początkiem likwidowania bariery między faktem a fikcją. Ale ostatecznie Nowe Dziennikarstwo było dziennikarstwem opisującym odmienność Ameryki. Myślę, że poszliśmy dalej. To nie Nowe Dziennikarstwo, to Nowa Literatura.

Dlaczego jestem pisarzem? Dlaczego tyle razy ryzykowałem życiem, podchodziłem tak blisko do umierania? Czy po to, żeby zdawać sprawozdanie z tajemnic losu lub zarobić na moją pensję? Moja praca, to nie powołanie, to misja. Nie poddałbym się tym niebezpieczeństwom, gdybym nie czuł, że jest to coś niezwykle ważnego, że dotyczy historii, nas samych - tak, że czułem się zmuszony przez to przejść. To więcej niż dziennikarstwo.

Źródło: R.

Korespondencja własna z Kanady

Wszystko od nowa

MÓWI TWÓRCA "PRZESŁUCHANIA", RYSZARD BUGAJSKI

Dzielnica, w której mieszka twórca "Przesłuchania" jest pełna zieleni, małych domków z ogródkami i uciekających od gwaru miasta uliczek. Własny dom w Toronto. Od niedawna. Drugi rok w Kanadzie.

- No i co?

- Coś, co powiem na wstępie, będzie być może niepopularne. Mój wyjazd z Polski nie został podjęty nagle, z powodu tego, co wydarzyło się z "Przesłuchaniem". Nie. Z projektem wyjazdu nosiłem się od dawna. Od 1969 roku. Rozpatrywałem kraje anglojęzyczne, dlatego, że znam ten język. Australia - chociaż ma interesującą kinematografię - stanowczo za daleko od

reszty świata. Wielka Brytania niechętna jest obcokrajowcom. Pozostały Stany i Kanada. Ta ostatnia wciąż jeszcze chętnie przyjmuje emigrantów. Od ostatecznej decyzji wyjazdu wstrzymwały mnie naciski, wywierane na mnie, bym wyjechał. Jak gdyby na przekór władzom pozostawałem w FRL.

- Ale jednak Pan wyjechał. A "Przesłuchanie", jako pierwsza kaseta niezależnej wideoteki, zaczęło krążyć po kraju, odnosząc ogromne sukcesy. Czy nie żał Panu tego, że nie był Pan świadkiem społecznych splendorów swego filmu?

- Tak. Na pewno żał. Ale w końcu przecież nie można wciąż żyć raz osiągniętym sukcesem. Trzeba iść do przodu.

- Idzie Pan?

- Z trudem, ale idę.

- Z trudem?

- Oczywiście. Żłudne jest bowiem przekonanie o tym, iż sukces osiągnięty w Polsce, ba, nawet w Europie, liczy się tutaj. Tu trzeba wszystko zaczynać od nowa. Od początku. Trzeba pokazać, że potrafi się pracować w innych niż europejskie warunkach.

- Czymże więc przede wszystkim różnią się te warunki?

- Zacznę od "Przesłuchania". Dorobiłem na własny koszt napisy angielskie. Pokazywałem film. Owszem, ci, którzy go oglądali - chwalili, doceniali problem, ale... to wszystko za ma-
-ło. Oni chcieli zobaczyć, jak pracuję na planie. Czy potrafię. Reżyser tu, to człowiek do wynajęcia. Nie ma wpływu na obsadę, dostępu do montażu itp. Przychodzi na plan gotowy, ustawiony, dopięty na ostatni guzik i pracuje według żelaznego scenariusza. Żadnej improwizacji na planie. Tak zwane piętno indywidualności nikogo nie interesuje. Tylko reżyser, który jest producentem realizuje film według własnego widzimisię.

- Czy trudno zostać producentem?

- Nię. Jednak tylko wówczas, gdy ma się pieniądze można wynająć studio, aparaturę, ekipę, wszystko. Ale... właśnie pieniądze. Powracając do problemu sprawdzania się w odmiennych warunkach - zdawałem ten egzamin realizując dwa odcinki serii filmowej "Alfred Hitchcock przedstawia". To posunęło do przodu moje zabiegi o realizację własnego filmu fabularnego, o krok do przodu. Mogłem pokazać, że umiem, że potrafię również i tu.

- Własny film fabularny... Czy może będzie to ekranizacja "Przyznaje się do winy"? W moim przekonaniu temat świetny. Na amerykański rynek również.

- Zacznę od tego, że myli się pani co do potrzeb tutejszego rynku. Te sprawy, które opisuję w "Przyznaje się do winy", niewiele osób interesują zarówno tu, jak i w Stanach. Podstawowy rynek, dla którego realizuje się filmy, to grupa wiekowa od 16-tu do 24-26 lat. Dla nich kręci Steven Spielberg, F.F. Coppola, inni. Ten bowiem rynek robi kasę. Są jeszcze inni twórcy, którzy kasy nie robią, ale zaspakajają tzw. potrzeby intelektualne, np. Woody Allen. To właśnie z myślą o tej gru-

pie mógłbym tworzyć film. Naszą nadzieją - czyli takich, jak ja - jest sieć małych kin, tak obecnie modnych. Zresztą, jeżeli nawet jakiś film nie przyniesie zysków, to nigdy nie będzie strat. Bowiem telewizja i video zawsze zwróca koszty realizacji.

- Czy naprawdę temat "Przyznaje się do winy" nie wydaje się producentom frapujący dla tutejszego odbiorcy?

- Myślę, że nie, bowiem nie ma tu również mody na jakiegokolwiek akcenty antykomunistyczne, antyradzieckie. Chyba żeby było to coś w rodzaju Bonda czy Rambo. A z kolei takie traktowanie tematu nie interesuje mnie.

- Co więc będzie tematem ponownego debiutu fabularnego?

- Opowieść o kobiecie, Rosjance z pochodzenia, która pracowała w kanadyjskim ministerstwie spraw zagranicznych w Ottawie. Została ona zwerbowana do pracy w wywiadzie sowieckim, sprawa się wydała, był sąd, wyrok. Po odsiedzeniu wyszła. Rozpiła się. Wkrótce zmarła. Historia ta jest autentyczna.

- Bez akcentów antyradzieckich?

- Bez. Sprawa kobiety zaplątanej w wielką politykę. Jak w "Przesłuchaniu". Problem kobiety w więzieniu. Tak, jak tam.

- Na jakim etapie znajdują się przygotowania do realizacji?

- Na etapie scenariusza, który pisze specjalnie zaangażowana scenarzystka. Ja występuję tu jedynie jako płatny konsultant. Pierwsza wersja scenariusza nigdy się tu nie liczy. Powstanie ich tu około dziesięciu. Dopiero ta ostatnia, wyszlifowana do ostateczności, doczeka się realizacji.

- Uciążliwe?

- Oczywiście, jak wiele zjawisk tu w Kanadzie, gdzie również panuje swoista biurokracja, ślamazarność w podejmowaniu decyzji, niechętny stosunek do ryzyka. Pod tym względem Stany Zjednoczone są o wiele lepsze. Są tam ludzie, którzy nie boją się ryzyka, szybko załatwiają sprawy. Są wciąż ludźmi czynu, jak ich przodkowie, którzy zbudowali imperium. Oczywiście, gdy mówię o Kanadzie, nie mam na myśli jej części francuskojęzycznej, która rządzi się absolutnie odmiennymi prawami. Ma swoją kinematografię, swoje filmy, swój świat.

- Co poza wymienionym filmem chciałby Pan zrobić?

- Napisałem scenariusz filmu "Basement". To o mnie i moim pierwszym tu mieszkaniu. Może uda mi się go zrealizować.

- Czy nie żałuje więc Pan swego wyjazdu z kraju?

- Nie. Mimo wszystkiego złego, co powiedziałem o Kanadzie, czuję się tu znacznie lepiej, niż w Polsce. Odpowiadam za siebie. Nikt nie może mi niczego narzucić. Wyszliśmy z żoną z pierwszego impasu emigracyjnego. Jestem wdzięczny rządowi kanadyjskiemu, który na pierwszy rok pobytu dał mi nieodpłatną zapomogę. To pozwoliło mi uniknąć sytuacji przy-

musowej, czyli imania się zajęć przypadkowych. Nie było to wiele, ale pozwoliło przetrwać i pozostać w zawodzie. Dziś mamy już grono przyjaciół, a syn chodzi do kanadyjskiego przedszkola, gdzie również wrasta w środowisko rówieśnicze.

- Nie utrzymuje Pan kontaktów z polonią?

- Nie. Raczej nie. Minimalne. Jeżeli już żyję tu, to muszę wejść w problemy tego kraju, a nie tworzyć struktury zastępcze.

- Nie tęskni Pan do Polski?

- Do ludzi, do przyjaciół - tak. Myślę, że bardziej rozsta-
nie z krajem odczuła moja żona. Ona tam pracowała w "Czytelni-
ku", wśród ludzi, których znała od lat. Tu weszła w zupełnie
inny świat. W krąg ludzi biznesu, interesu, zysku. To na po-
czątku bardzo trudno zrozumieć.

- Pokochać kapitalizm...?

- Tak. Ale także zrozumieć wiele, wiele spraw, jakże odmien-
nych dla nas, urodzonych nie tylko w socjalizmie, lecz również
w Europie.

- Czy udało się już Panu zrozumieć je i przyswoić?

- Nie do końca. Jeszcze nie.

- Życze powodzenia i dziękuję za rozmowę.

Rozmawiała:
Katarzyna Żabińska

=====

ANKIETA "KULTURY"

ANKIETA "KULTURY"

=====

"Hasło reform w Związku Sowieckim stwarza presję na inne kraje bloku, zwłaszcza te najbardziej konserwatywne /Rumunia, Czechosłowacja, NRD/. Nawet w Polsce, gdzie Gorbaczow nie jest dla władz wyzwaniem, lecz potwierdzeniem słuszności dokonanych wyborów, nowy język dobiegający z Moskwy zmusza ekipę Jaruzelskiego do poszukiwania nowych rozwiązań, czy przynajmniej nowych słów, by dać dowód woli zmian. Stwarza to niewątpliwie pewne pole dla nacisków społecznych.

I jeszcze jedno źródło umiarkowanego optymizmu. Dotychczasowe doświadczenia pokazują, że gdy władcy ZSRR zajęci są problemami wewnętrznymi, poszerza się pole manewru w krajach peryferyjnych. Tak było w 1956 roku, w okresie destalinizacji, tak było po usunięciu Chruszczowa /Fraska Wiosna była bombą z opóźnionym zapłonem/. Od aktywnych sił społecznych tych krajów, od grup we władzach zainteresowanych zmianami, choćby bardzo umiarkowanymi, zależy, na ile obecna szansa zostanie wykorzystana. Szansa podwójna: zdyskontowania reformistycznego otwarcia Krem-
la oraz jego międzynarodowego i wewnętrznego uwikłania."

Aleksander Smolar

KAREL KRYL, ur. 1944 r. Po ukończeniu średniej szkoły rzemiosł artystycznych pracował w przemyśle ceramicznym. W połowie lat sześćdziesiątych zaczął występować na terenie Czechosłowacji jako śpiewający poeta. Szczególne powodzenie przyniosły mu koncerty w latach 1968-1969. Nagrał w kraju jedną płytę długogrającą /1969/, a pięć następnych wydała emigracyjna firma "Šafran". Jest też autorem kilku tomików wierszy wydawanych przez oficyny emigracyjne. W Polsce popularny już na początku lat siedemdziesiątych /jego piosenki wykonywał m.in. "Salon Niezależnych"/, a ostatnio "Nowa" wydała kasetę z przekładami jego piosenek. Od 1969 roku przebywa w RFN i mieszka obecnie w Monachium.

Jestem na emigracji, ale nie wyemigrowałem

Rozmowa z Karem Krylem

A.J.: - Debiutowałeś na początku lat sześćdziesiątych. Jak wspominasz dziś ten okres?

K.K.: - Debiutowałem właściwie już pod koniec lat pięćdziesiątych. W 1958 roku zacząłem naukę w szkole ceramicznej w Bechyni - robiłem tam lalki, rzeźby; rok później dostałem gitarę i jednocześnie, jak każdy nastolatek, pisałem wiersze. Starąłem się wtedy znaleźć kogoś, kto napisałby do tych wierszy melodie, nikt jednak nie poznał się na moim geniuszu, musiałem więc sam zacząć pisać muzykę do swoich tekstów. W tym czasie w Bechyni znalazło się sporo fajnych ludzi, a również ogólna atmosfera w kraju stopniowo się zmieniła. Najszybciej odczuwało się to w kulturze, zaczęło bowiem powstawać wiele nowych zjawisk: muzyka młodzieżowa, balladziści, jazz itp. Zamiast ideologicznych czastuszek, żenująco prymitywnych rymowanek /pisanych wcześniej także przez Pavla Kohouta i Milana Kunderę/, teraz Jirka Suchý śpiewał, że "w oknie siedział kociak, a na ulicy czekał pies". Ludzie znów zaczęli się śmiać, bawić się słowami - zarówno samym ich dźwiękiem, jak i znaczeniami.

Miałem wielkie szczęście, że właśnie moje młodzieńcze lata przypadają na ten przedziwny okres; człowiek przecież wtedy najbardziej reaguje na literaturę czy sztukę. Z jednej strony czuło się wprawdzie nadal polityczny kaftan bezpieczeństwa, z drugiej jednak strony tolerowano ponowne nawiązywanie zerwanych kontaktów z kulturą europejską. To była ogromna różnica w porównaniu z zalewem azjatyckości z lat pięćdziesiątych, z intelektualnym brain-washingiem i głupotą tamtych czasów. Tym razem władza nie była już w stanie kontrolować wszystkiego. W 1962 roku, po maturze, znalazłem się w Teplicach. I znów miałem szczęście, spotkałem tam bowiem wielu wspaniałych ludzi: artystów plastyków, muzyków, pisarzy, dziennikarzy /część z nich ledwie co wróciła ze stalinowskich obozów koncentracyjnych/ i stałem się najmłodszym członkiem tego towarzystwa. Tam do dobrego tonu należało robienie czegoś artystycznego, więc pisałem strasznie długie, "nowoczesne" i "ostre" wiersze /dziś, kiedy wpadną mi w ręce, cieszę się, że nigdy nie zostały opublikowane/. W tym samym czasie zacząłem słuchać jazzu /znam doskonale "jazzowy" Sopot/ i "odkryłem" Billy Holliday, Charlie Parkera czy Dave Brubecka, ale też słuchałem naszych wariatów, grających w Teplicach mgliste kompozycje swingowe /w Teplicach jest stale mgła/. To było dla mnie fascynujące przeżycie, bo przecież u nas od 1948 roku do tego czasu grano tylko utwory typu "Szedł Franek około ogródka" czy inne idiotyzmy. Takie były początki - dzięki piosenkom trampowskim /jeszcze z czasów nauki w Bechyni/ poznałem jazz, a potem zaczęła się moja przygoda ze śpiewaniem.

A.J.: - Czy od razu zostałeś profesjonalista?

K.K.: - O, to jeszcze daleka droga. W tym czasie pracowałem w fabryce klozetów i pisuarów Teplice-Trnovany /dawniej Diethmar-Uhrbach/, ponieważ nie dostałem skierowania na studia. Wcale jednak tego nie żałowałem, bo po raz pierwszy w życiu zacząłem zarabiać pieniądze, a od przyjaciół z Teplic, o których przed chwilą wspominałem, nauczyłem się więcej, niż od niejednego profesora. Wielu z tych ludzi już niestety nie żyje, część wyemigrowała, a część - powiedzmy to brutalnie - została w kraju i skurwiła się /różnica między kurwą a prostytutką jest ekonomiczna: kurwa - to charakter, a prostytutka - zawód/. Ale to w końcu ciebie nie interesuje, zresztą macie podobne problemy.

Zacząłem występować publicznie już w 1959 roku, na zlotach trampowskich, choć jeszcze nie z własnymi piosenkami. Zresztą już jako czteroletnie dziecko potrafiłem się produkować i chyba zawsze miałem w sobie coś z ekshibicjonisty. Na dodatek cierpiałem z powodu niskiego wzrostu, a w czasach, kiedy człowiek zaczyna się interesować dziewczynami, trzeba było ten feler czynnie zneutralizować. Tak, tak, miałem straszne kompleksy i to był też jeden z powodów mojego pisania wierszy czy tekstów piosenek; nie odważyłem się jednak jeszcze wtedy prezentować tego publicznie i ograniczyłem się do trampowskich standardów. Pierwszą swoją piosenkę nagrałem w 1961 roku - "Spotkałem swą teściową na moście w Bechyni". Byłem wtedy pod dużym wpływem m.in. Wericha i Voskovca, ale pisanie pio-

senek traktowałem jako "zajęcie dodatkowe", bo przede wszystkim tworzyłem wiersze, o których ci mówię. Od 1962 roku zacząłem występować z piosenkami w teatrach w Teplicach. Pisałem wtedy takie zakompleksione utwory dla dziewczyn, dla przyjaciół, którzy byli mi bliscy i którym tak wiele zawdzięczałem. Później musiałem iść do wojska, gdzie przygotowałem program piosenek "Nalot na głupców", za który to program mnie w wojsku zamknęli. W 1965 roku wróciłem "do cywila" i stwierdziłem, że ten "cywil" jest pod strasznym wpływem wojska, że jest to walka prowadzona dla samej walki. Przecież wiesz, że u nas nie zbiera się plonów, ale jest walka o plony, nie pije się piwa, ale prowadzi kampanię o zwiększenie spożycia chmielu itp. Ja też już się coś niecoś nauczyłem, więc przyłączyłem się do walki o podniesienie poziomu kulturalnego narodu i zacząłem pracować na polu kultury. Ładnie to brzmi, nie?

A.J.: - Należysz do legendarnych postaci Praskiej Wiosny. Jakie wspomnienia z tamtego okresu zostały Ci jeszcze w pamięci?

K.K.: - Ja właściwie mam niewiele wspólnego z Praską Wiosną. Wprawdzie sprowadziłem się do Pragi 1 stycznia 1968 roku, aby zrobić "rewolucję", ale w tym czasie nie byłem jeszcze zbyt znany ani jako pieśniarz, ani jako poeta czy tekściarz. Przyjechałem tam na zaproszenie kolegi, który mi napisał, że w Pradze też są dziewczyny o interesujących kształtach, wyposażone we wszystko, co potrzeba. Przyjechałem więc i 4 stycznia rozpocząłem "karierę" jako asystent sceny w praskiej telewizji. Praktycznie znaczący to, że zostałem takim lepszym rozwijaczem kabli: biegałem po ludziach, zapraszałem ich do udziału w programie, pertraktowałem z gwiazdami, sprzątałem białe myszki, które ktoś rozmnożył w studiu itd. Czyli Pragę tego okresu widziałem z bliska, ale oczami człowieka pracującego w dokumentalistyce w telewizji. Myślę, że to już była zapowiedź mojej drugiej pasji - dziennikarstwa, bo dziś zdaje mi się, że mógłbym poświęcić którąś ze swoich piosenek za możliwość zrobienia dobrego reportażu /choć byłbym również w stanie natychmiast rzucić ten reportaż, aby urządzić koncert dla kilkudziesięciu czy nawet kilku słuchaczy/; to będzie już chyba zawsze we mnie walczyło. Czasem wprawdzie mam wrażenie, że może lepiej byłoby się gdzieś schować w wieży i pisać sobie wierszyki, ale choć mam ponad 40 lat, nadal się jeszcze nie zdecydowałem.

A.J.: - Czy to znaczy, że w 1968 roku nie występowałeś w Pradze?

K.K.: - Właśnie, udało mi się to chyba ze dwa razy i można powiedzieć, że przez pomyłkę. Fraga jako miasto pop-music nigdy mnie nie rozpieszczała, a już na pewno nie w 1968 roku. Dopiero po sierpniu, kiedy przypadkiem byłem w teatryku "Semafor" i nagle wyłączono prąd /kryzys energetyczny/, poproszono mnie, żebym ratował wieczór /i kasę teatru/. Gwiazdy nie były w stanie śpiewać bez mikrofonów, a ja miałem jeszcze wtedy młody i zdrowy głos, więc z dwoma kolegami okupowaliśmy scenę przez kilka godzin. Dopiero po tym przypadku

wym koncercie zaproponowano mi współpracę z kilku praskimi teatrykami małych form, a pod koniec 1968 roku /w listopadzie czy grudniu/ moja piosenka "Braciszku, zamykaj wrota" znalazła się na pierwszym miejscu listy przebojów. No, nie dziw się, takie były czasy. Zresztą wtedy jeszcze i w prasie, i w literaturze, i w wielu innych dziedzinach działo się dużo świetnych rzeczy.

Po tych sukcesach zaczął się dla mnie niezwykle okres. Jeździłem po całym kraju z koncertami, czasem trzeba było występować 2-3 razy w ciągu dnia i naprawdę miałem kłopoty ze spełnieniem wszystkich oczekiwań /od tamtej pory mam niemal zupełnie zdarte struny głosowe/. W tym czasie w wytwórni "Supraphon" miała ukazać się moja płyta, która jednak natknęła się na kłopoty z cenzurą, ale ostatecznie udało ją się wydać w "Pantonie". Miała się również ukazać książka z moimi tekstami, lecz niestety jeden z przyjaciół zgubił gdzieś maszynopis i zanim zdążyłem to ponownie przepisać już się sytuacja zmieniła, więc nic z tego nie wyszło. Płyta jednak odniosła taki sukces /choć większość piosenek jest z lat 1963-67, a z 1968 roku są tylko dwie/, że osłodziło mi to inne niepowodzenia. Nagle zacząłem dostawać dziesiątki listów, od ludzi w wieku od 12 do 90 lat. Strasznie mnie to peszyło. Miałem wtedy 24 lata i nigdy nie posiadałem ambicji bycia pomnikiem czy trybunem ludowym; pisałem po prostu to, co czułem i okazało się, że właśnie to trafiło do ludzi. W pierwszej chwili byłem przerażony nagłą odpowiedzialnością za nieznanych mi ludzi, bo musiałem im odpowiadać, radzić, pomagać itp. Nie chwalać się, myśleć, że wytrzymam tę próbę nienajgorzej, choć wielu innym mogłaby wtedy uderzyć woda sodowa do głowy. Ja natomiast doszedłem do wniosku, że nie mogę zawieść tego zaufania, że muszę być konsekwentny w odrzucaniu wszelkich kompromisów. Przyszły już bowiem czasy teorii tzw. "skutecznego kompromisu", tzn. że za cenę drobnego ustępstwa coś tam nam opublikują. Problem jednak polegał na tym, czy to jeszcze będzie owo coś, co chcieliśmy napisać; kiedy ten kompromis - zamiast przynosić sukcesy - staje się źródłem klęski? Ja od początku nie zgadzałem się z tą teorią i uważałem, że ona strasznie rozmiękcza charakter. A ponieważ dzieje się to dość wolno, ludzie przestają sobie uświadamiać co stracili i dokąd zabrnęli, choć po pewnym czasie za możliwość opublikowania czegokolwiek gotowi są sprzedać duszę. Ja uważam, że są takie sytuacje, w których nie wolno pozwalać sobie na żaden kompromis, ponieważ on zabija. I to wszystko, całe przesłanie moich tekstów z tamtych lat.

A.J.: - Dlaczego ostatecznie znalazłeś się na emigracji?

K.K.: - Rzeczywiście, znalazłem się na emigracji, ale ja nie wyemigrowałem. W czerwcu 1969 roku wyjechałem na koncerty do Norwegii, na zaproszenie tamtejszego związku studentów. W tym czasie proces "normalizacji" w kraju przebiegał bardzo wolno, na tyle wolno, że z dnia na dzień wcale się tego nie zauważało. Myślę zresztą, że może w Pradze do dziś niektórzy ludzie /właśnie ci zwolennicy teorii "skutecznego kompromisu"/ są przekonani, że utrzymują jeszcze jakieś pozycje i że choć robią świństwa, to w ten sposób "zapobiegają najgorszemu". Ale

wracam do tematu. Wyobraź sobie, że kiedy po niecałym miesiącu znalazłem się z powrotem w kraju, to mimo tak krótkiej nieobecności zauważyłem ogromny "skok normalizacyjny". Nie mogłem już na przykład śpiewać piosenek, które jeszcze przed wyjazdem nie napotykały żadnych sprzeciwów. Wystąpiłem np. na festiwalu "Bratysławska Lira" - jako gość honorowy i kiedy na próbie zaprezentowałem swój repertuar /właśnie ten sprzed miesiąca/, zauważyłem, że sześciowie festiwalu zaczęli wychodzić, aby nie byli zmuszeni do złożenia na mnie donosu. W tym momencie zrozumiałem, że już długo w kraju nie pośpiewam. Zostałem wprawdzie przyjęty do szkoły filmowej na wydział dramaturgiczny, zanim jednak podjąłem studia wyjechałem na festiwal pieśni protestu w Bawarii, a potem na "Burg Waldeck Festival" /lewicowy festiwal na zamku Burg Waldeck w Nadrenii - przyp. A.J./.. Przejechałem przez całe Niemcy i bardzo mi się tam podobało, a kiedy w drodze powrotnej opuściłem już Monachium, dowiedziałem się, że granica czechosłowacka została z tamtej strony zamknięta. No, a ptak, któremu zamknięto klatkę, nie potrafi już do niej wrócić. Więc zostałem i muszę ci powiedzieć, że to jedna z niewielu decyzji, których nawet przez chwilę nie żałowałem. Tutaj byłem w stanie zrobić kilka razy więcej dla kraju, niż gdybym był tam. Erzeć cały czas nie przestałem pracować dla kraju. Jedyne, czego mi żal, to że straciłem żywy kontakt ze swoją publicznością, ale jakieś koszty trzeba ponosić...

A.J.: - Jakie piętno na Twoim pisaniu wywiera emigracja? Czy nie brak Ci tutaj inspiracji?

K.K.: - Absolutnie nie brak mi inspiracji, mam ich nawet więcej niż potrafię unieść. A jak to się odbija na pisaniu? Wiesz, tutejsza publiczność - wszystko jedno, czy tabylcza, czy emigracyjna - nie ma jednego, konkretnego, jednoznaczniego wroga. Tu każdy ma swojego, prywatnego. Trzeba więc z jednej strony mówić im o sprawach podstawowych, a z drugiej zaś - o ponadczasowych, ponadsytuacyjnych, ponadaktualnych. Przyznam się, że to dość trudne.

A.J.: - Większość polskich czytelników nie wie, że masz na swoim koncie kilka tomików poetyckich, wydanych przez oficyny emigracyjne. A Ty sam, czy uważasz siebie przede wszystkim za poetę, czy za piosenkarza?

K.K.: - Przede wszystkim zawsze byłem "tekściarzem", a muzyką zajmuję się właściwie z konieczności. Każdy, kto choć trzy miesiące uczył się gry na gitarze, rozpozna, że nie jestem wirtuozem tego instrumentu; ot, po prostu sobie akompaniuję. Ale rzeczywistość zawsze najbliższa mi była poezja i poświęcam jej coraz więcej czasu, bo przestała mi wystarczać forma piosenki. Tekst piosenki z konieczności musi być uproszczony poetycko, tak aby słuchacz mógł go zrozumieć od razu, przy pierwszym słuchaniu; dobrze również, jeśli piosenka ma refren, który szybko wpada w ucho i przynajmniej da się nucić czy gwizdać. Dlatego znów zainteresowałam mnie poezją pisaną. Mam też na swoim koncie jedną prozę, ale dałem sobie z tym spokój, bo chyba tego nie potrafię. Oczywiście, nie przestaję pisać piosenek.

A.J.: - Śpiewasz również po polsku i to niemiecku...

K.K.: - No, tak, rzeczywiście. Mam sporo piosenek przetłumaczonych na polski i napisałem trochę bezpośrednio po niemiecku, też czeskiego oryginału. Mieszkam przecież od 15 lat w Niemczech, więc człowiek po pewnym czasie ma ochotę sprawdzić się w nowym języku. Nie mam jednak wrażenia, żebym potrafił coś powiedzieć tutejszej publiczności. To społeczeństwo jest syte; może prędzej mógłbym trafić do "enerdowców", ale tam oczywiście nie mogą jechać. W ciągu ostatnich lat miałem wprawdzie około 200 koncertów po niemiecku, ale nie bardzo zależy mi na tej publiczności. Tutaj bowiem każdy jest jakoś zaszkladkowany: prawica, lewica, centrum, zieloni, czerwoni, niebiescy itd. Ani ja, ani większość ludzi z tamtej strony kurtyny nie patrzy na świat w tak uproszczony sposób, nie mam więc zamiaru dać się gdzieś zaklasyfikować. Są ludzie, którzy to potrafią, a ja nie mam im tego za złe, ale to "nie moje piwo". Ja zawsze staram się zachować krytyczny stosunek do świata - przecież m.in. dlatego opuściłem kraj, w którym nie jest to możliwe.

A.J.: - A co Cię skłoniło do śpiewania po polsku?

K.K.: - Nie jest to kurtuazja, kiedy ci powiem, że zawsze miałem do Polski wielki sentyment. Napisałem nawet piosenkę "Organy w Oliwie" pod wpływem wydarzeń grudniowych, a w piosence "Ręka to most" są też polskie motywy. Śpiewam również sporo polskich piosenek opozycyjnych i piosenki rosyjskie. No, a poza tym bardzo lubię śpiewać po polsku i chętnie nagrałbym więcej piosenek, gdyby je tylko ktoś potrafił przetłumaczyć. Mam wprawdzie na pewno nie najlepszą wymowę i akcent, ale nauczanie się polskiego tekstu nie sprawia mi kłopotów.

A.J.: - Wróćmy jeszcze na chwilę do spraw emigracji. Wybacz tak mało oryginalne pytanie, ale jak Ci się tutaj żyje?

K.K.: - Wiesz, Zachód nie jest rajem i jest tu wiele problemów, które staram się krytykować, m.in. w swoich tekstach. Człowiek przecież powinien postrzegać zło nie tylko w odległym kraju rodzinnym, ale może przede wszystkim wokół siebie. Z drugiej jednak strony mogę być pewny, że kiedy o północy ktoś zadzwoni do moich drzwi, to nie będzie to tajna policja, która chce mnie aresztować; że jest 98 procent pewności, iż to przyjaciel, który przyjdzie na piwo albo zechce mnie dokądś wyciągnąć; zaś te 2 procent, to faktycznie może być policjant, który jednak przyjdzie mnie grzecznie zapytać, czy nie zechciałbym łaskawie ściszyć sprzętu nagłaśniającego, bo to trochę przeszkadza sąsiadom. To niby drobne rzeczy, ale m.in. z ich powodu tu jestem.

A.J.: - Wspomniałeś przed chwilą Wericha i Voskovca. Jaka jeszcze czeska czy inna tradycja miała wpływ na Twoje pisanie?

K.K.: - Myślę, że bardzo różne tradycje. Z Czechów na pewno właśnie Werich i Voskovec, ale też Jaroslav Hašek, Jiří Karásek czy Karel Havlíček Borovský /zwłaszcza w epigramach/. Z innych wielkich myślę, że najwyraźniejsze piętno odcisnęły na mnie lektury Villona, Rimbauda i Baudelaire a, ale właściwie

przynawałbym się do całej dobrej poezji europejskiej /Amerykanów wprawdzie lubię, ale to już nie jest moje/. No, a po trzecie w moim przypadku ważna jest też tradycja rodzinna - ojciec i dziadek byli drukarzami i nie tylko produkowali, ale też kochali piękne książki, a ja chyba trochę po nich o dziedziczyłem to zamiłowanie.

A.J.: - Co sądzisz o współczesnej kulturze czeskiej?

K.K.: - To trudne pytanie, bo patrzę na kraj z oddalenia. Wydaje mi się, że z tego powodu mam dość skrzywiony obraz czeskiej kultury: nie znam kulis życia kulturalnego, nie wiem np. wszystkiego na temat koncertów czy literatury niezależnej. Do nas tutaj dociera przecież tylko nikły procent tzw. "samizdatu", więc nie jestem w stanie objąć całego wachlarza dokonań. Mogę jednak z całą odpowiedzialnością stwierdzić, że potrafię odróżnić ziarno od plew, tzn. literaturę prawdziwą od tej, która powstała tylko dla honorarium. Kultura jest bowiem niepodzielna, a jeśli już daje się dzielić, to właśnie na dobrą i złą - niezależnie od obiegu.

Niezwykle cenię Václava Havela, który miał odwagę powiedzieć kłamstwu "nie", również Ivana Klime i wielu, wielu innych /także tych, których zmuszono do wyjazdu z kraju/. Wiem również, że wychodzi dużo samizdatowych książek i wyrasta nowe pokolenie balladzystów /dzięki Bogu!/. Nie odrzucam wprawdzie całej kultury oficjalnej, ponieważ i tam znajdują się czasem rzeczy wartościowe, ale mam wrażenie, że przeważająca część istotnych dokonań należy do nieoficjalnego obiegu.

A.J.: - Pozwól, że spytam na koniec, jakie masz plany na przyszłość?

K.K.: Wiesz, nigdy nie robiłem dalekosiężnych planów. Chciałbym po prostu być zdrowy, coś jeszcze napisać i zaśpiewać i to wszystko. Nie wiem, czy chciałeś przez to spytać, czy mam nadzieję wrócić do kraju i śpiewać? Nie, nie mam takich złudzeń; w dodatku stale jestem zapracowany /m.in. w Czechosłowackiej Rozgłośni Wolna Europa, czego się nie mam powodu wstydzić/. Chcę więc nadal popularyzować czeskich bardów /których jest już na Zachodzie około dwudziestu/, robić wywiady z ludźmi wyrzucenymi z Czechosłowacji, a ponadto chcę pisać swoje piosenki i wiersze.

A.J.: - Czy chcesz, żebym jeszcze na koniec o coś Cię spytał?

K.K.: - O nic już nie pytaj, ja sam ci coś powiem na zakończenie; coś od siebie. Nie mamy wprawdzie zbyt dużo czasu, ale to nie będzie długie. Emigracja różni się od "tamtąd" tylko tym, że żyjemy w innym środowisku, niemniej tzw. "kontakty międzyludzkie", przyjaźń, są tu nie mniej ważne niż tam. Powinniśmy się ze wszystkich sił starać zrozumieć siebie wzajemnie, my, którzy żyjemy po obu stronach kurtyny, aby nikt z nas nie uzurpował sobie prawa do wyłączności własnych racji. Nie jest ani niczyją wadą, ani zaletą fakt, że został w kraju, albo że wyjechał; ważna jest tylko praca

i jej jakość. Powinniśmy zawsze czuć się Europejczykami i niezależnie od miejsca zamieszkania czynić dobry użytek z talentów, którymi obdarzył nas Pan Bóg, bo w końcu Jemu wszystko zawdzięczamy. To wszystko, cześć!

Rozmawiał: Andrzej Jagodziński

=====

PIOSENKI I WIERSZE KARELA KRYLA

=====

RAK

Uczeni, prawa znawcy
I anioł, który padł
Z ekranów znani starcy
Z ust sączą mdławy jad
A wiosna miesza karty
Zgarbionym plecom mas
Nad wszystkim trzyma wartość
Czerwonej gwiazdy blask. bis

Tej wiosny nie ma kwiatów
Wiatr uschłe liście gna
Strach krąży w wieńcu z astrów
Bez strun na lutni gra
A potwór bez oblicza
Pysk ryoi, smoka szpon
Na ołtarz wpełzł i ryczy
Kościelny głuszając dzwon

Że głupcy płacą słońco
I ich doradcy
Dziś władcom kark skrecono
Niech żyją władcy!
I jeszcze raz, od nowa
Grać każdą z ról
Ktoś króla gdzieś pochowa
Niech żyje król!

Jak dzwonki owiec stada
Pamfletów strofy brzmią
Pytanie sobie zadaj
W Hamletów grono wstąp
Zrób z duszy swej atrapę
Żyć wtedy będzie lżej
Wszak wapno trudno zdrapać
Gdy zaschnie w piersi twej. bis

Twarzy nie pokazał jakoś
i oczami nie świecił,
bo pewnie zazdrościł ptakom,
że taki gdzie chce, leci.

Ja po prostu, jej Bogu...

Gadał, gdy byłem w sypialni,
aż prasówka mi zbrzydła,
Pomyślałem, że mu walnę
w nagrodę z gilzy skrzydła.
Zrobiłem - no i po krzyku.
Oknem wyleciał, szelma.
Ale kumpel ma mi wykuć
Nowego z mego hełmu.

A po prostu, jej Bogu...

Trum.: B.K. Myszkín

MORITURI TE SALUTANT

Droga to piach
i kurz
i udeptana ziemia
co stacje potu
znaczy na twarzy
Ślą z gwiezdnych łach
nam już
orderów rząd z kamienia
Ślady tęsknoty -
pióra Pegaza

Droga to bat
i bzy
Jak uliczna kokota
jałowym brzuchem
zadaje szyku
W jej oczach grad
się skrzy
kiedy w nieznane miota
łodygi kruche
krwawych mieczyków

Sierżancie piasek się bieli
jak ramiona Daniela
Trzeba niewiele
i będziemy wiedzieli
Nim oczy zgasną
już świat nas zapomina
Sierżancie! Hasło!
Niech światła na nas spłyną
Morituri te salutant

Tą drogą dziś
mi iść
gdzie próżno bije w ziemię
skrzydło gołębia
w umarłym lesie
Marsza mi gra
huk dział
i niesie ukojenie
zanim ta głębia
w siebie nie wessie

Droga to pył
kres się
i kołujące wrony
muchy żelazne
niebo wysokie
Nabity gnat
mój brat
gdy na śmietniku trony
I takie straszne
białe obłoki

Trum.: B.K. Myszkın

DACHAU BLUES

Gdy cień do cienia lgnie co krok
Kredowe koło kreśli mrok
Gdzieś słycać werbli szelest
Gdy księżyc łomocze do krat
Jak gołąb - posiwiakły ptak
Kopciuszką pantofelek

Kiedy na północ bije dzwon
Rozchodzi się erotyczna woń
Zły sen wrota otwiera
Wciąż szkło rozbite w oknach tkwi
I ciągle świeża strużka krwi
Skapuje na referat

Gdy jak dziewczyna której śmiech
Na chwilę ci zatrzymał dech
Strach się na palcach skrada
Gdy zmarłychwstałych pchnięto w piach
Nad kochankami mostu dach
Kraty rusztowań składa

Kiedy na złocie płacze śnieg
Powietrzem płynie sady śmieć
Wokół tandety nuda
Znow lęk mozaiką kłamstwa drwi
Nie trzeba nam bez klamek drzwi
Starczy za nie obłuda

Rzygamy przed spaniem
W kalendarzu nic prócz piątków nie bywa
Zdychamy nad ranem
Przeraża sen że trzeba podpisywać
Pod maską odwagi
Kryje się zamęt
I mycie rąk jak Piłat
Gdy stróżem rozwagi
Jest opętanie
Przyszłość już się skończyła

Gdy kłamstwo w imię prawdy łąga
Wolność spętane ręce ma
A wokół kwitną krzyże
Gdy dziewczka dalej wiedzie rzecz
Miłość jak Murzyn poszła precz
I rany swoje liże

Gdy bez miłości gniew ma trwać
Będzie z kirkutów marmur rwać
I głosić tolerancję
Intelekt gdy w bezdusznosc wpadł
Śliski i groźny jest jak gad
Czy ślepiec z mieczem w tańcu

Tłum.: B.K. Myszkina

GRYF

...A gryf
Szponami do czasu
Rwał na wpół zgniłą słomę
Ze stogów
Pięć piw
Jak strzałka kompasu.
W kościoły gna wiadome
Bez bogów
Papuzie uniformy męczyzn
A na ulicach lud
Seryjne twarze
Ten sam jak spod sztancy chłód

Ten sen
Zamykał w horrorze
Jak na tchórzliwym dworze
Dla karłów
Gdzieś hen
Flag pochód jak morze
I zżółkła krepa - może
Po zmarłych
W górę oblazłych z farby schodów
A zamiast nieba - stryk

Ucięte głowy
Zadają w muzeach szyk

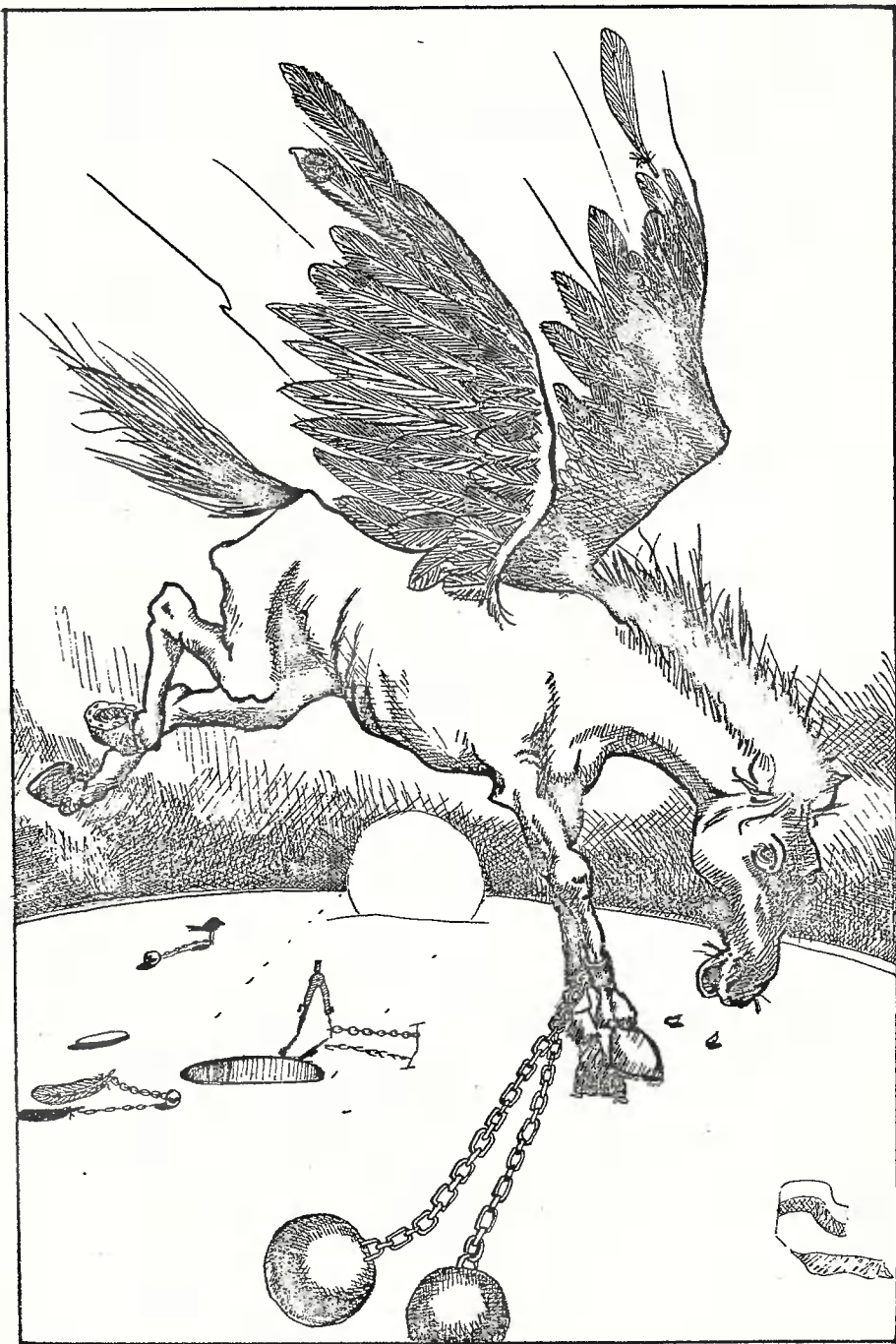
Nie walkę byków mamy tu
A szlachtowanie wołów
Robota pikadorów stu
Matadorów - do dożu
Gdy dama ciśnie bukiet róż
W locie we śmie się zamienia
I żadnych żagli w czerni mórz
I tylko wilków pienia
Do czterech księżyców

Wśród gniazd
Zawoje pajęczyn
Bo potonęły ptaki
Po rzekach
Do gwiazd
Gdy batóg zajęczy
Lew już na inne znaki
Nie czeka
Ma w złotej klatce rajski ogród
W potokach rtęci szmer
Żelazne ryby
Sparszywiałe mkną na żer

Z bram trzech
skorupy i drzazgi
Któż się tam gdzie ich zręby
Dokopie
Gdy w mech
Już dzwonów wsiąkł jazgot
Tylko gipsu otręby
Jak popiół
Sejm kruków nad wieżami zamku
Podgrodzem rządzi zbir
I Mane Tekel
Żuny i ciemności kir

Ten kraj widziany w twoim śnie
Podobny był do getta
To pokumany z diabłem lek
Harcuje na roletach
Śniesz niemy krzyk że chyba dość
Zera do zer dodawać
I żebyś bracie wiedział choć
Że to nie sen a jawa

•Tłum.: B.K. Myszkina



FAKTY – SYGNAŁY – OPINIE

GŁASNOŚĆ – NIEJASNOŚĆ

Głasność, Pieriestrojka, Uskorenie /czyli - jak to bystro ktoś zauważył - GPU/ w krótkim czasie zrobiły zawrotną - można by rzec, międzynarodową - karierę. Mają te hasła wywoławcze zarówno swoich zwolenników, jak i przeciwników. I jest to zrozumiałe. Wątpliwości wszelako budzi fakt, iż więcej przeciwników, jak się wydaje, jest w ojczyźnie tych skądinąd chwytliwych i pojemnych pojęć, natomiast zwolennicy występują "po przeciwnej stronie barykady", że posłużymy się również uniwersalnym /choć chwilowo mało używanym/ zwrotem. Procentowo zwolenników najwięcej jest chyba w Polsce, i to po obu stronach. Tymczasem zaś...

Naczelny redaktor miesięcznika "Moskwa", uchodzącego za organ "umiarkowanie nacjonalistyczny", Michaił Aleksiejew, poinformował pewnego zagranicznego gościa, iż w k a s n i e na tych łamach udośćpiona zostanie sowieckiemu czytelnikowi twórczość Vladimira Nabokova. Na żartobliwe pytanie, czy będzie to "Lolita", odparł gniewnie, że n i e, że "moralność ludzi sowieckich nigdy na to nie pozwoli". Wyjaśnił następnie, że "Nabokov jest wielce utalentowanym pisarzem, a poza tym jest przecieź... Rosjaninem". Na kolejne pytanie w sprawie poezji Josifa Brodskiego /a było to jeszcze przed przyznaniem mu Nagrody Nobla/, Naczelny znowu zdenerwował się: "...Brodski nie jest poetą, i w ogóle - to Żyd!".

Robrzejająca szczerosc... w ramach glosnosci. Gwoli przypomnienia, Josif Brodski, którego wiersze zostaly przetlumaczone na wiele jezykow swiata i ktory uchodzi za najwybitniejszego z zyjących poetow rosyjskich, u siebie w ojczyźnie odsiadywal wyrok za... pasozytniczny tryb zycia. Jesli przypomnimy, ze jeden z najwiekszych umyslów naszych czasów, wielki fizyk-humanista Andrzej Sacharow, takze mial swego czasu /w Taszkencie, gdzie wystepowal w obronie Tatarów Krymskich/ wyrok za chuliganstwo - to nie nalezy niczemu sie dziwic.

X X X

Pewien Japoczyk powiedzial: "Roznica miedzy nami a Zachodem jest taka, ze my mamy j e s z c z e ośrodek nazywany przez was duszą. Ośrodek ten - to taka pestka, bez niej

"owoc gnije, umiera...".

O "duszy rosyjskiej" można bez końca. O atrofii moralnej, która ogarnęła społeczeństwo sowieckie /przyjmijmy, że takie istnieje/, również mówią d z i ś, w ramach głośności, sami Rosjanie. Rzecz charakterystyczna, tak na marginesie, największej o głośności i przyspieszonej pieriestrojce mówi się w Moskwie, nieco mniej w Leningradzie /przetrzebiono tam wszakże inteligencję i to nie tylko podczas przewrotu bolszewickiego i wielkiego terroru/, a już na peryferiach imperium całkiem skromnie, jakby tylko urzędowo.

Można natomiast usłyszeć zaiste dramatyczne wołania: "Jakiego dna trzeba było sięgnąć, aby dziś z takim trudem usiłować podźwignąć się z upadku!", "Zapomnieliśmy o takich słowach, jak: miłosierdzie, dobroć, zwykła ludzka życzliwość!". Socjologowie, dyskutując n a d a l o źródłach i przyczynach nikłych sukcesów akcji antyalkoholowej, wskazują na podstawowy dylemat ludzi sowieckich: "VACUUM DUCHOWE".

Sam Wielki Reformator oświadczył publicznie jeszcze dwa lata temu, w początkach głośności i pieriestrojki: "Cokolwiek się stanie - tak dalej żyć nie sposób...". I dodał demagogicznie /mając na myśli dzieło przemian/: "Jeżeli nie my - to kto? Jeżeli nie teraz - to kiedy?". Zgadzałem się całkowicie z WAN-em, który na łamach "CDN - Głos Wolnego Robotnika" skomentował tę inwokację słowami: "Jeżeli wy - to nigdy! Jeżeli teraz - to nie wy!".

I jeszcze jeden cytat: "Ludzie zapomnieli o Bogu... I tak to wszystko się zaczęło" - powiedział Aleksander Sołżenicyn.

Gotów jestem uwierzyć /choć brak realnych przesłanek/, że pieriestrojka powiedzie się, że zostanie przywrócona równowaga ekonomiczna i przekształcona w kierunku nowoczesnym struktura przemysłowa sowieckiego kolosa. Lecz ja po prostu nie wierzę, iż O N I są w stanie odbudować infrastrukturę moralną narodu. Zresztą, jakiego narodu? Narodu, w sensie politycznym, w Rosji Sowieckiej nie ma, nie było i nie będzie! Istnieje natomiast przymusowy związek r ó ż n y c h narodów, wchodzących niegdyś w skład imperium carskiego, które jedynie teoretycznie mają prawo /na mocy konstytucji/ wystąpić z tego "dobrowolnego" tworu bolszewickiej rewolucji, a właściwie bolszewickiego przewrotu.

Redaktor naczelny nieoficjalnego periodyku moskiewskiego "Głosność", Grigorjanc, oświadczył ostatnio na łamach paryskiej "Russkiej Myśli", że to właśnie "Rosja powinna dać przykład i wystąpić z tego sztucznego i wymuszonego organizmu państwowego, dopóki - jak dodał - nie jest za późno".

Ale - jak sądzę - jest właśnie za późno. Na wszystko i nieodwołalnie.

X X X

Jest rzeczą cokolwiek zawstydzającą dla nas, Polaków, iż w chwili obecnej /niewątpliwie doniosłej/ bodajże jedynym kompetentnym ekspertem w sprawach rosyjskich /sowieckich/ jest Andrzej Drawicz, który porusza się wszakże /jakkże swobodnie! / na

ograniczonym, mimo wszystko, obszarze - kultury, literatury, trochę historii, ale świeżej raczej daty. Zdarzają się tu i ówdzie cenne publikacje /mam na myśli, oczywiście, drugi obieg/, ale w sumie, jak na takiego sąsiada, jest to żałośnie mało. O wiele więcej publikacji, o szerokim rozrzucie tematycznym i na niewątpliwie wysokim poziomie, pojawia się na Zachodzie, m.in. w USA.

Edward Kinnen należy do czołowych rusycystów i sowietologów amerykańskich i jego rozważania /gdyby były dostępne.../ o rosyjskiej tradycji politycznej w kontekście metodyki nauk interhumanistycznych stanowią wartościowy przyczynek do pogłębionej dyskusji pod hasłem "ruskiej wopros", którą chcemy czy nie chcemy - jest dylematem całej ludzkości.

Ze wszech miar słusznie proponuje on objaśniać historię całej nacji, nie zaś jej poszczególne etapy, fragmenty, zdarzenia. Wywody Edwarda Kinnena oparte są na badaniach o byczajów Moskwiów od zarania dziejów Rusi Moskiewskiej. Notabene we Francji jeździł on po obiektach sakralnych i badał kroniki kościelne i klasztorne. W Rosji Sowieckiej byłoby to zajęciem bezprzedmiotowym; tak niezliczone obiekty, jak i kroniki, zostały zdewastowane i zniszczone w ramach walki z religią. Zresztą, co zastanawia, autor nie przecenia roli cerkwi. Może jednak ma rację, gdyż stos pacierzowy cerkwi prawosławnej, jak pisał jeden z krajowych publicystów, złamali nie bolszewicy /oni tylko dokończyli dzieła/, lecz carowie, a przede wszystkim Iwan IV Groźny.

Edward Kinnen słusznie, jak się wydaje, proponuje zwrócić szczególną uwagę na wiek XVIII w procesie stanowienia się imperium i ostatecznego rozstrzygnięcia /za Katarzyny II/ trzech podstawowych dla Rosji imperialnej kwestii: "kwestii polskiej", "kwestii tatarskiej" i "kwestii ukraińskiej". Właściwie najpierw, w 1764 roku, zniesiono ostatecznie "hetmańszczyznę" na Ukrainie, zaś w miejsce urzędu hetmana powstało kolegium małorosyjskie. "Wmiera" wtedy Ukraina, a wkrótce i "Polska zginie...", bowiem te dwie "kwestie" były najpodstawowsze ze wszystkich podstawowych. I nie zostały rozwiązane po dziś dzień...

Michał Gliński

Na łamach prasy radzieckiej

STOSUNKI KOŚCIÓŁ - PAŃSTWO W PRL

Ostanio prasa radziecka ma tu u nas, w PRL, bardzo dobrą...prasę. Cytuje się ją na wyścigi, nieraz przytacza całe artykuły - niekiedy nawet na łamach prasy katolickiej, by już nie wspomnieć o drugim obiegu - jako dowód szalejącej otwartości, ujawniania "białych plam", używania innego języka i

posługiwanie się nowym sposobem myślenia. No więc, jak "głasnost" to "głasnost"! I my sięgnęliśmy do tego krynicznego źródła prawdy i znaleźliśmy w nim, na łamach wileńskiego "Czerwonego Sztandaru", organu KC partii Litwy wydawanego również w języku polskim, interesujący tekst na temat r z e - c z y w i s t y c h intencji właścicieli PRL wobec Kościoła Polskiego. Nie wymaga on komentarzy. To, czego nie udałoby się dziś napisać wprost na łamach peerelowskiej prasy, można drukować za miedzą, oczywiście w ramach "głasnosti", na fali nowego, szczerego stosunku do religii. I tu, i tam. Autorem tekstu jest radziecki /?/ "uczony", kandydat nauk filozoficznych Jan Ciechanowicz, który informacje swe czerpał u źródła, tj. u polskich przyjaciół w ANS PZPR i TKKS. /red./

• • •

"Komitet Centralny PZPR opracował i rozpoczął realizowanie kompleksowego planu kontrofensywy ideologicznej, mającej na celu rozprzestrzenianie wpływów światopoglądu marksistowsko-leninowskiego na jak najszersze warstwy ludności polskiej i likwidację dominacji duchowej kościoła katolickiego w społeczeństwie polskim. Głównym obiektem wychowania ideowo-politycznego staje się klasa robotnicza, a szczególnie te jej zastępy, które są związane z największymi gałęziami przemysłu. Szczególną uwagę poświęca się młodzieży.

Opracowano nader ważny dokument ideologiczny, zatytułowany "Program oświaty świeckiej". Określono w nim, uwzględniając realistycznie ocenę dzisiejszego stanu świadomości społecznej, konkretny perspektywiczny plan pracy partii, socjalistycznych związków młodzieży, Towarzystwa Krzewienia Kultury Świeckiej, Towarzystwa Przyjaźni Polsko-Radzieckiej i innych organizacji, mających na celu radykalną zmianę sytuacji ideologicznej w Polsce, a przede wszystkim przekształcenie marksizmu-leninizmu, w tym również ateizmu naukowego, w panującą formację ideologiczną w kraju. Jest to pierwszy w historii Polski Ludowej dokument takiego rodzaju, określający dalszą strategię działalności ideologicznej. Dokonuje się zmian w programach nauczania, w podręcznikach, w pracy wydawnictw, prasy, instytutów naukowo-badawczych, aby uczynić wychowanie ateistyczne ludności powszechnym i ciągłym.

Komuniści polscy wychodzą z założenia, że każdy człowiek przez całe życie powinien być obiektem wychowywania ideologicznego ze strony partii. Przy czym ten gigantyczny program wychowania ateistycznego /w polskiej terminologii - świeckiego/ jest obliczony na dziesięciolecie. Podczas jego opracowywania uwzględniano odpowiednie doświadczenia pracy towarzyszy radzieckich, węgierskich, niemieckich /NRD/. Ciekawym momentem jest, że już w 1986 roku do programu szkół średnich wprowadzono dodatkowy, ale obowiązkowy kurs ateizmu naukowego pod nazwą "religioznawstwo". Przygotowuje się podręcznik z tego przedmiotu dla uczniów i pomoce naukowo-metodyczne dla nauczycieli. Od 1985 roku, co roku, tysiąc nauczycieli odbywa na rocznych kursach przeszkolenie w zakresie religioznawstwa.

Komuniści polscy liczą się z tym, że w najbliższej przyszłości ekspansja ideologiczna kościoła katolickiego nie tylko nie osłabnie, ale też będzie miała tendencje zwykłe. Jak już odnotowywano, katolicyzm przekształca świątynie w ośrodki oddziaływania kulturalnego i politycznego, aktywnie ideologicznie kościoła stara się prowadzić indoktrynację światopoglądową nawet w szeregach socjalistycznych organizacji młodzieżowych, wielki wpływ na umysły Polaków wywiera liczna, umiejętnie działająca prasa katolicka. W tej sytuacji PZPR wybiera i realizuje taktykę "ideologicznego wyprzedzenia" przeciwnika, dąży do ujęcia inicjatywy w swe ręce. Jest to zadanie niełatwe. Jednakże w polskiej prasie partyjnej, w radiu i w telewizji pojawia się coraz więcej śmiałych i poważnych materiałów antyklerykalnych, zorganizowano masowe szkolenie kadry ideologicznej, na dobrym poziomie teoretycznym /również z praktycznym ukierunkowaniem/ przeprowadza się rady, konferencje, sesje naukowo-metodyczne, mające na celu doskonalenie wychowania ateistycznego ludności, wymianę doświadczenia pracy kadry ateistycznej. Dobroczynny wpływ wywierają na ten proces twórcze i robocze kontakty ze specjalistami radzieckimi.

W Akademii Nauk Społecznych przy KC PZPR w 1984 roku został powołany Instytut Religioznawstwa, kierownictwo którego objął wybitny specjalista w sprawach doktryny społecznej kościoła, autor fundamentalnych badań w zakresie problemu "Stosunki między kościołem a państwem socjalistycznym", profesor Wiesław Myszek. Etaty instytutu ma dosyć obszerne - 40 jednostek. Jeżeli ANS przy KC PZPR prowadzi badania globalnego tematu "Społeczeństwo polskie w procesie przeobrażeń socjalistycznych", to Instytut Religioznawstwa w jej ramach szczegółowo rozpracowuje problem, ważny zarówno w płaszczyźnie naukowej, jak i politycznej: "Polityka i ideologia kościoła katolickiego w Polsce a przeobrażenia socjalistyczne".

Od 1969 roku w PRL działa Towarzystwo Krzewienia Kultury Świeckiej /TKKS/, które powstało w wyniku połączenia Związku Ateistów i Wolnomysłicieli i Towarzystwa Szkoły Świeckiej, jakie istniały wcześniej. Organizacji tej przewodniczy wybitny filozof marksistowski Tadeusz M. Jaroszewski.

Główne kierunki działalności TKKS - to aktywne przeciwdziałanie próbom krzewienia klerykalizacji politycznej i sakralizacji życia społecznego; przeciwstawianie się przejawom nietolerancji światopoglądowej; organizacja nowych poczynań, zmierzających do popularyzowania światopoglądu naukowo-ateistycznego i racjonalistycznego; rozwijanie i umacnianie w stosunkach społecznych świeckich zasad moralnych i obrzędowości socjalistycznej; przyczynianie się do rozwijania dialogu i zrozumienia wzajemnego między obywatelami o odmiennych poglądach.

Członkami TKKS są nie tylko marksiści, ale również pozytywści, fenomenolodzy, a także wierzący, zaangażowani do walki o świecki charakter kultury polskiej. Ta organizacja liczy w całym kraju blisko 250 tys. członków /65 proc. to

nauczyciele i wykładowcy wyższych uczelni/. Co trzeci nauczyciel jest członkiem TKKS.

Dostrzegalną rolę w propagandzie światopoglądu materialistycznego odgrywają inne organizacje społeczne, jak np. Towarzystwo Przyjaźni Polsko-Radzieckiej i inne."

PLAMY BIAŁE CZY CZARNE?

Mniej więcej jakoś wiosną tego roku, środowisko emerytowanych dziennikarzy warszawskich, zgrupowanych w Kole Dziennikarzy Polskiego Związku Rencistów i Emerytów, zwróciło się do grupy młodszych kolegów z propozycją m.in. wspólnego organizowania spotkań panelowych. Chodziło o to, by umożliwić swobodną dyskusję na tematy dnia z różnych punktów widzenia, licząc, że gromko zapowiadane postępy pluralizmu, ułatwią publiczne /prawie/ artykułowanie również innych niż oficjalnie akceptowane poglądów. Spotkań takich odbyło się kilka, większość z nich w gościnnie udostępnionej sali klubowej Naczelnej Rady Adwokackiej w Alejach Ujazdowskich w Warszawie. Było m.in. o przemianach w ZSRR, o sytuacji gospodarczej PRL, o pluralizmie /sic!/ i o aktualnej kondycji środowiska dziennikarskiego. Podczas tego ostatniego spotkania, racje oficjalnej /i półoficjalnej/ niejako strony reprezentowały trzy osoby na czele z Krzysztofem Teodorem Toeplitzem, zaś po stronie społecznej wystąpił prezes SDP Stefan Bratkowski. Byliśmy przy tym obecni i możemy zaświadczyć, że spotkanie potoczyło się w wersalskiej nieomal atmosferze, jeśli nie liczyć dwóch czy trzech wybuchów śmiechu w miejscach, gdzie KTT wypłatał szczególne androny. W każdym razie ten ostatni wydawał się zadowolony z imprezy i wychodząc z panelu podziękował organizatorom za zaproszenie. W krótkim jednak czasie owo spotkanie i jego organizatorzy zostali opluci i osmarowani błotem na łamach "Trybuny Ludu" i przez rzecznika rządu Jerzego Urbana na jego cotygodniowym spotkaniu w URM. Według nich KTT został na panelu wygwizdany i wytępany, niemal że przekreślony przez maszynkę do mielenia mięsa. Ponieważ nic takiego nie miało miejsca, można było oczekiwać, że Toeplitz, obnoszący się ze swą niezależnością poglądów, dyskretnie przynajmniej odetnie się od tych insynuacji. Tymczasem nic podobnego - w swym najbliższym felietonie na łamach "Polityki", onże Toeplitz dolał jeszcze oliwy do ognia, usiłując swym niezależnym piórem ośmieszyć swych byłych /w większości/ kolegów po fachu. Na skutki nie trzeba było długo czekać. Następane spotkanie, które miało odbyć się 29 października, poświęcone "białym plamom" w historii, z udziałem m.in. prof. Krystyny Kerstenowej i prof. Eugeniusza Duraczyńskiego, który zajmuje się tą problematyką na łamach "Polityki" i który wcześniej zaproszenie na panel przyjął - nie doszło do skutku, bowiem w siedzibie adwokatów pojawiły się krasnoludki z wiadomymi argumentami. W ten sposób raz jeszcze otrzymaliśmy praktyczną wykładnię "pluralizmu socjalistycznego" z Urbanem, KTT i

SB w rolach głównych. I nie zmienia tej oceny fakt, że po kilku tygodniach KTT w kolejnym felietonie - na skutek licznych protestów gospodarzy i uczestników spotkania - usiłował ocalić twarz i zaprzeczyć oszczerstwom "TL" i Urbana, z wdziękiem felietonisty dziękując temu ostatniemu za koleżeńską troskę.

Z ostatniej chwili: Organizatorom udało się znaleźć inny lokal. Spotkanie poświęcone "białym plamom" w historii odbyło się; dziękujemy odważnym.

• • •

Od siebie natomiast dodajemy krótki komentarz naszego współpracownika na temat "białych plam", traktując go jako nasz głos w panelowej dyskusji.

Wychodzi, że również "głasność" robi nam wodę z mózgu. W kwietniu Gorbaczow i Jaruzelski dogadali się, że przestanie się robić tajemnicę z tuszowanych dotychczas, niewygodnych dla komunistów wydarzeń w historii polsko-radzieckiej. Nadało temu - jak wszystkiemu, co się na tym szczyblu odbywa - dość wielki rozgłos. A teraz od czasu do czasu na łamach prasy wypowiadają się partyjni historycy, informując nas, na czym to będzie polegać. Mówią, że zapełnianie owych białych plam będzie polegać na tym, iż historykom polskim i radzieckim udostępni się niedostępne dotąd dokumenty i pozwoli opublikować to, czego dotąd publikować nie było wolno. Nie bardzo można sobie wyobrazić, że udostępni się i pozwoli opisać WSZYSTKO, ale Gorbaczow już nas parę razy zadziwił. Więc, być może, będzie i tak. I na pewno będzie bardzo dobrze. Ale przecież zupełnie nie o to chodzi!

Chodzi natomiast o to, że:

- układ Ribbentrop-Mołotow umożliwił wybuch II wojny światowej;
- złamawszy podpisane układy, ZSRR - działając wspólnie i w porozumieniu z hitlerowskimi Niemcami - napadł na Polskę i zagarnął wielką część jej terytorium;
- prawie dwa lata wspomagał Niemcy w ich agresji;
- władze radzieckie bezprawnie więziły, deportowały i zabijały /bezpośrednio i przez wyniszczenie/ miliony polskich obywateli, a w tym zamordowały prawie 5 tysięcy oficerów polskich w Katyniu, którą to zbrodnię przypisano następnie Niemcom i wykorzystano jako pretekst do zerwania stosunków z polskim rządem;
- wojska radzieckie wiarołomnie napadły na wspomagające je oddziały AK i uwięziły ich dowódców.

ców oraz żołnierzy;

- ZSRR przemocą i terrorem narzucił Polsce przez siebie zmontowane i całkowicie sobie posłuszne władze, wbrew oporowi narodu oraz świadomie i z rozmysłem dopuścił do upadku Powstania Warszawskiego - do którego sam zwołał, do zniszczenia miasta, cierpienia i śmierci setek tysięcy jego mieszkańców;

- Związek Radziecki narzucił Polsce obcy i niechciany system polityczny, społeczny, gospodarczy, a w szczególności utworzył aparat bestialskiego terrorku, którym bezpośrednio zarządzał przez swoich ludzi;

- ZSRR narzucił Polsce jawnie nierównoprawne stosunki i bezcelny wysysk ekonomiczny, do czego częściowo przyznał się już w 1956 r.

Na tym roku na razie kończymy, choć przecież nie skończyła się dominacja radziecka w Polsce. Ale wróćmy do tych wyliczonych tu faktów. Otóż są one od lat znane nie tylko historykom, lecz szerokiej opinii publicznej w Polsce i świecie. W Polsce, kto chciał się dowiedzieć, jak było naprawdę, ten mógł to zrobić i już dawno to uczynił. Twierdzenie, że teraz - kiedy Gorbaczow pozwolił - wpiersz się mają odbyć narady historyków polskich i radzieckich, a potem ukażą się naukowe informacje na ten temat i że wtedy każdy zainteresowany dowie się tego, co od dawna już wie, jest zwyczajnym robieniem z ludzi wariatów.

Liczne dodatkowe, a nieznane dotychczas fakty, są niewątpliwie potrzebne, ale my to już wiemy i oni wiedzą, że wiemy i my wiemy, że oni wiedzą, że my wiemy itd., itd. Tu nie problem naukowy jest najważniejszy, ale moralny i polityczny! Nam chodzi o to, żeby ONI to nam powiedzieli. By wyrazili skruchę i żal, bo przeprosiny byłyby raczej nie na miejscu. I żeby ktoś - to już raczej w Polsce niż tam - wyraził skruchę za to, że tyle lat nie mówiono i nie pozwalano mówić prawdy, a nie żeby kazano być wdzięcznym, że od teraz, być może, nie będzie się musiało więcej kłamać.

A czy w ogóle trzeba głośno mówić o tym, o czym wszyscy i tak już wiedzą?

Tak. Trzeba!

Narody sobie nie wybierają sąsiadów, ani nie mogą ich zmienić. Mogą natomiast ułożyć sobie z nimi dobre współzycie. Jeśli dziś wydaje się możliwe dobrosąsiedzkie - choć jeszcze nie przyjacielskie - współzycie z Niemcami, to głównie dlatego, że w wolnym państwie niemieckim, jakim jest RFN, powiedziano prawdę o wojnie i zbrodniach wojennych i o odpowiedzialności za to narodu niemieckiego. I wyciągnięto z tego, choćby jedynie symboliczne - zresztą jedynie możliwe - wnioski praktyczne. A biskupi polscy w tych warunkach mogli nie tylko wybaczyć, ale i prosić o wybaczenie.

Natomiast nasze stosunki z ZSRR do dziś opierają się nie tylko na przemocy, ale także na kłamstwie i przemilczeniach. I nie wydaje się, by w tych warunkach możliwa była ich zmiana na

lepsze. Zmiana, na której tak naprawdę zależy narodowi, a nie władzy, bo jej prawdziwą legitymacją są te właśnie zbrodnie, popełnione przez Związek Radziecki celem zlikwidowania niepodległości Polski. Jeśli więc te "białe plamy" staną się - jak się na to zanosi - jedynie propagandowym zabiegiem, jeśli skończy się na wymruczeniu półgębkiem ćwierćprawdy, gdy cała prawda jest wszystkim znana i gdy będzie to próba zbitcia politycznego kapitału przez tych, którzy odpowiadają zarówno za te zbrodnie, jak i za ich przemilczanie - wówczas do ponurego rejestru krzywd dojdzie jeszcze jedna. Na szczęście niezbyt dotkliwa, gdyż w takich okolicznościach mało kto się przejmie tym, co panowie G. i J. sobie wzajemnie powiedzą.

E.S.

RAKOWSKI I WIZJA PARTNERSTWA

"Mieczysław F. Rakowski był najlepiej znanym na Zachodzie orędownikiem i apologetą Polski komunistycznej. W Warszawie nazywano go "Mr Poland dla cudzoziemców". Jego pyzata warz boksera była dobrze znana w Bonn i Waszyngtonie, gdzie od dawna cieszył się opinią wybitnego "liberała" wśród polskich komunistów.

Otóż rozróżnienia między "twardymi" i "umiarkowanymi", "jastrzębiami" i "gołębiami" należy w krajach komunistycznych zawsze traktować ze znaczną ostrożnością. "Umiarkowanych" i "twardych" można - jeśli się bardzo stara - znaleźć w każdej elicie władzy. Brytyjscy dyplomaci w nazistowskim Berlinie popierali "umiarkowanego" Hermanna Göringa. Ponadto takie różnice są celowo rozgrywane na użytek Zachodu, w czym Rakowski szczególnie celował. Należy pamiętać, że zasada "umiarkowani-twardzi" przyjmuje często formę "Spenlow i Jorkins". Spenlow w powieści Dickensa "Dawid Copperfield" zazwyczaj wyjaśnia swoje nieustępliwe postępowanie presją Jorkinsa, swojego bezlitosnego, twardego partnera, tym groźniejszego, że niewidzialnego. Na Zachodzie jesteśmy szczególnie podatni na ten rodzaj sugestii, ponieważ nasza polityka ma rzeczywiście charakter pluralistyczny. Zaś Rakowski tak przywykł do grania na tej podatności, że - pod presją włoskiej dziennikarki Oriany Fallaci, w wywiadzie udzielonym po wprowadzeniu stanu wojennego - wyjaśnił: "Widzi pani, w Związku Radzieckim są dwie tendencje: jedna propolska, druga antypolska, a Breżniew należy do pierwszej. On kocha Polskę, niech mi Pani wierzy". Wobec tego Zachód powinien popierać kochającego Polskę Breżniewa, bo "twardzi" towarzysze Jorkinsowie tylko czekają, żeby zrobić Polsce naprawdę straszne rzeczy /widzi pani, proszę mi wierzyć.../. Rakowski jest dobrze poinformowany, ponieważ "niektórzy spośród moich najbliższych przyjaciół są w Moskwie - spędziłem z nimi wspólnie chwile, pijąc wódkę i rozmawiając"...

Warto przypomnieć, co taki "liberał" jak Rakowski miał wspólnego ze swoimi "twardymi" towarzyszami. Przetrwał przecież sporo lat w tym drapieżnym towarzystwie. Jako dziewiętnastoletni chłopiec był w roku 1945 oficerem politycznym w wojsku. Ten bystry, ambitny syn chłopa z Pomorza stopniowo wspinał się potem w okresie stalinowskim po drabinie centralnego aparatu. Musiał zapewne zabrudzić sobie ręce, ale w miarę. Dołączył do fali reformistycznej w październiku 1956 roku, ale nie całym sercem, i kiedy naprawdę radykalne i otwarcie wypowiadające się tygodniki zostały w 1957 roku zamknięte, zaczął pracować w "Polityce", której redaktorem naczelnym wkrótce został. Pod jego kierownictwem "Polityka" była krytyczna, ale nie nazbyt krytyczna, chociaż w czasie kampanii antysemskiej 1968 roku odegrała honorową rolę, odmówiwszy w niej udziału. W późnych latach sześćdziesiątych Rakowski ostrożnie zdystansował się wobec upadającego Gomułki. Z entuzjazmem przyjął w latach siedemdziesiątych politykę wielkiego skoku, lansowaną przez Gierka. Stał się krytyczny, ale nie nazbyt, w połowie dekady i w ostatniej chwili zdystansował się od tego skazanego już przywódcy partii. Awans Kani, a potem Jaruzelskiego, obdarzył go stanowiskiem wicepremiera i misją prowadzenia rozmów z "Solidarnością". Teraz, w sierpniu 1981 roku, dystansował się wobec "Solidarności" i współpracował coraz bliżej z Jaruzelskim. Łatwo się domyśleć, że pozostał na swoim stanowisku po 13 grudnia i dalej jest zręcznym orędownikiem istniejącego reżimu, dalej jest "liberalnym" panem Spenlow, któremu krzyżuje plany zły towarzysz Jorkins i jego ludzie.

Dzieje te tłumaczą nieco, dlaczego przywódcy "Solidarności" nie żywili dla niego szacunku, na co narzekał Rakowski w rozmowie z Orianą Fallaci: "Żaden z tych demagogów i anarchistów nie wierzył, że walczę o reformę partii. Żaden z nich nigdy nie powiedział: Panie Rakowski, wiemy, że pan walczy. Żaden, żaden!".

Kilka innych uwag Rakowskiego na temat przywódców "Solidarności" lepiej jeszcze wyjaśnia ich podłą niewdzięczność; O Wałęsie: "Jego chłopska natura ciekawiła mnie. Jak chłop oszukuje rozmówcę i nie dopuszcza do znalezienia wspólnego języka...". A w tajnym przemówieniu do funkcjonariuszy partii w Warszawie po 13 grudnia: "Nie mam nic przeciwko bażwanom w "Solidarności", przeciwko takim małym gówniarzom, jak ten Bujak...".

Tyle o szanowaniu partnera. Słyszę już zastrzeżenia, że pierwsza uwaga była wyrazem gorzkiego zawodu po upadku nadziei reformatorskich, druga zaś wynikała z taktyki w okresie, kiedy Rakowski walczył o utrzymanie swojej pozycji w nowym układzie wojskowo-partyjnym.

Jednakże jego głęboka pogarda dla ludzi z niższych warstw, którzy przeprowadzili tę polską rewolucję, dla "chłopa z natury" Wałęsy, dla "małego gówniarza" Bujaka, pozostaje w całkowitej zgodzie z jego pozycją wybitnego członka tego, co sam nazywał "warszawskim establishmentem" i polskiej komunistycznej klasy rządzącej. Przed trzydziestoma sześcioma laty był sam, jak Wałęsa i Bujak, chłopskim synem, dobrze zbudowanym blondynem, energicznym, pozbawionym przesądów religijnych, idealnym materiałem ludzkim dla nowej elity. Zwerbowany wraz z pół mi-

lionem innych chłopskich synów, prosperował dzięki systemowi. Studiował dziennikarstwo, historię i nauki polityczne, zdobył wiedzę i pewne obycie, potem wpływy jako naczelny redaktor "Polityki", w latach sześćdziesiątych zaczął podróżować zagranicę, był przyjmowany jako wschodząca gwiazda w Ameryce i Niemczech Zachodnich, zaczął nosić elegantsze ubrania, lepszą fryzurę, jeździć peugeotem. I potem do komfortu, pozycji, autorytetu i wpływów doszła... władza. A teraz ci chłopci, ci "mali gówniarze" chcieli dzielić z nim, Mieczysławem F. Rakowskim, podziw Waszyngtonu i Bonn, z nim, który spędził "wspaniałe chwile" pijąc wódkę z przyjaciółmi w Moskwie.

Był to jednak inteligentny, przenikliwy człowiek i w ramach partii był niewątpliwie reformatorem. Napisał książkę, która mogła być opublikowana dopiero po Sierpniu /dzięki "Solidarności"!/ Proponował w niej szeroki zakres reform, inicjowanych i ostrożnie kontrolowanych z góry przez silną, żywotną partię leninowską. Jego wizja zreformowanego komunizmu była, w pewnym uproszczeniu, polską wizją kadaryzmu. Planowanie gospodarcze miało być bardziej elastyczne i zdecentralizowane, z elementami wolnego rynku w gospodarce państwowej. Rząd miał być wrażliwszy na opinię publiczną, która - żeby ją słyszano na szczytach - powinna dysponować większą wolnością informacji. Partia miała stworzyć instytucje dla stałej i autentycznej konsultacji z większymi grupami interesu: inteligencją techniczną, Kościołem, rolnikami, robotnikami itp. Poglądy takie nastawiły wrogo do Rakowskiego. Wielką część aparatu, zagrażały bowiem jego uprawnieniom. Gdyby wprowadzono je w życie, partia sprawowałaby władzę w sposób zdecydowanie odmienny.

Nie była to jednak - należy podkreślić - wizja politycznego pluralizmu, lecz raczej, powiedzmy, autorytaryzmu z konsultacjami /jak na Węgrzech/. Rozmaitym grupom interesu w Polsce i polskiemu społeczeństwu ofiarowano tu konsultacje, nie zaś udział we władzy. Różnica ujawniła się w oczywisty sposób na przykładzie odmienności między projektem "Solidarności" a rządowym projektem ustawy o "samorządach robotniczych". Wszystkie decyzje miały pozostać w rękach klasy rządzącej. Miało być tak, jak było 6 sierpnia: przyjmuje się wspólny komunikat, potem generał i Rakowski czynią "pewne poprawki, mając na myśli interes państwa, tak jak my go rozumiemy".

Słowo "partnerstwo" nie oznaczało więc dla Rakowskiego tego, co dla nas, nawet kiedy używał go poważnie. W jego słowniku brak było idei równych /czy choćby wzajemnie wiążących/ praw i zobowiązań. Nie było jej w styczniu 1981 roku, kiedy wylansował swój slogan, i nie było w sierpniu, kiedy go brutalnie naruszył. Dziwne, że tak wielu ludzi na Zachodzie wciąż na wpół wierzy, że przywódcy bloku radzieckiego używają słów "demokracja", "pokój", "wolność" czy "partnerstwo" w tym samym rozumieniu, co my. Jeszcze dziwniejsze, że niektórzy przywódcy "Solidarności" też na wpół wierzyli, że oni i Rakowski mają to samo na myśli, mówiąc o "partnerstwie". Mit porozumienia narodowego był jednak potężny - ta wiara, że muszą znaleźć wspólną drogę "jak Polak z Polakiem".

W swoim tajnym przemówieniu Rakowski wyjaśniał: "Koniowi, który się zagalopował, trzeba ściągnąć wędzidła i pokazać mu jasno, że ma być posłuszny...". Jesienią roku 1981 społeczeństwo polskie było tym koniem, a aparat komunistycznym jeźdźcem. Metafora ta mówi więcej niż tysiąc wywiadów dla prasy. Rakowski i jego towarzysze klócili się zawzięcie o to, jak należy siedzieć w siodle i kto ma trzymać lejce. Ale co do jednego się zgadzali: ich miejsce było na koniu, a miejsce konia pod nimi. Demokratyczni socjaliści, którzy twierdzili, że polskie społeczeństwo nie jest koniem, nie należeli już do jeźdźców."

Z książki Timothy Garton Ash'a
"Polska rewolucja - Solidarność"
Wyd. POLONIA, Londyn 1987

Recenzje

NOTATNIK WOLNEGO CZŁOWIEKA

Dlaczego jest to książka fascynująca? Co sprawia, że trudno się od niej oderwać? Przecież ani w niej fabuły, ani akcji wartkiej. Taki notatnik, zwykłe zapiski uogólniające doświadczenia polskiego inteligenta. I to doświadczenia niekompletne podwójnie. Raz, bo obejmują krótki wycinek czasu, dwa lata - 1983 i 1984 rok. Po drugie, bo z konieczności współtworzonej pisarskim lenistwem, nie są prowadzone systematycznie. Co tu więc rozstrząsać, nad czym się pochylać? Przeczytać, zadumać na chwilę, odłożyć i zapomnieć. Jak wiele innych przekazów narodowej świadomości, targanej wątpliwościami i porażającym poczuciem przeciekającego przez palce czasu. Tego historycznego i tego osobistego.

O czym w końcu jest ta książka? O osobie Autora? To może lepiej byłoby wziąć jeszcze raz do ręki "Mszę za miasto Arras"? Ale to nie jest w żadnym razie książka o Andrzej Szczypiorskim i to wcale nie dlatego, że jest to postać mało interesująca z ogólnego punktu widzenia. Przeciwnie, sądzę, że gdyby Szczypiorski napisał książkę o sobie, mogłoby to być bardzo interesujące. Ale on tego jeszcze nie zrobił. "Z notatnika stanu rzeczy" jest bowiem książką o nas, żyjących tu, w kraju, i jej bohaterem wcale nie jest Autor piszący w pierwszej osobie.^{x/}

Recenzja chaotycznie prowadzonego brulionu myśli, lektur i wydarzeń jest przedsięwzięciem absurdalnym. Ale skoro książka - jak się rzekło - jest fascynująca, to jakąś formułę zapisu myśli o niej przyjąć należy. Najprościej będzie zanotować więc to, co

^{x/} Andrzej Szczypiorski: "Z notatnika stanu rzeczy", NOWA 1987, str. 126, cena 450 zł.

akurat czytający uważa za najistotniejsze, choć może to wcale takie nie być. Jeżeli jednak jest to książka o Polakach, warto pochylić się nad kilkoma w niej zawartymi myślami, choćby to miało być nawet przypomnieniem prawd na poły oczywistych, też zgoda banalnych, czy opinii wprawdzie dość obiegowych, ale wcale nie tak często ujawnianych. Paradoksalność powyższego wynika stąd, iż polski inteligent myślący wcale nie artykułuje wyłącznie tego, co wypowiadać powinien - Szczypiorski zarzykował.

Zarzykował, dla przykładu, stwierdzenie, że represje stanu wojennego nie były takie straszne. I uczynił słusznie, ostrze tego twierdzenia kierując przeciwko bezmyślności, która a limine przesadzała w potępieniu generałów. Szczypiorski upatruje w tej przesadzie oportunistycznej zgody na wszystko, co działo się dawniej, ale dotyczyło innych. To właśnie ma na myśli, gdy stwierdza "...że obecne rządy wcale nie są bardziej represyjne i okrutne od rządów Gomułki w latach 1944-1948, kiedy to nie setki, ale tysiące i dziesiątki tysięcy ludzi zamykano do więzień, bito i zabijano. Obecne rządy nie są bardziej okrutne od rządów Bieruta w dobie triumfującego stalinizmu, kiedy żyliśmy w strasznej nędzy, lęku i bez odrobiny nadziei, wydani na łup najbardziej cynicznej i obrudnej tyranii w historii...".

Na dobrą sprawę - zauważa Szczypiorski i czyż nie ma racji? - dzisiejszy reżim wcale nie jest gorszy od reżimu Gomułki w latach 60-tych. Arytmetyka jest złudna i choć w latach gomułkowskiego czternastolecia mniej ludzi siedziało w więzieniach, niż w okresie stanu wojennego, to przecież nie było praktycznie opozycji, nie istniał front odmowy i walka o prawa człowieka i obywatela. "...Gdybyśmy się dzisiaj zachowywali wobec władzy tak, jak przed dwudziestu laty - pisze Szczypiorski - rządy generałów byłyby zapewne ideałem łagodności i tolerancji w porównaniu z doktrynerstwem, upartością i kramiarkarstwem Gomułki...".

Tak więc dawniej wcale władza lepsza nie była. Nie była także bardziej skłonna do ustępstw czy kompromisów. Szczypiorski twierdzi wręcz, że w tej mierze obecna ekipa zasługuje nawet na swego rodzaju wyróżnienie, ponieważ obecny reżim czuje się izolowany dużo bardziej niż poprzednie. A że dawniej łatwiej było porozumiewać się z władzą? Po prostu dawniejsze rewindykacje były bardzo tanie. One były wręcz śmieszne! Grzeszna petycja pisarzy o większy przydział papieru? Wahania czy wystąpić z partii, czy w niej pozostać, ażeby kontynuować reformatorską działalność? Powoływanie się na klasyków i wykazywanie niezgodności realiów z ich ustaleniami? To wszystko dziś, w dobie domagania się pluralizmu, wolnych wyborów, podmiotowości grup i organizacji społecznych, słowem - niezależności społeczeństwa, to wszystko, co niegdyś wyznaczało zakres niezadowolienia z komunistycznych rządów i zakres nieśmiałych rewindykacji, dziś budzi uśmiech wszystkich. Niektórych zaś wręcz zawstydza. Być może niepotrzebnie, gdyż może właśnie musiało minąć te dwadzieścia lat, abyśmy stali się niepodobni do tamtych, stłamszonych i onieśmielo-

nych wielkością i potęgą Doktryny. Jedynej, Przewodzącej, która dziś wszakże nawet nie jest swoją karykaturą. Po prostu już jej nie ma.

Wątek ideowych wspomnień i związany z nim wątek znaczących opcji i wyborów zajmują wiele miejsca w notatniku Szczypiorskiego. W końcu biografia pisarza jest podobna do wielu innych biografii w jego pokoleniu. Gdzie więc był moment, w którym pisarz, intelektualista i obywatel zrozumiał, że ten cały humanistyczny sztafaż systemu jest złudą, zręcznie podtrzymywaną przez etatowych propagandystów.

Autor "Mszy za miasto Arras" wyraźnie nie lokalizuje tego w Grudniu '70 i wskazuje na Marzec '68. Wówczas, jak sądzi, nastąpił zwrot. Zasadniczy zwrot w filozofii państwa i realizowanej przez nie polityki. To właśnie wówczas, w Marcu '68, nastąpiło odejście od programu społecznej lewicy i wyrzeczenie się tego programu na rzecz prawolowej koncepcji państwa.

"Nie jest ważne - powiada Szczypiorski - czy rządy Gomułki w poprzednich latach program lewicy realizowały. Ważne, że taki program głosiły, a w Marcu '68 proklamowano nowy kurs, rozstając się z całą tradycją polskiego socjalizmu, która dotychczas, przynajmniej w słowach, uchodziła za nienaruszalną." Gdyby tak się wówczas stało, generałowi trudno byłoby mówić prawie wyłącznie o racji stanu, o socjalizmie jakby tylko nąpinając mimochodem.

Wątek ideowych wspomnień w "Notatniku" jest również typowy w tym sensie, że ukazuje typową dla współczesnego intelektualisty drogę do wolności. Można by na podstawie tych wspomnień sformułować tezę następującą: w realnym socjalizmie wolności nie wybiera się samodzielnie. Do wyboru wolności obywatelskiej zmusza obywatela sama władza, której na tym przeciwie wcale nie powinno zależeć. Ten paradoks posiada łatwe wytłumaczenie w biografiiach wielu ludzi. Po prostu - pisze Szczypiorski - "sama władza budziła nasze sumienie pokracznością swych decyzji, małymi intrygami, praktyką dzielenia i skłócania ludzi".

Nikt się nie rodzi przeciwnikiem władzy i Szczypiorski nie jest tu wyjątkiem. Co więcej, sam Szczypiorski przyznaje, że przeciwnikiem władzy nie był. Ale w pewnym momencie "...to oni najpierw oznajmili, iż jestem ich przeciwnikiem, a dopiero potem zrozumiałem, że nim jestem!". Czyżby świadczyło to o przynikliwości władzy lub o nieświadomości pisarza? Nie, po prostu na gwałt szukali przeciwnika i wybór padł właśnie na Szczypiorskiego. Już wtedy kompletowano tak zwaną ekstremę, gdyż socjalizm realny zawsze jest skierowany przeciwko czemuś i bez diabła, z którym należy się rozprawić, jest zwyczajnie zgubiony.

Szczypiorski przyznaje, że ostatecznie zerwał z reżimem w 1976 roku. W międzyczasie, przez osiem pomarcowych lat, strząsał po kolei z siebie ostatnie złudzenia. Usiłował coś zrobić jako felietonista Polskiego Radia, publikował w "Polityce" i "Życiu Warszawy". Ale wyrok na niego został wydany już w 1968

roku. Te osiem lat to okresowe nagonki. Dawał im zresztą powody, gdy wykonując testament zmarłego przyjaciela, Kazimierza Moczarskiego, napisał do jego "Rozmów z katem" przedmowę do niemieckiego wydania książki. Ciąg dalszy tej żenującej afery jest znany. W każdym razie powinien być. Spadkobiercy zgrał oprawców - jak pisze Szczypiorski - która przez jedenaście lat zadawała Moczarskiemu nieopisane cierpienia, wystąpiła w obronie autora "Rozmów z katem" przed prowokatorem Szczypiorskim. Tak to bywa w PRL.

Jest w "Notatniku" dyskretne, dalekie od hałasu chrześcijaństwo. Może nawet nie tyle deklarowane z umiarem, ile przeżywane. I jest samotność, którą - jak pisze Autor - sam polubił. Nie jest to jednak samotność mizantropa. Sądzę, że jest to samotność myślenia w czasach, kiedy nie łatwo o zachowanie proporcji. Szczypiorski nie ma żalu do Wałęsy, że ten proponował rozmowę "jak Polak z Polakiem". Szczypiorski apeluje tylko o narodową pamięć. Żeby nasza ksenofobia i frazes patriotyczny nie miały pożytki na glebie rozmaitych fałszerstw, półprawd i przemilczeń. "Bardzo dużo Kościuszki i szczypta Targowicy...". Niech ta szczypta nie umyka uwadze. Niech mit o pięknych Polakach co to Quislinga nie mieli, nie przesłania okupacyjnych podłości, bo i takie były. Niech ten mit nie tworzy innego, gorszego mitu - o wyjątkowości Polaków.

Wyjątkowość dla Szczypiorskiego znaczy lepszość. A przed tą lepszością się wzdraga, bo nie uznaje jej. "Jak Polak z Polakiem rozmawiać. Jak Polak z Polakiem żyć. Nawet dzisiaj, nawet w tej chwili, gdy czuje na barkach ciężar ostatnich dni, słowa te mają w sobie krzepiący słodki jad - zanotował w dniach procesu oprawców ks. Jerzego Popiełuszki. - Jak Polak z Polakiem? Przecież tutaj, jak na całym świecie, uczciwy ociera się o kanałię, oportunistą dzieli swój los z bohaterem, męczennik i szubrawiec w jednym stoją domku... Więc trzeba znów zacząć od repetycji tych prostych, ale fundamentalnych pytań oraz odpowiedzi. Kto mi jest bliższy - szlachetny Niemiec, czy polska szuja? Prawy Rosjanin czy krętacz i oszczerca z gębą polskim frazesem wypchaną? Czech, cierpiący za prawdę i sprawiedliwość, czy Polak zajęty od świtu do nocy skrobaniem donosów?".

Świat jest chory, zgniły, zły i brudny - notuje Szczypiorski w kilka dni po morderstwie księdza Jerzego. Kiedy sięgnąć pamięcią do tamtego czasu, taka ocena była nieomalże powszechna. Bo w tym męczeństwie i w tej śmierci było wiele w symbolu. Więcej, to był cały symbol, cała tragiczna metafora narodowego losu. Tak właśnie myśleliśmy. Że oprawcy zakładali pętlę nie na szyję, ale na suwerenne sumienie, które chcieli udusić. Tak właśnie myśleliśmy. Że oni przywiązywali kamienie nie do nóg, lecz do wolnej myśli, którą chcieli utopić. Ale czyż można udusić sumienie i utopić myśl? A do tego w końcu sprowadził się los żoliborskiego kapłana.

Na marginesie tego dramatu Szczypiorski zanotował coś niezwykle istotnego: "Strasznym wstrząsem dla Polski było upro-

wadzenie i zamordowanie Księdza. Rewizje domowe, dochodzenia, przesłuchania, plugawe publikacje w prasie - nie wywierały zbyt silnego wrażenia. Wszystko to bowiem rozgrywało się jeszcze w sferze owej normalności, która - instynktownie i z przyzwyczajenia - została zaakceptowana." I to było wielkie zło i wielka odpowiedzialność, położona na barki tych, którzy - nolens volens - akceptowali. Na barki nas wszystkich.

Kto się bowiem pokornie zgadza, aby go opluto, zgadza się, by go jak wołu, prowadzono na rzeź. Tak sądzi autor "Notatnika" i warto się nad tym zastanowić.

Jest w "Notatniku" pisarza niewiele o literaturze i wiele o polityce. To może dziwić, choć to zdziwienie uchylają czasy, w jakich pisarz notuje swoje myśli. Uchyła zdziwienie również on sam, czy ściślej - jego ogląd rzeczywistości. Przenikliwy i analityczny. Zanurzając się w swój los, pisarz - chcąc nie chcąc - dokonuje uogólnień, które zyskują wartość doświadczenia zbiorowego, nie tylko indywidualnego.

To doświadczenie, z punktu widzenia twórczości literackiej, jest tragiczne, zaś dramat polega na tym, iż kreatywność twórczości postawiona zostaje pod znakiem zapytania. Jest to tragedia zarówno twórcy, jak i odbiorcy.

Szczypiorski sądzi, że zadaniem literatury jest przywracanie porządku w sferze pojęć, słów. Jak to osiągnąć w epoce totalizmu? W epoce, w której słowo nie nazywa, lecz fałszuje sens rzeczy? - zapytuje Autor i stwierdza: "Opis życia nie jest właściwie możliwy. Trzeba zacząć od objaśnienia najprostszych zjawisk. Dlatego fundamentalnym zadaniem literatury jest komentarz do rzeczywistości. Jej kreatywność wydaje się dzisiaj słabością. W świecie tak zawiłym, ciemnym i zafałszowanym - tworzenie światów fikcyjnych jest zajęciem, jeśli nie zgoła szkodliwym, to szyderczo zbędnym, który czerpie - jak niegdyś - z bogactwa swej artystycznej wyobraźni, który kreuje bohaterów, fabułę ich losu, fikcyjną rzeczywistość ich powieściowego świata, skazany jest na wielką niemoc, a także na klęskę w obliczu tego nadmiaru, który nas wszystkich otacza". To dojmujące wyznanie Autora zaświadcza o dramacie losu współczesnego polskiego pisarza i współczesnego polskiego czytelnika. Ten ostatni - o tym dobrze wie Szczypiorski, baczny i wnikliwy obserwator - oczekuje od literatury objaśnienia prostych, a zarazem fundamentalnych prawd życia, a nie przygody emocjonalnej. Czytelnik w kraju rozdzieranym nadzieją i wątpliwością ma dość własnych przygód, z którymi nie wie, co zrobić, jak je uporządkować, okiełznać. A często po prostu, jak je ominąć.

Pora jednak odpowiedzieć na pytanie postawione na wstępie. "Z notatnika stanu rzeczy" jest kontynuacją ogłoszonej przez Wydawnictwo Polonia Book Found książki "Z notatnika stanu wojennego". Podobnie jak tamten, obecny notatnik jest książką o odważnej bezradności. Odważnej, bo pozbawionej fanatyzmu, wyrwającej myśl poza opłotki zaścianka, nie stwarzającej żadnego alibi dla nienawiści. Odważnej wobec swoich i obcych.

Jest to książka obywatela państwa, które wynosi się nad obywatela, książka pisarza, który uważa, że państwo ma być organizacją wolnych ludzi, a nie fetyszem hordy. Książka pisarza, który czuje się wolny i jest nim w rzeczywistości.

/A.C./

Felieton

AMERYKA. AMERYKA

Chodzą słuchy, że w siedemdziesiątą rocznicę Wielkiej Rewolucji, gensek Gorbaczow odeśle staruszkę na należną jej emeryturę, siebie mianuje prezydentem, przyjmie imię Michael, a z Rosji zrobi Amerykę. Towarzysz Lenin zostanie eksmitowany z Mauzoleum, zaś pustostan w dobrym punkcie /samo centrum Moskwy/ przypadnie tułowi cara Mikołaja, jako że jego głowa zdążyła się przez te siedemdziesiąt lat gdzieś zawieruszyć, skoro dla uczczenia zwycięstwa ludu ją odrąbano. W ogóle to lud zostanie skasowany, zaś w jego miejsce powoła się naród, który nie będzie musiał chrzcic swych potomków płci żeńskiej szczytnym imieniem Elektryfikacja, tylko Pierestrojka. Świat pozna i tę prawdę, iż klatka schodowa, to nie wynalazek uciśnianego państwowego syna robotnika i chłopca, Iwan Iwanowicza Schodowa, lecz wymyślono ją znacznie wcześniej, prawdopodobnie tam, gdzie o Iwanie Iwanowiczu i samym genseku-prezydencie /Boże strzeż przed bluźnierstwem/ nikt nie słyszał.

Nie cieszymy się jednak zawczasu. Gensek Michael Gorbaczow - skoro tylko zostanie prezydentem - swym prezydenckim słowem rozkaże, by Amerykę zrobiono także u nas, a nawet na odległej Kubie, która - choć w Ameryce - nieco inaczej od Ameryki wygląda. Wówczas Fidel zgoli brodę, zagra w kilku kowbojskich filmach dzielnego "desperado" i spośród najrozniejszych komunistów wybierze sobie nowych Rosenbergów, których skarże na przestarzałe krzesło elektryczne "made in USSR" za sprzedaż obcemu, acz porównywalnemu potęgą, mocarstwu tajemnicy rafinacji cukru. Jak to rezegra w szczegółach, to już jego program, zatem wracajmy na własne podwórko.

U nas też kroci się zmian co niemiara, bo jak Ameryka, to Ameryka i kropka. Na głębszym poziomie podziemia, niż schowana jest TKK i liczne TKZ-y, ponoc trwają supertajne rozmowy i negocjacje. Jednak owi negocjatorzy też muszą czasami na szloneczko popatrzeć. Wtedy wychodzą z podziemi i czasem coś chlapną. A jest to "coś", nad czym od razu deliberuje cała Warszawka, szczególnie te jajogłowe mądrale, nazywające siebie realistami. Wprawdzie ten realizm mocno różni się od realizmu kolejkowego - wieść gminna głosi, że nijak, tylko

wojna domowa - lecz kolejka to przecież socjalna zdobycz bolszewizmu; czegoż więc wymagać od homo sovieticus?

Jak będzie Ameryka, to będzie jeszcze lepiej. Województwa przemianuje się na stany, i będzie ich tylko o kilka mniej, niż w USA, razem z Hawajami. Zresztą my też mamy wyspę Wolin, którą z miejsca można zrobić osobnym stanem, więc po co paprać się w drobiazgach, gdy idzie o rzeczy wielkie.

Pewnej korekcie ulegnie polska flaga narodowa. Każdy stan zostanie na niej oznaczony malutkim orzełkiem w koronce, zaś stolica wielkim orłem w wielkiej koronie i maciejówce dziadka Piłsudskiego, żeby prowincja sobie nie myślała. Zburzy się Pałac Kultury, a w jego miejsce postawi Statuę Wolności. Głowa jej będzie przypominać słowiańskiego Światowida; w końcu nie na darmo wygraliśmy bitwę pod Grunwaldem, pod szczytnym przewodem Litwina Jagiełły, króla i Polaka Barcikowskiego, przewodniczącego Komitetu Grunwaldzkiego. Jedna twarz sportretuje Generała Mniejsze Zło, druga interrexa Glempa. Dwie pozostałe są jeszcze nie obsadzone - w supertajnych negocjacjach wpisano ten problem do protokołu rozbieżności, więc warto się postarać /mówią, że dadzą je w arendę tym, którzy wylizają ilość etapów reformy gospodarczej, z dokładnością do 10 tysięcy/. Statuę przystroi odświętny kombinezon stoczniowca.

W prawym ręku będzie dzierżyć bryłę węgla, w lewym - hutnicze okulary. Jedna stopa rozdeptuje pełzające, czerwone karzy reakcji, druga germańską nawałę połączonych wreszcie Niemiec.

Wprowadzi się obowiązek korzystania z wolności słowa co najmniej trzy razy na tydzień. Przyzwoli na swobodę organizowania związków zawodowych, które z racji istnienia w wolnym - bądź co bądź - kraju, staną się automatycznie niezależne i samorządne, więc historyczna, lecz bezsensowna nazwa ulegnie kasacji. Będą też różnorodne stowarzyszenia twórcze, nawet po kilka w jednej branży, ale pod warunkiem, że ich prezesem zostanie Żukrowski, a skarbnikiem też pisarz i przyszły noblista, Ozga-Michalski.

Państwowa religia stanie się katolicyzm w wydaniu z czasów Świętej Inkwizycji, zaś wszystkim cudzoziemcom nowa władza zaleci obcięcie połowy napletka, by odróżnić ich od innych, całkowicie obrzezanych nacji. Przegna się przez wszystkich Palestyńczyków i Arabów, zaś przygarbnie nielubianych dotąd Żydów, by nikt nie mógł nam napluć w twarz filo- lub antysemityzmem. Podobno obiecano również wynagrodzić krzywdy synom Jafeta. Otrzymają zatem zezwolenia na budowę synagog, byle nie po lewej stronie ulicy. A że ulica ma dwie lewe strony, w zależności od kierunku, w jakim nią - drogi Czytelniku - zmierzysz, niech się o to martwią sami zainteresowani. Żydki, luddek cwany, a prócz tego w liberalnym kraju państwo nie może ingerować dokładnie we wszystko.

Tylko place zostaną wyłączone spod zabudowy sakralnej, gdyż na nich, dzień po dniu, będzie się spontanicznie zbierać naród, śpiewający na przemian hymn, Rotę i "Góralu, czy ci nie żal...". WiP wcieli się do armii. Armię rozpuści do cywila. A

Zachodowi szczeka opadnie, bo wreszcie ktoś od nich odkupi cudowny pomysł jednostronnego rozbrojenia.

Lecz najważniejsza jest gospodarka. Tutaj również będą reformy, że ho, ho! Huty przeniesie się na Wybrzeże, a stocznie na Śląsk. Hałdy przy kopalniach będą jeszcze większe niż teraz, na miarę naszych marzeń i snów, gdyż w Ameryce wszystko musi być wielkie. Rzekami popłynie czystościutki kwas siarkowy, jak przystało na kraj uprzemysłowiony, lasy zasypie pył z cementowni, a Tatry i inne pagórki, po ich rozbiórce na kamienie, przerobi się na eleganckie slumsy w rodzaju warszawskiego Ursynowa. To wszystko spowoduje fantastyczne oszczędności w państwowej administracji, bowiem zniknie potrzeba utrzymywania urzędu ministra ochrony środowiska, który dziś strasznie się trudzi, wydając zezwolenia na budowę zakładów bez oczyszczalni ścieków. Fabryki samochodów zaczną produkować Pontiaki na licencji z 1905 roku, czym znów zaskoczymy Zachód, rozkochany w dużych wozach "z myszką" i dlatego krzywo patrzący na Fiata 126p. Ursus przetrzuci się na pługi i podkowy, zaś Cegielski na maszyny parowe. Słynna polska siarka znajdzie zastosowanie jako barwnik do żółtych kredek świecowych.

W kulturze zmiany iście rewolucyjne. Prasa drugiego obiegu zyska kościelny cenzor. Bez żadnych skreśleń będzie natomiast wolno publikować druki, których pierwowzory powstały w Polsce przed 966 rokiem, ale tylko w okolicach Gniezna. Poczta zejdzie do podziemia, z racji mnogości wydawanych tam znaczków. Identycznie z produkcją kalendarzy, które datę 13 grudnia oznaczają czerwoną czcionką, jako początek Nowego, i podobnych bibelotów. W miejsce dzieł wszystkich lub wybranych marksistowsko-leninowskich trojaczków /jak wiadomo, czwarty z wieszczów zmarł kilkadziesiąt lat temu, a nowego masjasza nie widać, chyba że Michael, który ma rzeczywiście zadatki/ przyjdą utwory dramatyczne prezesa Stowarzyszenia Dziennikarzy Polskich, który prawdopodobnie zostanie również szefem nowej organizacji o tej samej nazwie, skoro dziarsko ogłosił jej powstanie w, jakże trudnej, jeszcze przedamerykańskiej epoce.

Przeciwnicy z Moskwy i z najgłębszego podziemia nie wspominają, niestety, jak w nowej, wspaniałej sytuacji ma się zachować reszta świata. Czując głęboką awersję do tajnego knucia - co tłumaczył mi wiele razy jeden z ojców narodu, niebieski hetman Kiszczak, mówiąc, że skryciec to można siusiu, a wszystko inne trzeba otwarcie /najlepiej w trzecim pawilonie na Rakowieckiej/ - jawnie postulują kilka zmian, licząc w skrytości, że zasłużą na trzecią gębę Światowida - Statuy Wolności.

Proponuję więc przerobić państwo Klonowego Liścia na Imdowo-Demokratyczną Republikę Kanady, z autonomicznym obwodem Quebec, a to z racji szacunku dla ONZ, który pasjami wielbi, jak na ziemi jest coś dużego, a w dodatku czerwonego, niczym ugotowany rak. Klimat odpowiedni, stosowne nazwy - Wielkie Jezioro Niewolnicze - wśród tubylców funkcjonują, trudno więc przypuszczać, by szczytne doświadczenia ludzkości z in-

nego kontynentu poszły w zapomnienie. Znajdą się wówczas i uchodźcy, których możemy potraktować z równym jak dzisiaj miłośnikiem /w końcu tradycja - rzecz święta/, żądając, przed wydaniem wiz wjazdowych, próbki krwi prapradziadka, czy aby nie chorował na AIDS.

Mam także pomysł na Włochy, gdzie teraz, każdego dnia, zostaje około setki rodaków. W końcu od tysięcy lat łacińska kultura była kulturą polską, a generał Dąbrowski, który śpiewał "Z ziemi włoskiej do Polski", na łożu śmierci przyznał, iż w napoleońskim rozgardiaszu pomieszały mu się kierunki. Po wtóre, jeśli chcemy Rzeczypospolitej od morza do morza, to czy jest sens upierać się przy Morzu Czarnym, skoro Śródziemne większe? Tertio - kondycja naszego narodu wymaga, by - obok Helu - mieć jeszcze jeden półwysep, więc włoski but z pewnością się przyda. A jakie korzyści z kooperacji z Fiatem, który wówczas będzie do końca nasz!? Nawet Papież przyjedzie do Warszawy bez czteroletnich starań o wizę!

Znalazłem nawet wykonawcę tych wiekopomnych idei. W końcu Włosi lada chwila staną się u siebie mniejszością narodową, więc można im zaofiarować Madagaskar, co chętnie czynią wobec innych narodowcy wszelkiej maści. Pombże też, zakochana w federacjonizmie KPN. W końcu wielbiony przez nich Duch Marszałka może się śmiertelnie obrazić, gdyż dotychczas projektują jedynie repley zamachu majowego, Berezy Kartuskiej i przyznanie kasztance tytułu Augusta.

Wiem, że na świecie istnieją jeszcze inne kraje i wspaniali mężowie stanu, wśród których prym wiodą: wrogowie amerykanizacji Polski generał Pinochet i jego ideologiczny braciszek syjamski, niemniej przyjazny nam jak mało kto, sekretarz Ceaucescu. Niestety, nie potrafię nic w tym względzie doradzić, o czym informuję wszystkich; donosząc sam na siebie,

Życzliwy



750,-